

GARY A. BRAUNBECK

MIASTO TRUMIEN

*Ze względu na swoje działania na tym świecie, nie przejmuję się
istnieniem nieba czy piekła, jestem zbyt wielki i zbyt dumny,
by powodować się pragnieniem niebiańskich nagród czy trwogą
przed piekielnymi karami. Moim dążeniem jest dobro, gdyż jest
piękne i mnie urzeka, a brzydzę się ziem, gdyż jest ohydne i napętnia
mnie odrazą. Wszystkie nasze działania powinny pochodzić ze źródła
bezinteresownej miłości i nieważne, czy po śmierci istnieje
dalsze trwanie czy też nie.*

Heinrich Heine *Die Stadt Lucca*

*Kiedys nadejdzie idealny dzień,
dzień pośród dereni i jodeł,
będzie pluskał swoją twarz w słońcu,
daleko od szkoły, od braci
i sióstr, od brudnego świata
człowieka...*

Christopher Colon *Charlie's Vision*

*Diabeł ma najodleglejsze perspektywy dla Boga, dlatego trzyma się
odeń z dala: - diabeł jako najstarszy miłośnik poznania.*

Friedrich Nietzsche *Poza dobrem i ziem* (przeł. Paweł Pieniążek)

Szaleństwo to pierwszy krok ku bezinteresowności.

Kahlil Gibran

University of Texas

San Ysidro

Columbine

Virginia Tech (miejsca masowych morderstw)

1

Mój kołczan znów jest pusty...”

2

Z początku może to sprawiać wrażenie bezładu, chaotycznych skoków; tak skaczą krople wody na gorącej płycie kuchni, tak jesienne liście toczą się po chodniku, tak koziółkuje gnany wiatrem papierowy kubek; ale podobnie jak miliony nic nieznaczących pojedynczych kropek na gazetowej fotografii tworzą jeden rozpoznawalny obraz, dopiero gdy się spojrzy na nie wszystkie, tak i tu wszystko stopniowo się połączy. Musi się połączyć. Umarli żądają tego od nas. A ich nie można ignorować.

I nie zostaną zignorowani. Próbowano tego już wcześniej. I nie do końca się to udało.

3

Znają mnie w tych stronach jako Wielebnego i chciałbym, abyście mi przez chwilę towarzyszyli.

Wprawdzie nie ma w tym poetyckiej siły, jaką zawierają klasyczne wstępy, na przykład „Imię moje Izmael”^{*} czy słynne „Nazywam się Artur Gordon Pym”^{**}, czy też „Pochodzę z Genewy. Moja rodzina należy do najznakomitszych w tej republice”^{***}, więc ustalmy od razu: wiem, że taka prezentacja mojej osoby pozbawiona jest literackiej fantazji, ale musi wam wystarczyć.

A zatem.

Znają mnie w tych stronach jako Wielebnego. W Cedar Hill prowadzę schronisko dla bezdomnych przy East Main tuż za mostem, który prowadzi na teren zwany Hrabstwem Trumien. Nie zawsze tak go

nazywano, podobnie jak mnie też nie zawsze nazywano Wielebnym. Miałem kilka imion i przynajmniej jedno z nich za chwilę poznacie. Ale zanim wam je zdradzę i zanim przejdziemy przez szczelinę, by doświadczyć przerażającej masakry, do jakiej doszło w tym miasteczku - choć mieszkańcy chętnie zwą je miastem - musimy się nieco bliżej przyjrzeć temu miejscu, gdyż ciężą na nim grzechy zaniechania, a to oznacza odpowiedzialność.

Istnieje pewna książka napisana przez niejakiego Goeffa Conovera, który kiedyś tutaj mieszkał, chociaż krótko. Podobno to fikcja, ale my, którzy nazywamy to miejsce domem i którzy ją przeczytaliśmy, wiemy swoje. To najlepszy opis Cedar Hill, jaki można znaleźć. Nie próbując go zatem głupio ulepszać, pozwólcie, że zacytuję:

Najlepiej scharakteryzować to miasto w następujący sposób: wykonajmy stop wszystkich mieszkańców i sporządźmy z niego odlew jednego obywatela. Otrzymamy robotnika, który skończył najwyżej jedenaście klas. Ciężka praca i zdrowy rozsądek pozwoliły mu zbudować życie typowe dla klasy średniej. Człowiek ten pracuje, by zapewnić rodzinie dach nad głową, i każdego miesiąca odkłada trochę pieniędzy na remont domu, choćby na naprawę starych drzwi czy dobudowanie warsztatu. Ma jedno dziecko lub dwoje - nie są szczególnie uzdolnione, ale radzą sobie w szkole i rodzice mogą zasypiać bez poczucia, że spłodzili kretynów.

Niewykluczone, że w weekendy wypija parę piw, nie tyle co bardziej krewcy znajomi, ale tak trochę, dla towarzystwa. Rodzina upatrzyła sobie dom w innym hrabstwie. Mają nadzieję, że kupią nowy kolorowy telewizor. W niedziele zwykle chodzą do kościoła, nie zawsze chętnie,

ale... przecież nigdy nic nie wiadomo, prawda?

Z kimś takim będziecie mieć do czynienia.

Ktoś taki będzie się do was uśmiechać, uściśnie wam dłoń i okaże życzliwość.

W rozmowie nigdy jednak nie poruszajcie spraw wybiegających poza najbliższą wypłatę. Praca, ulubione programy telewizyjne, artykuł z porannej gazety - to tematy bezpieczne. Narzekanie na koszty życia - proszę bardzo. Co słyhać u rodziny? - jak najbardziej. Czy masz czas coś szybko przekąsić? - pewnie. Nigdy jednak nie sięgajcie głębiej, bo wówczas uśmiech zniknie z jego twarzy, uścisk dłoni osłabnie, a życzliwość zabarwi się ostrożnością.

Ponieważ ktoś taki czuje się gorszy i nie chce, byś się o tym dowiedział. Od dawna podejrzewa, że jego życie zawsze będzie przeciętne. Czuje się samotny, porzucony, słaby, niemądry i niezaradny. Jedyne, co mu daje nadzieję, co wywołuje u niego i uśmiech, i strach to myśl, że może któreś z dzieci powie: „Hej, tato, nie jest tak źle, to miasteczko nie jest aż taką dziurą, więc taaa, może tu zostanę i rozejrzę się, co da się zrobić”.

A jeśli rzeczywiście zostanie? Ile czasu minie, aż przygarbi się jak typowy robotnik, zacznie skrzynkami kupować piwo, a jego skóra stanie się jedną wielką plamą nikotynową? Ile czasu minie, aż tymi samymi wymówkami zacznie usprawiedliwiać swoje przeciętne życie?

„Wiesz, trzeba płacić rachunki. Już nie te lata. Cały czas jestem cholernie zmęczony. Na Boga, ta praca mnie wykańcza”.

No, cóż... przynajmniej ma upatrzony dom za miastem, no i trzeba się kiedyś w końcu zebrać i kupić ten nowy kolorowy telewizor...

Ktoś taki spojrzy na ciebie i jego oczy zdradzą, że na sekundę zatopił się w myślach.

Czasami tak się zdarza.

Mrugnie, poprosi o wybaczenie, że zabrał ci tyle czasu, będzie ci życzył dobrego dnia i ruszy w stronę domu, bo rodzina czeka z kolacją. Miło było porozmawiać.

Oto Cedar Hill w stanie Ohio.

Od razu rozpoznasz to miasteczko - a potem równie szybko o nim zapomnisz - gdy będziesz tędy przejeżdżać w drodze do miejsc mniej ospałych i atrakcyjniejszych albo choćby nieco ciekawszych. Tu jednakowe domy stoją przy jednakowych ulicach, więc gdybyś tu mieszkał - i gdybyś tylko mógł - wyjechałbyś stąd, wciskając gaz do dechy, żeby dym z opon zakrył cały widok - na wszelki wypadek, gdybyś w chwili wahania po raz ostatni z nostalgią spojrzął w lusterko wsteczne na to przeciętne miasteczko Środkowego Zachodu.

Jednak szybko się zorientujesz, że to miejsce wcale nie jest takie przeciętne. Co więcej, mamy tutaj powiedzenie, które często wzbudza chichot u przyjezdnych, choć nie jest tak żartobliwe, jak się im wydaje: „To Cedar Hill. Możesz tutaj wdepnąć w niezłe łajno. I musisz się z tym pogodzić”.

Wkrótce do tego wrócimy, ty i ja. Teraz jednak przyjrzyjmy się kilku sprawom: stronom ksiąg, duchom, ludziom, miejscom, wszystkim „co jeśli”, „po co” i „dlaczego”, które tworzą to, co z braku lepszego określenia nazywa się „historią”. Wyobraź sobie całą tę historię jako światło schwymane przez prymitywny aparat fotograficzny, iluminację zaniesioną do ciemni, gdzie odczynniki chemiczne w kuwetach przywołują obrazy,

wspomnienia, chwile, zapomniane twarze i miejsca ukochane przez ludzi, którzy już dawno odeszli - teraz opustoszałe, pełne gruzu i śmieci parcele, gdzie w południowym słońcu bawią się dzieci. To wszystko wynurza się z czasu i pamięci, by spotkać nas tam, gdzie jesteśmy teraz - na tej stronie, w tym akapicie, w tym zdaniu, gdzie przywracamy im życie, tożsamość, ciepłe ciało i jasny błysk w oku, który świadczy o energii, nadziei i sensie istnienia. I jeśli wszystko pójdzie dobrze, być może te fantomy wyłonią się całkowicie, by odnaleźć swoje głosy, czekające tam, gdzie wymówiły ostatnie słowa. I duchy te szepną: „Oto nasza opowieść, opowieść, jak się to wszystko zaczęło. Jeśli uważnie jej wysłuchasz, przy końcu tej historii możesz być już kimś innym”.

4

Z Przewodnika po Cedar Hill, Spencer - Waters Press, styczeń 1969, strona 36:

Old Towne East - Wschodnią Starówkę w Cedar Hill - wielu uważa za prawdziwy powód do dumy. To ulubione przez mieszkańców i gości miejsce, które oferuje mnóstwo atrakcji. Znajdą tu państwo zawsze otwartą dla zwiedzających oryginalną siedzibę Towarzystwa Pionierów, Historyków i Antykwariuszy Hrabstwa Licking (które w 1947 roku zmieniło nazwę na Towarzystwo Historyczne Hrabstwa Licking i przeniosło się do nowego, większego gmachu w pobliżu Buckingham House). Są tu galerie sztuki, kina, kluby taneczne i kluby nocne, jak choćby słynna Kryjówka u Talleya, restauracje specjalizujące się w kuchni międzynarodowej i niezliczone sklepy z pamiątkami, by wymienić tylko garść atrakcji, dzięki którym to miejsce cieszy się zasłużoną sławą. Brązowa tablica przy wejściu do Legendarnej Restauracji i Grilla

informuje z dumą: „Tu Clark Gable jadł »naprawdę najlepszy pieczony stek!«, Wewnątrz goście mogą zobaczyć te same słowa napisane własnoręcznie przez pana Gable'a na oprawionej w ramki fotografii, ukazującej aktora w otoczeniu pracowników kuchni i kierownictwa lokalu.

Takie zadziwiające odkrycia czekają na was, gdy odwiedzicie Wschodnią Starówkę, centrum kulturalnego i nocnego życia Cedar Hill.

5

Wieczorem czternastego sierpnia 1969 roku większość mieszkańców Cedar Hill była przekonana, że ten cały zakichany świat sunie po nasmarowanych szynach prosto do piekła. I nieważne, czy słuchali Waltera Cronkite'a, oglądali magazyn informacyjny *Huntley - Brinkley Report* lub program Erica Sevareida, a nawet - niech go Bóg błogosławi - Billyego Grahama, wszystkie wiadomości były podłe: Kissinger i Xuan Thuy rozpoczęli negocjacje pokojowe w sprawie Wietnamu, które, ogólnie mówiąc, figę dawały; sekta psycholi pod wodzą niejakiego Mamona zaszlachtowała w Los Angeles Sharon Tatę i trzy inne osoby, a następnego nocy zabiła małżeństwo LaBianca; Związek Radziecki i Chiny miały poważny zatarg graniczny, który - jak wszyscy wiedzieli - z całą pewnością skończy się wybuchem atomowego grzyba na komunistycznym niebie; do Irlandii Północnej wysłano oddziały brytyjskie, by opanowały zamieszki między protestantami a katolikami po tym, jak Jack Lynch usilnie prosił o interwencję. A jakby tego było mało, jakby przyzwoity Amerykanin, który chodzi do kościoła, ciężko pracuje, przestrzega prawa, płaci podatki, stara się utrzymać na powierzchni, nie usłyszał już dość, by rwać sobie włosy z głowy, niejaki Max Yasgur, farmer z Bethel w stanie Nowy York, zgodził się - a gdzie miał olej w głowie? - żeby na jego ziemi

zorganizowano festiwal rockowy. I ten Woodstock - jak nazwała go młodzież - przyprawił rodziców i policję o bezsenność: wszyscy się martwili, jak to się skończy.

Ni cholery, nie ma wątpliwości: jeszcze krok, a wszystko zostanie spłukane do sedesu.

Charlie Smeds, odznaczony medalami weteran drugiej wojny światowej i wojny koreańskiej, obecnie nocny stróż w Fabryce Trumien Franklina Beaumonta w Old Towne East, znał te wiadomości, a jednak był najszcześliwszym człowiekiem na świecie.

Ponieważ za trzy dni jego syn Robert wracał z Wietnamu. Tak, to prawda, że chłopak stracił lewą nogę. Gdy Charlie i Ethel się o tym dowiedzieli, uronili niejedną łzę, ale Bobby, dziękować Bogu, żył. Wyszedł cało z krwawej jatki w bitwie pod Hue, co według Charliego należało uznać za niewątpliwy cud. Trzy osłabione bataliony piechoty morskiej - mniej niż dwa i pół tysiąca ludzi - walczyły przeciw dziesięciu tysiącom żołnierzy Armii Północnowietnamskiej i Wietkongu, którzy ciągle jeszcze kipieli złością po ofensywie Tet sprzed niecałego miesiąca. Wietnamczycy zaatakowali bazę lotniczą w Phu Bai, gdzie stacjonowała jednostka Bobby'ego. Chłopak został ranny pod koniec drugiego tygodnia bitwy, gdy rakietą Ludowej Armii Wietnamu B - 40 trafiła w skład paliwa, jakieś pięćdziesiąt metrów od hangaru służącego za tymczasową osłonę dla Bobby'ego i tuzina jego towarzyszy. Bobby dostał odłamkiem w ramię i stracił częściowo (na szczęście tylko na jakiś czas - kolejny powód, by dziękować Bogu) władzę w prawej ręce, co nie powstrzymało ani jego, ani kolegów od dalszej walki. Była to jak dotąd najdłuższa i najbardziej krwawa bitwa tej wojny, a Bobby wyszedł z niej z niegroźnymi ranami.

„Gdy już przeszliśmy przez to, ja i reszta chłopaków czujemy się tak, jakbyśmy byli niezwyciężeni” - napisał w liście do rodziców. I dodał: „Odpukajcie w niemalowane drzewo”.

A gdy już wyszedł cało z najstraszniejszej bitwy tej wojny - może nawet z najstraszniejszej bitwy w ogóle - stracił nogę podczas rutynowego patrolu. Pochylił się, by pogłaskać jakiegoś cholernego psa, i wtedy wdepnął na minę. Psu oczywiście nic się nie stało. Charlie wyobrażał sobie, że syn opowie na ten temat mnóstwo niesmacznych dowcipów - był miłośnikiem kotów, jak jego matka. A jeśli nie Bobby, to on sam będzie musiał żartować. Tego oczekiwał chłopak od swego staruszka.

A zatem tej sierpniowej nocy, gdy od trzech tygodni w środkowym Ohio panowała największa od prawie czterdziestu lat susza, a temperatura spadła wreszcie do trzydziestu stopni Celsjusza, Charlie przybył do pracy o dziewiątej wieczór i reszta świata mogła spływać do kanalizacji, ale kawałek należący do Charliego Smedsa był jasny i radosny jak w ulubionych książeczkach dla dzieci: *Sam to wszystko widziałem na ulicy Morwowej*, *O czym szumią wierzby* czy *Byczek Fernando*. Szczęśliwszego człowieka byś nie znalazł.

Gdy wszedł do małego, lecz wygodnego biura, które mieściło się na parterze, w zachodniej części budynku, włączył światła, na biurku postawił pudełko z lunchem i termos z kawą, sprawdził, czy godzina na kieszonkowym zegarku zgadza się z tą na zegarze ściennym, a potem przez radiostację połączył się z posterunkiem. Franklin Beaumont wymagał, by strażnicy co dwie godziny meldowali w biurze szeryfa, czy wszystko jest w porządku. Charlie stosował tę procedurę od prawie dwudziestu pięciu lat i stała się właściwie jego drugą naturą, co nie znaczy, że zaczął ją lek-

ceważyć. Faceci w takiej pracy często stawali się nieuważni i niedbali, myśleli, że to w porządku siedzieć na tyłku, czytając czasopisma, słuchając w radiu muzyki, drzemiąc albo dłubiąc w nosie, żeby sprawdzić, czy nie załęgło się tam coś interesującego. Człowiek łatwo się rozleniwia, gdy pracuje sam i nikt go nie nadzoruje. Ale nie Charlie, który w pracy pozwalał sobie tylko na przerwę na posiłek. Rzadko jadał przy biurku, czułby się zbyt samotnie, więc gdy tylko pogoda na to pozwalała, wychodził na zewnątrz i jadł na ławce, z której miał widok na róg Cedar Crest i East Main oraz schody prowadzące do Kryjówki u Talleya. Potem ubijał trochę tytoniu w fajce i miło, spokojnie sobie palił.

Ale to nastąpi później. Teraz miał pracę do wykonania. Zdjął z haka latarkę, otworzył drzwi do głównej hali fabryki i ruszył na obchód, by uczciwie zarobić na życie.

Rutynowe działania w wykonaniu Charliego urosły niemalże do rangi sztuki: najpierw sprawdzał, czy zamknięte są wszystkie drzwi na klatki schodowe; następnie zaglądał do hali na parterze, by się upewnić, czy ostatnia zmiana wyłączyła wszystkie maszyny; potem szedł po kolei do czterech wind, którymi pracownicy wjeżdżali na wyższe piętra, sprawdzał, czy drzwi są otwarte, a prąd wyłączony; następnie - ten element Charlie sam wymyślił, a pan Beaumont zaaprobował - z telefonu zamontowanego na ścianie w jadalni dla pracowników dzwonił do takich samych pomieszczeń na pierwszym, drugim i trzecim piętrze, by upewnić się, czy nikt tam przypadkiem nie utknął, kiedy zamykano fabrykę na noc (zdarzyło się kiedyś, że pewna młoda kobieta, pracująca na drugim piętrze, źle się poczuła i była w łazience, gdy wszyscy wychodzili do domu i zamknęli za sobą solidne drzwi, które dawały się otworzyć tylko z

zewnątrz, więc jeśli ktoś z jakiegoś powodu nie opuścił fabryki wraz z innymi, był uwięziony na całą noc... tak jak byłaby uwięziona tamta kobieta, gdyby Charlie pod wpływem impulsu nie zadzwonił na piętra); na koniec obchodu szedł w rejon, gdzie wystawiono trumny w równych rzędach, by szefowie domów pogrzebowych mogli je obejrzyć przed złożeniem zamówienia. W całym kraju trumny firmy Beaumont znane były z kunsztownego wykonania i nierzadko do Ohio przylatywali dyrektorzy domów pogrzebowych aż z Kalifornii.

Budynek fabryki był wielki, zajmował prawie dwie trzecie parceli między przecznicami, i dotarcie do miejsca ekspozycji zajmowało Charliemu blisko dwie godziny. Zostawał mu tylko czas na powrót do biura i przekazanie komunikatu radiowego na posterunek, może na łyk kawy lub pięciominutowy odpoczynek dla nóg. A potem cały obchód zaczynał się od nowa. I tak w koło Macieju. Gdyby ktoś obserwował Charliego Smedsa, pomyślałby, że ogląda balet człowieka pracy, a tej nocy Charlie wiedział, że za siedemdziesiąt dwie godziny uściska syna - i rzeczywiście tańczył. Nawet pogwizdywał - czego w pracy nie robił prawie nigdy.

O pierwszej trzydziści wyszedł z budynku przez drzwi od strony Cedar Crest Avenue i usiadł na tej samej co zwykle ławce. Noc nadal była nieznośnie upalna i sucha, ale jemu to zupełnie nie przeszkadzało. Miał ładny widok na ulicę, na kluby, sklepy i galerie z wygaszonym teraz oświetleniem, a przede wszystkim na wspaniałe, roziskrzone nocne niebo. Gwiazdy świeciły dziś wyjątkowo jasno i gdy Charlie pałaszował wielką kanapkę z chleba żytniego z klopsem (nikt nie robił takiego klopsa jak jego żona Ethel, a to, że zgodziła się nią zostać, było jednym z tysiąca

powodów, dla których uważał się za największego szczęściarza na świecie), obserwował niebo i wspominał chwile, gdy Bobby jako dziecko chciał zostać astronautą - marzenie zrodzone pod wpływem filmów fantastycznonaukowych, jakie w sobotnie popołudnia nadawał Channel 10. Zastanawiał się, czy syn i jego kumple w Wietnamie mogli w ubiegłym miesiącu obserwować lądowanie statku Apollo 11 na Księżycu, kiedy Neil Armstrong dokonał rzeczy niemożliwej - postawił stopę w miejscu innym niż Ziemia. Czyli sprawy wcale nie przedstawiały się tak strasznie, jak sądziła większość ludzi, skoro rasa ludzka była w stanie wystrzelić człowieka na Księżyc. Cuda, klops mięsny i światło gwiazd towarzyszyły Charliemu dziś w nocy, w domu czekała na niego dobra kobieta, a syn wkrótce będzie spał tu, gdzie się wychował. Człowiek byłby głupcem, gdyby prosił o więcej.

Na szczycie schodów prowadzących do Kryjówki u Talleya otworzyły się drzwi i na podest wyszedł Eugene Talley, syn Williama „Bill - dla - Przyjaciół - i - Klientów” Isaaca Talleya, który otworzył ten klub w latach dwudziestych. Eugene miał, jak ojciec, onyksową cerę, potężne barki i dziecięcy uśmiech oraz dudniący, barwny baryton, przypominający Charliemu nieżyjącego doktora Martina Luthera Kinga, niech w Bogu spoczywa jego mążna, znękana dusza.

- Ładna noc, prawda? - stwierdził Eugene.

- Była ładna, dopóki nie wyszedłeś, żeby przeszkadzać mi rozkoszować się ciszą.

- A ty mi przeszkadzasz rozkoszować się widokiem pustej ławki. Dla mnie to główna atrakcja dnia przyjść tu po zamknięciu lokalu i popatrzeć na nią. To ławka nad ławki. Można by nawet powiedzieć: Mona Lisa

ławek. A co zamiast tego dostaję? Muszę patrzeć, jak ty tu siedzisz. Nawiasem mówiąc, chyba widziałem, jak wcześniej gołąb narobił mniej więcej w tym miejscu, gdzie teraz usadziłeś swój kościsty tyłek.

Charlie się uśmiechnął.

- Jesteś dziś w wyjątkowym nastroju, Gene. Eugene również się do niego uśmiechnął.

- Wybacz, Charlie, że nie mogłem przyjść wcześniej. Musiałem dojść do ładu z kwitami. Czy mnie oczy mylą, czy jesz właśnie jedną z tych niezwykłych kanapek z klopsem Ethel?

- To połowa kanapki z klopsem. Druga jest ciągle nietknięta i na opakowaniu ma twoje imię. Więc jeśli nie masz nic przeciw temu, żeby usiąść obok mnie na gówieku gołębia...

Eugene rozpostarł ramiona.

- Jakbym mógł odrzucić tak czarujące zaproszenie? - Ruszył w dół po schodach, a ponieważ cierpiał na artretyzm jednego kolana, szedł wolniej niż większość ludzi. - Masz jakieś wieści od syna?

Charlie się rozpromienił.

- Ciekaw byłem, ile czasu ci to zajmie, zanim zapytasz. Dostaliśmy z Ethel wiadomość dziś rano. Za trzy dni Bobby wraca do domu.

Uśmiech Eugene'a stał się jeszcze szerszy.

- Och, Charlie, czyż to nie wspaniałe? Już dawno nie słyszałem tak dobrej nowiny. Cholernie dobre wieści, przyjacielu. - Doszedł do ławki i uściskał dłoń Charliego. - Proszę, przekaż Ethel, jak bardzo się cieszę.

- Przekażę na pewno. - Podał mu część kanapki. Ethel specjalnie przygotowała dwa razy większą, niż byłby w stanie zjeść. Wiedziała, że maż lubi dzielić się z kolegą.

- Coś ci powiem. - Eugene, odwinął swoją połówkę z papieru i rozkoszował się jej zapachem. - Kiedy Bobby już się zadomowi, przyprowadź go z Ethel w któryś weekend, a ja dam wam najlepszy stolik i postawię im kolację i drinki.

Charlie mrugnął.

- A moja kolacja i drinki?

- Czy to ty zrobiłeś tę kanapkę z klopsem?

- Nie.

- Czy to ty walczyłeś dwa lata w Azji Południowo - Wschodniej i byłeś dwukrotnie ranny?

- Nie, wtedy bym tu z tobą nie siedział.

- W takim razie ty płacisz za siebie. Jestem hojny, ale nie jestem ćwokiem, żeby mnie wykorzystywać.

- Po takich słowach czuję ciepło aż do hemoroidów.

- Gdybyś od czasu do czasu rozluźnił swój kościsty tyłek, może wcale nie miałbyś hemoroidów. Pomyślałeś kiedyś o tym?

- Dlaczego się na to godzę?

- Bo w tym mieście tylko ty i ja potrafimy docenić estetyczne walory ławek. Niech mnie, ta kanapka to jest coś! Powiedz Ethel, że tym razem przeszła samą siebie.

- Ona tylko czeka na twoje pochwały.

- Kolego, gdyby nie ty i Ethel, musiałbym się zadowolić jajecznicą i... Zaraz, co to takiego?

Charlie nieco się wyprostował.

- Chodzi ci o ten hałas?

- Nie, o kawałek ciasta pod twoją serwetką. Myślisz, że go nie wi-

dzę? Oczywiście, że o hałas.

Mężczyźni zamilkli, nasłuchując zbliżających się odgłosów.

- Wiem, że to niemożliwe - szepnął Eugene - ale przysięgłbym, że to dźwięk...

- Niech to jasna cholera. - Charlie wskazał w stronę skrzyżowania Cedar Crest i East Main. - Powiedz mi, że to nie to, co widzę.

Ale jego kolega, równie oszołomiony jak on sam, tylko kręcił głową. Charlie przeżegnał się. Po chwili, gdy obaj zdali sobie sprawę, że to nie przywidzenie, Eugene też się przeżegnał.

6

Z Przewodnika po Cedar Hill, strony 59 - 60:

„Głosowano za tym, by wydzielić parcelę budowlaną na terenie Starego Cmentarza we wschodniej części miasta, a nagrobki i tych których miejsca ostatecznego spoczynku oznaczają, przenieść do mniej zaniedbanego rejonu” - pisał burmistrz w swoim oświadczeniu w 1902 roku.

I tak ciała, których przez ponad sto lat nikt nie niepokoił, zostały ekshumowane i przeniesione na obszerny teren cmentarza Cedar Hill, który teraz jest najstarszym i najsłynniejszym miejscem pochówku w hrabstwie.

W czasach ekshumacji starego cmentarzyska jeden z obywateli z dużą dozą kąśliwego humoru napisał popularną do dziś rymowankę:

Pierwszy cmentarz był za Beckwithem, Murphy tam handlował słoniną i żytem. Następny na rogu Main i Crest, Gdzie teraz nasze muzeum jest. Potem go przenieśli w północne rejony. Więc Stary Adam odkopał swe żony 1 przez szerokie i wąskie ulice Przewiózł stare kości na

starej bryce.

Jedna z zagadek związanych z pozostałościami Starego Cmentarza to kopiec i samotny kamień przy Cedar Crest Avenue.

Przekazywano sobie na ten temat rozmaite opowieści. Najbardziej popularna mówiła, że jest tam pochowany mężczyzna z koniem jako symbol tych wszystkich, których kiedyś pogrzebano na tym terenie. (Ta wersja pochodzi być może od wczesnych osadników walijskich).

Dlaczego nie usunięto kamienia - nie wiadomo; nikt również nie wie, dlaczego kopiec ciągle istnieje. Prawdopodobnie nadal leżą tu ciała pogrzebane pod chodnikami i uliczkami, ponieważ oświadczenie z 1902 roku nie zobowiązywało do przeniesienia wszystkich kości. Wielu osadników zmarło podczas wielkiej epidemii cholery w 1805 roku i zlokalizowanie oraz ekshumacja wszystkich ciał byłaby prawie niemożliwa. Pozostały one najprawdopodobniej pod fundamentami domów, a największa ich koncentracja znajduje się w rejonie Old Towne East. Liczba mieszkańców Cedar Hill stale rośnie, należy się więc spodziewać, że w ciągu następnych dziesięcioleci władze miasta będą szukały nowych terenów budowlanych i może niektórzy z zapomnianych zmarłych zostaną ekshumowani i przeniesieni w bardziej odpowiednie miejsce ostatecznego spoczynku...

7

Charlie Smeds i Eugene Talley oniemieli: po ulicy jechał staroświecki, rozklekotany drewniany wóz zaprzężony w konia. Woźnica przesłonił twarz chustą, zakrywając nos i usta.

Wóz załadowany był martwymi ciałami i wykopanymi płytami nagrobnymi. Niektóre z ciał były w stanie tak zaawansowanego rozkładu, że

kawałki mięsa, ponadrywane podczas ekshumacji lub obluzowane wskutek drgań wozu, odpadały i unoszone przez nieistniejący wiatr rozpadały się w pył, nim wzleciały na wysokość latarni. Najświeższe zwłoki były nadal wzdęte, niektóre lekko, inne monstrualnie; wszystkie ciała miały zmieniony kolor, część wyschła na wiór, a inne składały się z prawie samych kości.

Klap, klap, klap - stukot końskich kopyt brzmiał znacznie głośniejszy, niż powinien i wcale nie dlatego, że noc była cicha, a powietrze suche, ale ponieważ cień rzucany przez konia i wóz zmieniał asfalt jezdni w kocie łby. Charlie i Eugene obserwowali to ze swojej ławki.

- Co to, do diaska? - Słowa uwięzły Charliemu w gardle, bo oto nadjechał drugi wóz. Był znacznie starszy od poprzedniego i pojawił się, gdy tylko tamten został wchłonięty przez cień. Nowy wóz również wiozł ciała, które mimo obrzydliwej barwy skóry wyglądały na świeże, jakby śmierć zabrała je zaledwie kilka godzin temu. Z przodu wozu siedziało dwóch ludzi w ciężkich paltach; usta i nosy zasłonili solidnymi zimowymi szalikami, na rękach mieli grube rękawice. Odgłos końskich kopyt na bruku tłumiał śnieg, pokrywający te miejsca, gdzie padł cień wozu. Za zaprzęgiem szła procesja ludzi w różnym wieku; zostawiali ślady na śniegu, pojawiającym się tam, gdzie kładły się ich własne cienie; starszych wspierali młodsi i silniejsi, ci w średnim wieku maszerowali ramię w ramię lub samotnie, a na końcu kilkoro dzieci w zimowych ubraniach sprzed stu lat próbowało wyglądać dzielnie, i tłumić łzy, które jednak niekiedy wygrywały i zamarzały im w pół drogi na policzkach.

Pochód zamykała zupełnie samotna mała dziewczynka, bardzo chuda i blada. Przyciskała do piersi zniszczoną, szmacianą lalkę. Łzy

zamarzające na jej policzkach nie powstrzymały rozpaczliwego łkania. Charlie i Eugene nigdy nie widzieli takiego smutku. Gdy kondukt zniknął w ciemności, dziewczynka przystanęła, wpatrując się w swoje stopy i wycierając nos rękawem płaszcza zbyt lekkiego na tę zimową pogodę.

Westchnęła, a jej oddech utworzył w powietrzu delikatną mgiełkę. Mocniej ścisnęła lalkę, znów wytarła nos i nie ruszając się z miejsca, wpatrywała się w Charliego i Eugene'a.

- Kiedy byłem dzieckiem, tato opowiadał mi o tym. - Eugene schwycił Charliego za ramię. Mówił szeptem, jakby się bał, że przy głośniejszych słowach wizja zniknie. - Nie wierzyłem mu, póki pewnej nocy sam tego nie zobaczyłem.

Nie patrząc na przyjaciela, Charlie powoli skinął głową.

- To wszystko duchy?

- Są duchami dla nas. Dla siebie nadal żyją w czasie, z którego pochodzą. Jeśli ta dziewczynka nas widzi, to prawdopodobnie dla niej my wyglądamy jak duchy.

- I co teraz, Eugene?

- Powinniśmy siedzieć i czekać, aż wszystko się skończy.

Dziewczynka wyciągnęła lalkę, mówiąc:

- Mama ją dla mnie zrobiła. Ale teraz jest w niebie z tatusiem. Oboje byli bardzo chorzy i... i zasnęli wczoraj w nocy, i już się nie obudzili.

- Czy są na wozie? - spytał Charlie bez zastanowienia. Dziewczynka skinęła głową.

- Tak, proszę pana. Idziemy, żeby pomodlić się nad wszystkimi grobami. Z miasta każdy, kto żyw, tu będzie. - Spojrzała w głąb ulicy, gdzie w cieniu zniknął kondukt. - Jestem zmęczona, proszę pana. Źle się

czuję. Tak mi zimno. Czy mógłby pan... zabrać mnie tam? Będę bardzo grzeczna, naprawdę.

Charlie oswobodził ramię z uścisku Eugene'a i ruszył w stronę dziewczynki. Wyciągnął obie ręce, by ją objąć i podnieść, ale gdy tylko dotknął jej ramion, znowu westchnęła, a jej oczy wpadły w oczodoły, znikając w ciemnym wnętrzu czaszki, zaś po chwili, w sekwencji miękkich, suchych dźwięków, zapadła się cała głowa. Ciało dziewczynki kruszyło się i łuszczyło, zmieniało w proch, a wreszcie pękło na pół i rozwiało się, znikając w zimowej mgle. Charlie omal nie stracił równowagi - nie tylko z powodu szoku, ale także dlatego, że przygotowywał się do przyjęcia dodatkowego ciężaru.

Eugene jeszcze raz zrobił znak krzyża.

- Nic ci nie jest, Charlie?

- Do diabła, nie wiem. - Ciągle miał przed oczami bezradną twarz dziewczynki. Ten obraz wbił się w jego pamięć i, jak Charlie przypuszczał, pozostanie tam do końca jego dni. - Niech to! Dlaczego nie spytałem jej o imię?

Eugene westchnął i pokręcił głową.

- A co by to dało?

- Nie... nie wiem. Chyba należałoby tak zrobić? Dobry Boże, od czasu gdy moja dywizja wyzwalała obozy w Straubing i Gunskirchen, nie widziałem takich rozpadających się ciał.

Eugene przywołał gestem przyjaciela, a gdy ten rozdygotany zajął swoje zwykłe miejsce, poklepał go po plecach.

- W czasach prohibicji - zaczął - tato miał kumpla, o nazwisku Granger, który przemyczał dla niego rum. Ojciec dostawał gorzałę głównie

z Kentucky, a Granger zawsze załatwiał rachunki i odbierał towar. Jednej nocy, gdy wracał do Cedar Hill, natknął się na grupę chłopaków - - prohibicjonistów, którzy niegrzecznie potraktowali „mądralę” - jeden z nich go tak nazwał: „mądrala”. Ta wymówka im wystarczyła. Wyciągnęli pistolety i zaczęli strzelać. Czarnuch - mądrala w minervie pełnej wody stanowił dla nich dobrą tarczę strzelniczą. Ale Granger był silnym, dużym i szybkim facetem. Gonili go ładnych parę kilometrów, aż udało im się przestrzelić opony w jego wozie i musiał uciekać pieszo. I wiesz, co te dranie zrobiły? Strzelili mu z tyłu w oba kolana, aż padł jak worek mokrego cementu. Ale tym typom to nie wystarczyło, o nie. Wypuścili na niego psy, a później przywiązali z tyłu swojego samochodu i zaciągnęli na plac w centrum miasta. To, co z niego zostało, powiesili ptakom na przekąskę. Gazety pisały, że nadal żył, gdy go wieszali. Wisiał tak prawie dwa cholerne dni, aż jacyś ludzie, stali klienci klubu, odcięli go. Tato im pomagał. Pewnego razu wróciłem do domu z płaczem, bo jakiś dzieciak nazwał mnie „asfalt”, a reszta się śmiała. Tato powiedział do mnie: „Taa, to okropne i bardzo ci współczuję, że cię to zdenerwowało, ale jeśli nic gorszego nie spotka cię z powodu koloru skóry, to uważaj się za szczęśliwca”. Wtedy opowiedział mi historię Grangera i mówił, że czasami w nocy, około drugiej, kiedy jest rzeczywiście bardzo ciemno, można zobaczyć, jak duchy tych chłopaków wieszają nieszczęsnego Grangera. Nie wierzyłem mu, więc pewnej nocy tato obudził mnie o wpół do drugiej i pojechaliśmy do centrum, tam gdzie się to wydarzyło i... - Eugene pokręcił głową. - Klnę się, że stałem przy samochodzie i widziałem, jak to się znowu dzieje. Tato nie mógł zbyt długo na to patrzeć... a ja nie mogłem oderwać wzroku. Widziałem zdjęcia, w starych

książkach, pokazujące, jak dawniej traktowano czarnych, ale nigdy się za bardzo nad tym nie zastanawiałem. Tamtej nocy nie miałem wyboru, bo chociaż było ciemno, ta cholerna scena rozgrywała się przed moimi oczami wyraźnie, jakby to był dzień. Słyszałem nawet, jak tamte chłopaki się śmieją, jak wyzywają Grangera obrzydliwymi, plugawymi słowami, a potem krzyczą, żeby kopał mocniej, gdy go już powiesili na latarni... Boże, Charlie, nigdy przedtem nie słyszałem, jak człowiek dusi się na śmierć, a Granger... tak cierpiał. Ciągłe nawiedzają mnie te koszmary.

- Nigdy za bardzo nie wierzyłem w duchy - stwierdził Charlie. - Przynajmniej nie w taki sposób. Uważałem, że duchy, no wiesz, śnią się czasami, gdy ma się nieczyste sumienie.

- No to teraz się przekonałeś. Charlie szybko skinął głową.

- Przekonałem się, jak cholera. - Spojrzał na Eugene'a. - Jak ty... wiem, że ciągle miewasz koszmary, ale jak ty... sobie radzisz z codziennym życiem, wiedząc, że takie rzeczy naprawdę istnieją?

Eugene się uśmiechnął.

- Przeraza mnie to, ale im więcej o tym myślę, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że duchy, jak te, które widzieliśmy przed chwilą, bez względu na to, z jakiego czasu w przeszłości pochodzą, są dowodem na istnienie Boga. Wydaje mi się, że w ten sposób chce nam przypomnieć o tym, co najważniejsze, i może też w ten sposób napomina nas, żebyśmy zrobili wszystko, by takie rzeczy nigdy więcej się nie zdarzyły.

- Czy dzięki temu łatwiej ci żyć?

- Tak, przez większość dni.

- A w te dni, kiedy jest ci ciężko? Eugene wzruszył ramionami.

- Idę do kina lub robię coś innego, by oderwać się od tych wspo-

mnień. Ale wiesz, Charlie, co myślę? Że kiedy człowiek ma tyle lat co my, kiedy pięćdziesiątka idzie w niepamięć, a sześćdziesiątka jest coraz bliżej i widzisz ją coraz wyraźniej, to jest jakiś dar, być świadkiem czegoś takiego, nawet jeśli historia jest tak straszna jak ta z Grangerem. Dar, ponieważ faceci w naszym wieku mogą się przekonać, że ciągle istnieją wielkie tajemnice na tym starym, smutnym świecie i nie wiem jak tobie, ale mnie się to naprawdę podoba. Tak, z całą pewnością.

- Nigdy nie próbowałeś zrozumieć, dlaczego tak się dzieje? Eugene pokręcił głową.

- Przyjacielu, dawno temu zrezygnowałem i nie szukam wyjaśnienia. Raczej go nie ma... a gdyby nawet było, nie jestem wcale pewien, czy chciałbym je znać.

Siedzieli w milczeniu przez parę minut, wpatrując się w to miejsce, gdzie widzieli kondukt, a szczególnie tam, gdzie przystanąła dziewczynka, by z nimi porozmawiać. Ulica znów była ciemna, na gładkim asfalcie nie pozostały żadne ślady śniegu.

Eugene spojrział na zegarek.

- Psiakrew, Charlie, nie bardzo mi się chce, ale muszę coś jeszcze zrobić przed powrotem do domu.

Charlie też sprawdził godzinę na swoim zegarku.

- Jasny gwint! Trzy po drugiej. Spóźniam się z meldunkiem. - Chwycił pudełko po lunchu i termos z kawą. - W biurze szeryfa domyślają się, że, no wiesz, może czasami idę do toalety po przerwie, więc dają mi ekstra kwadrans, zanim ktoś od nich tu dzwoni.

- To po co się tak śpieszysz?

- Nie lubię się spóźniać. To wbrew mojej naturze. - W pudełku, pod

serwetką, dostrzegł kawałek ciasta i wyjął go. - Chcesz na drogę?

- A już myślałem, że sam wszystko zjesz. - Wziął ciasto od Charliego. - Przekaż Ethel wyrazy uznania i nie zapomnij powiedzieć jej i Bobby'emu, że stawiam obiad całej waszej trójce. To zaszczyt usłużyć tak pięknej pani i dwóm weteranom wojennym - tobie i synowi.

- Dzięki, Eugene. - Charlie uściśnął mu dłoń, która była tak wielka, że mógłby chyba na niej usiąść. Potem patrzył, jak przyjaciel wchodzi po schodach do Kryjówki. Upewniwszy się, że bezpiecznie dotarł do lokalu, wrócił do fabryki.

Gdy zamknął za sobą drzwi, przez kilka sekund opierał czoło o zimną, stalową framugę, starając się uspokoić oddech i bicie serca. Ethel nigdy w życiu w to nie uwierzy. „Kochanie, zgadnij, co mi się przydarzyło dziś w pracy. Widziałem mnóstwo duchów. Szły ulicą. Jeden nawet ze mną rozmawiał”. A ona wtedy powie: „To miłe, Charlie. A teraz usiądź sobie spokojnie, a ja muszę zadzwonić, dobrze? Nie wpadaj w panikę, kiedy usłyszysz syreny za kilka minut. Masz, zjedz na razie kawałek ciasta. Tylko, proszę, używaj plastikowego widelca”.

Charlie zaśmiał się z przymusem i postanowił potraktować to jako „tajemnicę” - dzięki ci, Eugene. A więc była to noc klopsa, cudów i tajemnic. Mężczyźni dobrze po pięćdziesiątce potrzebowali trochę tajemnic, by życie było ciągle interesujące. Podobnie jak przyjaciel, przez całe życie słyszał historie o dziwnych rzeczach, jakie tu się działy, ale uważał je za lokalny folklor albo zwykłe brednie. Już nigdy więcej tak nie powie.

Zakasłał, upewnił się, że dłonie mu nie drżą, podniósł głowę i odwrócił się, by spojrzeć na główną halę fabryczną, której okna wychodziły

na Glenn Carroll.

Oczy mu się rozszerzyły, oddech zamarł w piersiach, ręce straciły siłę, a ramiona znów się zaczęły trząść. Nie słyszał, jak pudełko śniadaniowe pada na podłogę z głośnym metalicznym brzękiem i jak termos, który służył mu prawie dwadzieścia pięć lat, roztrzaskuje się na kawałki. W tym momencie Charlie myślał tylko o Ethel, jej uśmiechu, pocałunkach, dotyku dłoni, kojącym ciepłe jej ciało, gdy w nocy budził się z koszmarów... i jak bardzo chciałby teraz znaleźć się przy niej, w domu, gdzie snuliby wielkie plany na powrót Bobby'ego.

Patrzył na rzecz znajdującą się kilka metrów dalej i zastanawiał się, czy to również Eugene nazwałby „tajemnicą” czy raczej byłby przerażony do szpiku kości. Charlie pomyślał, że być może... tylko być może... że jeśli zamknie oczy i pozostanie bez ruchu, ta rzecz zniknie, a jeśli tak się stanie, to on napisze podanie o wcześniejszy urlop, o co Ethel od dawna go prosiła. Zacisnął więc powieki, wyobraził sobie żonę i syna, powoli wciągnął i wypuścił powietrze, a gdy ponownie otworzył oczy, serce omal nie wyskoczyło mu z piersi, bo zobaczył, co ciągle stoi niecałe pięć metrów od niego. Gwałtownie nabrał powietrza i gdyby go ktoś słyszał, wiedziałby, że to nie jest zwykłe westchnienie, lecz zapowiedź czegoś znacznie silniejszego i bardziej przerażającego, czego nie spodziewalibyśmy się po mężczyźnie, który brał udział w dwóch wojnach i widział tyle okrucieństw, śmierci i grozy, że wystarczyłoby tego dla trzech osób.

Mimowolnie przycisnął dłonie do ust, by stłumić ten dźwięk. Może po drugiej stronie drzwi pod rozgwieżdżonym niebem były tajemnice i cuda, ale to... to...

Z Przewodnika po Cedar Hill, strony 47 - 48:

We wczesnym okresie Cedar Hill - gdy irlandzcy i walijscy emigranci ciągle pokojowo współpracowali z Indianami Delaware, by ustanowić trasy dostaw przez Black Hand Gorge - dopływ rzeki Licking, North Fork, wyznaczał wschodnią granicę tutejszej społeczności. Później ziemie te zamieszkiwali Indianie Shawnee i Wyandot. Na wschód od North Fork leżał obszar należący wyłącznie do Lenni Lenape, którzy twierdzili, że to teren przeklęty, *M'wa 'Ka - ne - pay - oo - ta 'rtai*: Psie Miasto.

Nazwę tę nadał mu osadnik Elias Hughes, który podczas wyprawy myśliwskiej zapuścił się w nieznane rejony na drugim brzegu rzeki Licking. Natknął się na potężne *pop - ho 'kus* - drzewo cedru - mające pośrodku pnia wielką szczelinę, która rozwierała się i zamykała w regularnych odstępach czasu. Krótko mówiąc, drzewo oddychało. Hughes chwycił siekierę i zaczął rąbać cedr, który, jak powiadają, spryskał go krwią od stóp do głów. Gdy po raz kolejny zamachnął się siekierą, zmarł z przerażenia: drzewo samo wyrwało się z korzeniami i upadło do tyłu, a z wielkiej szczeliny wydało na świat - niczym rodząca kobieta - istotę, która, jak napisał, „była złem, bezbożną ohydą natury i wszystkiego, co jest jej drogie. Widziałem przed sobą demona, mającego prawie trzy metry wysokości. Odwrócił się ku mnie, a ja ze zdziwieniem obserwowałem jego krwawiące rany, zadane moją własną siekierą - wilgotniały i ruszały się, ohydnie drząc, po czym zablizniały się jakby cudem. To paskudztwo wstało i szepnęło: *'Ta'lee!* (Pamiętaj!) i susem skoczyło za wzgórze. Wszedłem za nim na szczyt i tam moim oczom ukazał się jeszcze

okropniejszy widok. W dolinie były setki potworów, z kształtu i zachowania identyczne jak stwór, którego poraniłem, tylko rozmiarem przypominały zwykłego człowieka. Byłem tym tak głęboko poruszony, że rzuciłem na ziemię wszystkie swoje rzeczy i uciekłem. Niech Bóg będzie miłościw i wymaże z mojego umysłu te bluźniercze obrazy oraz łaskawie nie dopuści, by ludzkość kiedyś znów natknęła się na te diabły”.

Legenda, przekazywana przez lata z ust do ust, doczekała się kilku wersji; niektórzy uważali, że te stworzenia to w istocie były psy, inni - że kojoty, wilki lub może nawet członkowie *Tuk sit*: Wilczego Klanu plemienia Lenni Lenape, ubrani w swoje rytualne stroje. Niektórzy wierzyli, że Hughes zobaczył tylko duchy zmarłych, co wprawilo go w taką histerię, że zaczął sobie wyobrażać różne „monstra”.

Bez względu na stan faktyczny - którego nigdy nie poznamy - ta legenda i tamto miejsce zawsze inspirowały wyobraźnię ludzi, zwłaszcza młodych, którzy rozbijali tam obozowiska i pod zimnym, jesiennym księżycem opowiadali sobie historie o duchach. Każdy rozsądny chłopak chciał spędzić noc w Psim Mieście. Młodzi o najbardziej rozbudzonej wyobraźni twierdzili nawet, że widzieli oddychające drzewo - ukazywało się jakoby w różnych miejscach hrabstwa, a konary nadal nosiły ślady zostawione przez siekiereę Hughesa i ślady te ciągle krwawiły.

A inna ciekawa wersja legendy głosi, że w głębi oddychającej szczeliny pośrodku pnia często można zobaczyć...

9

Słyszeliście? Gdy Eugene Talley powiedział do Charliego: „Przyjacielu, dawno temu zrezygnowałem i nie szukam wyjaśnienia. Raczej go nie ma... a gdyby nawet było, nie jestem wcale pewien, czy

chciałbym je znać”. Czy te słowa rozbudziły waszą ciekawość? Czy was zastanowiły?

Istnieje wyjaśnienie tych dziwnych, niepokojących, zatrważających, a w każdym razie osobliwych wydarzeń w historii Cedar Hill, a także w czasach, gdy to miejsce nie nazywało się jeszcze Cedar Hill.

Fizycy uważają, że świat jest czterowymiarowym - czy czterowarstwowym - continuum: trzy wymiary istnieją w przestrzeni, jeden w czasie. Dopuszcza się możliwość istnienia innych rozłącznych warstw rzeczywistości tworzących nieznaną liczbę wieloświatów. Fizycy nie traktują czasu jako sekwencji zdarzeń, które „mają miejsce”, według nich przeszłość i przyszłość po prostu „są”, a czas rozciąga się w każdym kierunku od każdego momentu w taki sam sposób, jak przestrzeń rozciąga się z każdego miejsca. Zatem to, o czym fizycy mówią „tam”, my nazywamy teraźniejszością i jest to zwykły punkt czterowymiarowego wszechświata - kropka pośrodku strony.

Mówiąc prościej, istnieją na świecie miejsca - dziwne, zapomniane, banalne, a czasami zniszczone - gdzie styk skończonego z nieskończonym nie jest wygładzony, więc mały kawałek przeszłości, przyszłości albo nawet rzeczywistości alternatywnej łatwo przenika przez szczeliny. Gdy do tego dochodzi, ludzie zwykle używają określeń „zjawiska niewyjaśnione”, „halucynacje” czy „cuda”.

A słowo, które jest im w istocie potrzebne to palimpsest.

Gdy średniowieczni mnisi przepisywali teksty biblijne, często musieli wymazywać rysunki i słowa z używanego wcześniej pergaminu, tak wielkie było zapotrzebowanie na materiały piśmienne. Gdy wysychał świeży atrament, na kartach uwidaczały się poprzednie zapisy.

Oglądając je we współczesnych muzeach, łatwo zauważyć „duchy” oryginalnych rysunków i tekstów. Na jednej stronie widnieją równocześnie dwie warstwy - przeszłość i terażniejszość łączą się w całość - poprzednia wersja przenika w późniejszą, nakładają się na siebie i tworzą hybrydę, lecz mimo to sensowną rzeczywistość. Palimpsest.

Cedar Hill jest jednym z takich obszarów - czasami mówi się o nich „miejsca mocy” - gdzie styk skończonego i nieskończonego nie jest tak gładki, jak powinien być, więc w noce takie jak ta, noce, podczas których ludzie w rodzaju Charliego Smedsa i Eugene'a Talleya są świadkami - a nawet współuczestnikami - wydarzeń, które miały miejsce setki lat temu, szczeliny rozwierają się nieco szerzej, otwory stają się nieco większe, a zasłona oddzielająca tę rzeczywistość od tego, co czeka po drugiej stronie - coraz cieńsza. Cedar Hill to miasto graniczne i, jak możecie sobie wyobrazić, takie miejsce wymaga strażnika, wartownika, stróża. Ale wyprzedzam fakty.

Jeśli wymagacie dalszych dowodów na prawdziwość moich słów, jeśli dla was widzieć to uwierzyć, proponuję wrócić do Charliego. Dobrze przyjrzyjcie się jego twarzy. Zapamiętajcie światło w jego oczach. Jeśli możecie, przywołajcie brzmienie jego śmiechu, tembr głosu, przymioty charakteru. I razem z nim spójrzcie na tę rzecz, która przeniknęła z wcześniejszych zapisów.

10

To był najwyższy, najbrzydszy, najgrubszy, najbardziej nienaturalnie poskręcany cedr, jaki Charlie kiedykolwiek widział. Stał w samym środku głównej hali, jakby go posadzono przed dwustu laty, a fabryka w jakiś sposób wyrosła wokół niego. Zwarte, szerokie korzenie wnikały w be-

tonową podłogę tak gładko jak palce zanurzone w wodzie; bez pęknięć, szczelin, dziur; kora nie była nigdzie uszkodzona; korzenie i podłoga idealnie zlewały się z sobą.

Charlie zrobił kilka ostrożnych kroków w stronę drzewa. Wzrok cały czas koncentrował na jednej z niższych gałęzi - dostrzegł na niej głębokie, zrobione najprawdopodobniej siekierą rozcięcie, z którego kapowało coś gęstego, mokrego i ciemnego. Im bliżej podchodził do drzewa, tym wyraźniej widział ślady po siekierze, zadane niezbyt wprawną ręką. Rany - a były to prawdziwe rany, ponieważ każde poszarpane nacięcie krwawiło - zaczynały się częściowo zablizniać, ale nie dość szybko, by Charlie nie zauważył, że pod korą zamiast zwykłego drewna jest rozmiękła, czerwona tkanka i mocno skręcone ścięgna.

I wydawało mu się, że to diabelstwo oddycha.

Uklęknął w miejscu, gdzie najbliższy korzeń wnikał w podłoże i dotknął go, sam się dziwiąc, dlaczego to robi. Drzewo było bez wątpienia rzeczywiste, pod palcami miał normalną korę, ale czuł promieniujące na powierzchnię ciepło, jakby ta rzecz miała wysoką gorączkę. Charlie oderwał dłoń i spojrzał na nią. Nawet przy słabych, nocnych lampkach widział, że jest pokryta połyskującym potem. Tylko czy coś tak lepkiego można nazwać potem?

Wytrzeł rękę o spodnie, wstał i wycofał się, wstrzymując oddech. Teraz ta osoba - lub rzecz - oddychała głośniejszym, ale również z większym wysiłkiem, świszcząc, z flegmą.

Tak, masz kilka możliwości, powiedział sobie w duchu. Możesz pójść po Eugene'a i zaciągnąć go tutaj, żeby on też to zobaczył, ale nie ma gwarancji, że ta rzecz nadal tu będzie, kiedy wrócicie. Możesz przez radio

zawiadomić ludzi w biurze szeryfa, że do fabryki włamało się oddychające, krwawiące, gorączkujące drzewo cedru i czekać, aż cię zabiorą do wariatkowa; albo możesz skorzystać z rady Eugene'a i spojrzeć na to jak na dar tajemnicy, mały prezent od Boga, który chce przypomnieć ludziom, że ciągle się nimi interesuje.

Charlie czuł, jak poci się pod koszulą. Zdjął czapkę i zobaczył, że jej brzeg jest aż mokry. Dlaczego zrobiło się tu tak gorąco? Może Ethel miała rację, że złapałem jakiegoś wirusa? - pomyślał. „Od kiedy dostaliśmy wiadomość, cały czas, kochanie, martwisz się o Bobbyego. Powiedziałaś, że nie możesz spać. Mężczyźnie w twoim wieku to wystarczy, choroba gotowa”.

Postanowił, że najlepiej będzie, jak wróci do swojego biura, zamelduje się przez radio u szeryfa, a potem zadzwoni do Dona Fortneya, strażnika weekendowego, i poprosi, by zastąpił go na resztę nocy. Parę dni temu Don wspominał, że mógłby wziąć kilka dodatkowych godzin w tygodniu roboczym. Tak właśnie należy zrobić, powiedział do siebie w duchu. Tak by postąpił rozgarnięty facet, bez cienia wątpliwości.

Więc oczywiście... nadal stał i gapił się na oddychające drzewo. Im bardziej się wpatrywał, tym dokładniej widział, jak środek pnia rozszerza się i kurczy z każdym głębokim, bolesnym oddechem. Z zadanych siekierą ran krew kapłała na podłogę, a gdy krople stykały się z betonem, rozlegał się syk. Charlie wytarł twarz rękawem i rozpiął górne guziki koszuli. Usta mu wyschły, gardło miał obolałe i spieczone. Choć bardzo się starał, nie potrafił oderwać wzroku od ziejącego pionowego rozcięcia.

Gorąco... Jezu, jak tu gorąco! Może to przez światło, srebrzyste światło, sączące się spomiędzy drżącego, różowego mięsa wewnątrz

szpary. Przez chwilę Charlie zastanawiał się, co Eugene by na to powiedział. Czy potrafiłby wyjaśnić, jaką to tajemnicę przysłał w darze Bóg. Obracał językiem w ustach, żeby wytworzyć choć trochę śliny. Bezskutecznie. Było zbyt gorąco i zbyt sucho, nawet pot parował od razu, gdy tylko pojawiał się na skórze. Oczy zaczęły go piec i musiał mrugać, by choć trochę je zwilżyć. Żeby gałki oczne nie wyschły całkowicie i nie zapadły się jak u tamtej dziewczynki, smutnej dziewczynki - ducha, idącej w kondukcje za wozem z ciałami, która przytulała do piersi lalkę, jakby to była jakaś żywa istota, potrafiąca równocześnie brać i dawać miłość. I Charlie prawie się roześmiał, gdy sobie wyobraził, jak jego głowa zapada się, ciało łuszczy płatami i zmienia w proch, a potem rozłupane na dwie części znika, choć tutaj, w tej chwili znikaloby z sykiem, tak jak syczy krew kapiąca z gałęzi drzewa, która dociera do rozpalonej podłogi i puf! znika, i koniec. Charlie wciągał gorące powietrze, jakby wciągał niewidzialny ogień, ale mimo to płuca z radością przyjęły ten żar i ból, ponieważ to oznaczało, że ciało nadal funkcjonuje, ciągle jest zdolne do ruchu, reaguje, czyli że Charlie jeszcze nie zwariował, nie ma mowy, nie on, jego mózg nie skwierczy w wysokiej temperaturze, jak to było z brytyjskimi żołnierzami, których widział w szpitalu w Wirginii. Ich oddziały walczyły pod dowództwem generała O'Connora w Afryce Północnej z cholernymi dywizjami pancernymi Rommla pod bezlitosnym słońcem; żar był tak silny, że niektórym z tych biedaków mózgi dosłownie zagotowały się w czaszkach, ale Charlie - tutaj i teraz - nie poddawał się, choć czuł, jak robią mu się pęcherze na podeszwach stóp pod wpływem emanującego z podłogi żaru, który nacierał na niego falami i sprawiał, że wszystko migotało. Srebrne światło z wnętrza wilgotnego, drżącego mięsa

wewnątrz drzewa pojaśniało i wabiło Charliego, więc zrobił krok w przód, by go objęło...

„Jeden mały krok człowieka (...)”.

...ale do jego nóg był uwiązany wielki ciężar i Charlie musiał dokonać nadzwyczajnego wysiłku, by oderwać od podłogi prawą stopę, i gdy spojrzął w dół, zobaczył, że podeszwa prawego buta stopiła się w lepka, gęstą, czarną breję, która sklejała go z podłożem, i sądząc po zapachu, po fetorze palonego ciała, który teraz wypełnił mu nozdrza, zorientował się, że jego lewy but oraz stopa też muszą być w równie opłakanym stanie i czy nie powinien wrzeszczeć, gdy skóra tak się przypieka? - a co do zapachu opieczonego, spalonego, przysmażonego ciała Charlie nie mógł się mylić. Nawąchał się tego odrażającego swądu, gdy wraz ze swoją dywizją wyzwalał obozy koncentracyjne i pomagał w wymiataniu z pieców resztek ciał - ale teraz musiał iść, musiał dostać się do tego pięknego, srebrnego światła, zanim ono zgaśnie, więc przykucnął, tak by kolana nie dotykały podłogi, i zaczął rozwiązywać buty. Sznurówka już się tliły i Charlie czuł, jak przypalają się mu koniuszki palców, ale nie przestawał, ponieważ jeśli miał pracę do wykonania, poświęcał jej się bez reszty. Zajęło mu to prawie pół minuty i spalił sobie przy tym prawie całą skórę na kciukach i palcach wskazujących, ale wyciągnął dymiące stopy z rozpadających się butów i stanął w samych skarpetkach, gdy piękne, wilgotne, nabrzmiące wargi drzewa rozwarły się i wysłały smugę oślepiających promieni w górę i w lewo jak z reflektora punktowego. Światło szeptało jego imię, wzywało go, śpiewało jego imię, i Charlie zrobił krok w przód i wszedł na najbliższy korzeń, chłodny, tak chłodny, dzięki - Ci - Boże - za - tak - chłodny korzeń, tak chłodny i kojący pod

zniszczoną, udręczoną stopą, i był tak wdzięczny, że nawet nie przeszkadzało mu kwilenie, płacze i krzyki ani przerażone, straszne i pełne grozy jęki niewidocznych duchów, które ruszyły ze światła, by wejść w ten świat. Z jakiego powodu? Na jaki czas? - podejrzewał, że wkrótce się tego dowie - ale na razie, w tej chwili, choć jego uszy wypełniały wrzaski nieznośnego cierpienia, chciał tylko tu stać i chłonąć wrażenia. Gdy przypalone stopy wtapiały się w wyżłobienia, rowki i bruzdy kory jak woskowa świeca, a Charlie już się pochylał w lśniące wydęte usta, światło zaczęło słabnąć, i gdy spojrzał na gałąź trzy metry nad swoją głową, zobaczył, że blednący promień oświetla ciało w czarnym kapturze powieszony za szyję. Pozbawione życia ramiona zwisały luźno, spodnie były poplamione i zmoczone zawartością opróżniających się kiszek i Charlie zaczął się odwracać, gdy do jego zmysłów dotarł smród moczu, rzygowin i kału martwego człowieka.

„Boże, Charlie, nigdy przedtem nie słyszałem, jak człowiek dusi się na śmierć, a Granger... tak cierpiał. Ciągłe nawiedzają mnie te koszmary”.

Zakapturzone ciało drgało, skręcało się na boki i kopało, jedna ręka wystrzeliła do przodu, schwyciła Charliego za lewy nadgarstek, a druga - umoczona w tej samej przezroczystej, kleistej substancji, z której wcześniej Charlie wytarł dłoń o spodnie, napierała na jasny pożyłkowany worek, tworzący się w centrum wilgotnych ust drzewa. Wreszcie przedarła się i schwyciła Charliego za prawy przegub i dwie połączone siły szarpnęły go w górę, oddzierając od resztek ciała, pozostałych na podszwach stóp. Gdy ramiona powędrowały każde w inną stronę, odrzucił w rył głowę, by krzyknąć, ale nie mógł, ponieważ teraz wiedział kim i czym byli ci dwaj mężczyźni, a oni z kolei wiedzieli to samo o nim, i

gdy ich trzech połączyło się na chwilę w jedną istotę, o jednym umyśle wypełnionym wieloma warstwami wspomnień, usta drzewa rozwarły się, zaś uwięziona wewnątrz postać zaczęła rozrywać pozostałości worka płodowego, a zakapturzona podniosła wolną rękę, by schwycić postronek i podciągnąć się w górę... Charlie Smeds z wykrzywionymi niemym krzykiem wargami pomyślał o uśmiechu żony, o hojności przyjaciela Eugene'a, o odwadze Bobby'ego i prosił Boga, by był litościwy i pozwolił mu znów zobaczyć syna w jasnym świetle poranka - co tam, nie trzeba wybrzydzać - niechby nawet w ponurym świetle mrocznego, deszczowego popołudnia, Panie, naprawdę nie...

...i dolna warstwa przeniknęła do warstwy wierzchniej...

...i Charlie Smeds usłyszał niewyraźny, straszny głos mówiący jedno słowo, które słyszał niejeden raz w dzieciństwie...

...”Pałaczydło”...

11

Z Przewodnika po Cedar Hill, strona 31:

Bardziej makabryczne legendy związane są z pewnymi rejonami w centrum Cedar Hill i człowiekiem o nazwisku Green, który zamordował kilka osób i wrzucił ich ciała do ścieków, co - jak powiadają - spowodowało, że cała woda w okolicy zabarwiła się na czerwono, oraz o osobniku, który włóczył się po ulicach Cedar Hill w latach dwudziestych i nazywano go Pałaczydło. Mówiono, że naprawiał parasole, ale był postrachem wszystkich dzieci. Matki groziły swoim pociechom, że jeśli będą niegrzeczne, Pałaczydło zapakuje je do wielkiej, czarnej skrzyni i zanieśie nad Strumyk Szopa Pracza, gdzie znajdował się jego dom i straszna fabryka, w której zmieniał dzieci w parasole, a za surowiec służyły mu

ich kości i skóra. Legendy o Pałaczydle krążą do dziś. Choć często zmienia się jego imię i miejsce zbrodni, akcja zawsze toczy się gdzieś w rejonie centrum, około północy lub w godzinach mroku.

12

„Mój kołczan znów jest pusty i obawiam się, że to nie wystarczy”.

13

O drugiej siedem w nocy w małej jadalni domu stojącego trzy przecznice od Fabryki Beaumonta, Don Fortney, lat czterdzieści sześć - który w tygodniu pracował na dziennej zmianie jako operator prasy w zakładach Roper Manufacturing, a w weekendowe noce dorabiał jako strażnik w Fabryce Trumien - siedział przy stole, jadł kanapkę z mortadela, cebulą i keczupem i popijał to wodą, trzecią już szklanką od kiedy zbudził się dwadzieścia minut wcześniej. Prawa noga podskakiwała mu nerwowo - ten odruch stał się nieodłącznym elementem jego nocnego czuwania i Don nie zwracał już na to uwagi. Wiedział, że jeśli od razu nie pójdzie się wysiusiać, będzie musiał zbudzić żonę Margaret i prosić ją, żeby zawiozła go na pogotowie, gdzie założą mu cewnik, który uwolni go od tego cholernego bólu i parcia na pęcherz.

- Niech zgadnę. - Margaret stanęła w drzwiach. - Nie zadzwoniłeś do doktora Bishopa, żeby umówić się na wizytę?

Don pokręcił głową.

- Nie, nie dzwoniłem.

Margaret podeszła do niego, stanęła z tyłu i zaczęła masować mu ramiona.

- Don, kochanie, musisz wyleczyć infekcję pęcherza, i to jak najszybciej. Od tygodnia nie przespałeś porządnie żadnej nocy.

- Myślisz, że o tym nie wiem.

- Nie musisz mi odszczekiwać. Sięgnął ręką do tyłu i ścisnął jej dłoń.

- Wiem, przepraszam. Tylko że to... nie są rzeczy, o których łatwo jest rozmawiać z drugim facetem.

- Ty głuptasie, Paul Bishop jest naszym lekarzem od ponad dwudziestu lat. Nie ma takiej części ciała i u mnie i u ciebie, której by nie widział z zewnątrz i od wewnątrz. - Pochyliła się i pocałowała go w czubek głowy. - Kocham cię, ale jesteś uparty i niemądry. Nie możesz tak dłużej żyć.

Don tylko skinął głową, potem ugryzł kanapkę.

- Taa. - Margaret obeszła stół i usiadła na krześle naprzeciw męża. - Nie wiem, jak możesz jeść coś takiego w środku nocy.

Don wzruszył ramionami.

- Tani napychacz. - Dopił wodę i postanowił nalać sobie następną szklankę. Już wstawał z krzesła, gdy ostry ucisk powyżej krocza omal nie zgiął go wpół. - Niech to cholera!

Margaret ścisnęła mu dłoń.

- Dobrze, Johnie Wayne, dosyć tego. Ubieramy się i wiozę twoją żalosną dupę na pogotowie.

Don znów lekko skinął głową.

- Dobrze, ale czy... au! - mogłabyś mi przynajmniej pozwolić jeszcze raz wysiusiać się samodzielnie? - Spojrzał na żonę. - Proszę, kochanie. Obiecuję, że jeśli się uda, to od rano zadzwonię do doktora Bishopa i powiem mu, że sprawa jest pilna.

Margaret położyła mu dłoń na policzku.

- Jeśli ty nie zadzwonisz, ja to zrobię.

- Umowa stoi. - Przyjął pomoc żony i wstał. Bolało, jak nie wiem co i Don krzyknął kilka razy, ale gdy udało mu się stanąć pionowo, przyniosło mu to ulgę.

- A jeśli się nie uda, jedziemy na pogotowie - powiedział. - Mam tylko nadzieję, że ten, kto włoży mi rurkę do środka, będzie miał za sobą więcej niż dwie godziny snu.

- Wreszcie mówisz sensownie - stwierdziła Margaret. - Teraz wiem, że naprawdę źle się czujesz.

Wybuchnęli śmiechem - Margaret głośniej niż Don, ponieważ jemu nawet śmiech sprawiał ból - Wychodzili z jadalni, gdy Don przystanął.

- Kochanie, chwilka - powiedział. - Muszę zgasić światło.

- Wybrałeś sobie niezły moment, żeby się martwić o nasz domowy budżet. Ty tu zostań, a ja zgaszę światło. - Margaret oparła męża o framugę. - Za bardzo się przejmujesz naszymi rachunkami.

- Przecież... ty też się przejmujesz.

- Nie zmieniaj tematu. Tylko następnym razem bądź tak miły i... Don schwycił ją za ramię.

- Słyszałaś to?

- Co miałam słyszeć? - Łagodnie zsuwała jego dłoń ze swego ramienia. - Mówię serio, kochanie, prawie wcale nie sypiasz i dlatego...

Nie zdążyła skończyć. Gdy tylko zdjęła ze swego ramienia rękę męża, ściana i panoramiczne okno, przy którym stał stół, rozpadły się z hukiem kruszonego tynku, cegieł, łamanego drewna i roztrzaskanej na drobne kawałki szyby. Całym domem wstrząsnęło tak, jakby ktoś zdetonował na ganku skrzynkę z trotylem. Don pchnął Margaret na podłogę i sam padł na żonę, trzymając ją w potężnym uścisku. Krzyczeli

oboje, ale zagłuszyła ich przeraźliwa eksplozja. Leżeli na ziemi i drżeli, przywarci do siebie. Czuli wzajemnie kołatanie swych serc w piersiach. Zamarli z przerażenia i strachu, mocno zaciskając powieki. Don myślał: „Jeśli jedno z nas ma umrzeć, niech to będę ja”. Margaret myślała: „Jeśli jedno z nas ma umrzeć, niech to będę ja”. (Gdy wszystko się skończyło, żadne z nich nie zdradziło swych myśli partnerowi, ale i tak oboje je znali).

Don nie śmiał się poruszyć, póki nie był pewien, że niebezpieczeństwo minęło. Słyszał końcowe odgłosy łupanego drewna, ale nawet wtedy nie puścił ciała żony. Dopiero gdy zapadła cisza po ostatnich trzaskach spadających odłamków szkła, wypuścił z płuc powietrze, rozluźnił uścisk i zsunął się na bok.

- O, mój Boże! Don! - Margaret mruganiem usuwała z oczu kurz, dym i łzy. - Co myśmy... kochanie... nic ci nie jest?

Don oparł się na łokciu i pocałował ją w czoło.

- Chyba nie. A tobie? Margaret ponownie zamknęła oczy.

- Ręce i nogi są w porządku. - Z wysiłkiem podniosła się do pozycji półsiedzącej, a potem pomogła usiąść Donowi.

- Na pewno nic ci nie jest? - spytała po raz drugi.

- Czuję się dobrze, kochanie, naprawdę.

- To wielka ulga. - I uderzyła go w twarz z taką siłą, że omal nie walnął potylicą w stół, który wylądował niecałe pół metra od nich.

- A to za co, do diabła? - krzyknął.

Oczy Margaret wypełniała wściekłość, jakiej nigdy przedtem u niej nie widział. Żona schwyciła go za kołnierzyk koszuli i przyciągnęła do siebie jego twarz.

- Żebyś nigdy, przenigdy już czegoś takiego nie robił. Mogłeś zginąć.

Pocierając policzek - a Margaret potrafiła uderzyć naprawdę mocno - Don wzruszył ramionami.

- A co miałem robić? Paść na ziemię i mieć nadzieję, że będziesz miała dość rozumu, żeby zrobić to samo?

- Właśnie tak!

- Nie ma mowy. Do diabła, nie, Wybacz, ale jeśli tak ma być, to będziesz musiała mnie stłuc na kwaśne jabłko.

Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go.

- Mogłam cię stracić.

- A ja nie chciałem stracić ciebie.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i to, co tam zobaczyli, nie wymagało żadnych słów z wyjątkiem dwóch:

- Kocham cię - powiedział Don.

- Kocham cię. Właśnie... - Margaret rozejrzała się po zdemolowanej jadalni. - Co się, do diabła stało?

Wstali i, trzymając się za ręce, przeszli na środek poboju. Latarnia uliczna została tak mocno uderzona, że przechyliła się aż na chodnik, ale świeciła, co było szczęściem w nieszczęściu, ponieważ w całym domu wysiadł prąd i było to jedyne oświetlenie.

Don pierwszy wszedł w rejon katastrofy, kręcąc głową.

- No, teraz się przekonamy, czy to nasze całe ubezpieczenie jest warte papieru, na którym... - Zamilkł.

- Co takiego?

Bez słowa wskazał na przeciwległą ścianę jadalni. Margaret najpierw

spojrzała na twarz męża i zobaczyła, jak Don blednie, a potem powędrowała wzrokiem za jego palcem.

W ścianie tkwiła dębowa trumna. Połowa trumny wystawała z muru, jakby to była artystyczna instalacja, celowo tu umieszczona. Drugą połowę skrywały cegła, drewno, tynk i zaprawa.

Spojrzeni na siebie, a potem na zburzoną ścianę.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że gdybyśmy wtedy nie wstali od stołu, oboje...

- Cii, kochanie, proszę. Proszę, nie mów tego. - Margaret przeżegnała się. - Proszę, nie mów.

- Zgoda.

Wpatrywali się w wystającą połówkę trumny.

- Łazienka jest po drugiej stronie tej ściany - powiedział Don. Margaret skinęła głową.

- Chyba dobrze, że nie zdążyłeś tam dojść?

- Tak, a jeśli o to chodzi, skarbie... to nie musimy jechać na pogotowie.

Margaret spojrzała na męża.

- Ale ty... zaraz, kochanie... zmoczyłeś się, prawda?

- Mój pęcherz od dawna nie był taki pusty. Przykro mi z powodu wykładziny.

- Nic nie szkodzi. - Margaret pochyliła się i pocałowała go. - Ja chyba też się posusiałam.

Wybuchnął śmiechem, a ona mu wtórowała. Stali tak przez chwilę, zanosząc się śmiechem, a gdy wesołość im minęła, podeszli do trumny i wyjrzel na zewnątrz.

- A niech to jasny gwint! - szepnął Don, gdy zobaczył, że zniszczenia nie ograniczają się do ich jadalni i latarni ulicznej.

- Sama bym tego lepiej nie ujęła. - Margaret skinęła głową.

Stali w milczeniu, gdy dobiegł ich z oddali dźwięk policyjnych syren.

Na zadymionych ulicach widzieli trumny i szczątki trumien porzucane wszędzie: na trawnikach, na dachach, wystawały z przednich szyb parkujących samochodów, z okien pobliskich domów, na jezdni walały się duże szczapy. Niektóre wylądowały pod drzewami i stanęły pionowo oparte o pnie. To by może nawet wydało się zabawne komuś o wisielczym poczuciu humoru, gdyby nie pomaranczowoczerwony grzyb ognia kilka przecnic dalej, wznoszący się coraz wyżej przy każdym kolejnym wybuchu, wiszący nad dachami dzielnicy jak piekielny młot, gotowy spaść i rozwalić wszystko w gruzy.

- O Chryste. Niech to! - Don spojrzał na Margaret. - Charlie. Charlie Smeds!

Margaret zakryła sobie usta dłonią.

- O kochanie... nie...

Przeżegnali się i odmówili modlitwę za bezpieczeństwo Charliego. Jeśli Bóg słuchał, nie dał im tego poznać.

14

Również Charliemu nie dał żadnego znaku, że słyszy ludzkie modlitwy, ale Charlie wiedział: to wcale nie znaczy, że modlitwy nie mogą być wysłuchane.

Był prawie kwadrans po drugiej i szybko tracił siły. Dwie postacie z drzewa ciągle bawiły się z nim w przeciąganie liny, ale ból poranionych

stóp już dawno osiągnął punkt, po którym nagle nastąpiło ogólne odrętwienie. Nie czuł już, jak ciało ścieka mu ze stóp i nóg. Gdyby odwrócił głowę i spojrział w dół, zobaczyłby, jak zmieniona w płyn skóra kapie na podłogę i skwierczy przy zetknięciu z betonem... ale czy to czuł? Nie bardzo. I może to właśnie była odpowiedź na jego modlitwy.

Zakapturzona postać uwolniła się z pętli, puściła nadgarstki Charliego i opadła na podłogę hali fabrycznej. Zastanawiał się, dlaczego zakapturzony mężczyzna nie wrzeszczy, dotknąwszy żaru. I nawet jego buty się nie przysmażyły.

Gdy Charlie zachwiał się, druga postać, ta wychodząca z worka płodowego drzewa, złapała go w ramiona i położyła na większym, grubszym korzeniu. Spojrział w górę, usiłując przyjrzeć się jej twarzy, ale z tej odległości widział tylko rozmytą plamę. Był tak zmęczony, coraz bardziej zmęczony... Wybacz, Ethel, jestem kompletnie wykończony, uściśnij Bobby'ego w imieniu staruszka, dobrze? - powtarzał w myślach.

Głowa Charliego opadła na bok. Patrzył na zakapturzona postać, która teraz stała półtora metra od niego. Z tej odległości powinien ją widzieć dość wyraźnie. Tak, kochanie, miałaś rację, pomyślał. Potrzebne mi okulary.

Postać zdarła sobie kaptur z głowy i rzuciła go na podłogę, gdzie natychmiast zajął się ogniem i spłonął na popiół. Charlie domyślił się, że ten człowiek wisiał i ma złamaną szyję, bo głowa postaci przechylała się pod dziwnym kątem. Zmartwychwstały Człowiek przyłożył dłonie do skroni i wyprostował ją, a następnie szybkim ruchem nadgarstków przywrócił właściwą pozycję szyi.

- Whoo - doggie... żeby zacytować nieśmiertelnego Jeda Clampetta.

Będę miał koszmarny ból głowy - powiedział. - Ale to niska cena, zgadzasz się, bracie?

Postać zrodzona z drzewa odparła:

- Ile razy mam ci powtarzać, żebyś mnie tak nie nazywał?

- Czy miałem to za każdym razem notować? Ojej, ojej. - Zmartwychwstały Człowiek chwycił jedną ręką łokieć drugiej, której dłoń podpieraa głowę, bębniąc palcami po policzku jakby w głębokiej zadumie. Po chwili opuścił obie ręce i wzruszył ramionami.

- Nic z tego, wybac. Myślałem, że może jeśli się skupię, przypomnę sobie, ile to było razy, ale najwyraźniej się myliłem.

- Dużo się dzieje.

- Istotnie. - Zrobił kilka kroków w stronę Charliego i pochylił głowę, spoglądając mu w oczy. - Obawiam się, że ten jest stracony, bracie.

Charlie usiłował powiedzieć: „Jeszcze nie umarłem, ty pyszałkowaty draniu”, ale udało mu się tylko wydobyć z siebie słaby pisk. Poczuł, jak postać z drzewa mocniej go ściska. Zastanawiał się, czy ten mężczyzna lub anioł, lub diabeł czy cokolwiek to było, ma jakieś imię. Pan Drzewo, pomyślał Charlie z uśmiechem, wspominając ulubioną postać z telewizyjnego programu, który często oglądali z Bobbym; potem jego syn dorósł i zamienił widowiska dla dzieci na karabiny, napalm i miny przeciwpiechotne.

- Powiedziałem ci - rzekł Pan Drzewo ~ nie nazywaj mnie...

- Więc jak mam się do ciebie zwracać? Ach, wiem! Może twoim prawdziwym imieniem?

- A ja twoim.

Przez chwilę Zmartwychwstały Człowiek milczał, po czym odezwał

się tonem nadęsanego dziecka:

- Jaka z tego będzie zabawa?

- To miała być zabawa? - spytał Pan Drzewo. - Chyba nie dotarł do mnie tamten okólnik.

- Przypuszczam, że mogłeś go przeoczyć - stwierdził Zmartwychwstały Człowiek - zważywszy na to, jak wiele innych, znacznie ważniejszych rzeczy przegapiłeś w przeszłości. No wiesz, spotkanie w Samarze, zebranie na wzgórzu i tym podobne.

Pan Drzewo westchnął i pokręcił głową.

- Rób to, co zaplanowałeś.

- Naprawdę tak ci pilno, żeby to się zaczęło?

- Nie, chcę tylko, żebyś się, do cholery, zamknął i poszedł sobie. Zmartwychwstały Człowiek zastanowił się przez chwilę.

- W takim razie, dobrze. Aha, na wypadek, gdybym cię przez pewien czas nie widział... to było wielkie przeżycie, jak zwykle. Drogi bracie. I pamiętaj... licznik zawsze startuje od zera, żebyśmy mieli robotę. - Jego oczy rozjarzyły się jasnym srebrem, wyciągnął pięść, ramię zaczęło mu drgać, a włosy stanęły dęba, jakby dotknął olbrzymiego generatora Van der Graafa. Zamknął oczy i wymówił dwa słowa:

- *Ta 'lee*, skurwiele!

Po czym rozwarł pięść i wypuścił motyla lub dużą ćmę. Charlie nie potrafił się zdecydować, ponieważ wszystko wokół pociemniało, nawet motyl wydawał się czarny. Nigdy przedtem nie widział czarnego motyla. To dopiero.

Motyl - doszedł do wniosku, że to jednak motyl, nie ćma - podskakiwał przez kilka sekund, jakby tańcząc pośród jaskrawych kwiatów na

bardzo jaskrawej łące pod najbardziej jaskrawym letnim słońcem, jakie sobie można wyobrazić, a potem zaczął się wznosić, wdzięcznie wzlatując ku belkom i rurom pod sufitem, a Charlie podziwiał piękno jego ruchów, żałując, że Ethel nie może tego zobaczyć. Zawsze uwielbiała motyle i ten na pewno bardzo by jej się spodobał - tak swobodnie się unosił, a jego skrzydła pojaśniały nagle jak złoto, jak plama złota, jak...

...jak ogień.

Gdy motyl osiadł na jednej z belek, pękła jak balon wodny, tylko że zamiast wody trysnęły z niej płomienie i pomknęły po suficie, połykając wszystko po drodze. Topiły się przewody, trzaskały kable, eksplodowały okna, rozpryskując dokoła tysiące kawałków szkła.

Pan Drzewo pochylił się i własnym ciałem osłonił Charliego przed tym szklanym deszczem. Małe kule ognia rozkwiatały w odległym końcu hali, w pobliżu ekspozycji trumien, kotłowały się przez kilka sekund, zanim pomknęły wzdłuż boków i w dół, pokrywając pęcherzami pomalowaną farbą ścianę pomieszczenia socjalnego. Wielkie ogniste grudy stopionego metalu kapały wokół, pękając w płonących kałużach, które przypominały granatowo - czerwono - pomarańczowo - czarną lawę.

Charlie schwycił Pana Drzewo za głowę i odwrócił jaku sobie.

- ...zbiorniki... - udało mu się powiedzieć.

- Wiem - odparł mężczyzna, spoglądając na niego dobrotliwymi oczami. Charlie nigdy nie widział takich dobrych oczu.

Na piętrze nad nimi, bezpośrednio nad nimi, o ile pamięć nie zawodziła Charliego - a czy kiedyś go zawiodła? - znajdował się wydział polerki, gdzie przechowywano pojemniki z olejem, werniksem i lakierem do drewna.

Płomienie skakały w górę, tylko w górę, syczały, skwierczały, trza-
skały coraz głośniej, gęstniały, ich warkot przechodził w ryk, we wrzask,
rozdzierający huk, gdy sufit zaczął się walić.

- Patrz na mnie, Charlie - powiedział mężczyzna, trzymając go w
ramionach. W tych ostatnich chwilach życia Charlie już nie nazywał go w
myślach Panem Drzewo.

- Patrz na mnie.

Charlie zrobił tak, jak mu powiedziano.

- Wszystko będzie dobrze, Charlie. Za kilka sekund to się skończy.
Nie ma się czego bać, rozumiesz?

- ...czy ty... jesteś Pałaczydło? Mężczyzna miał bardzo smutną minę.

- Nie, właściwie to nie.

- ...muisisz... musisz wyjść...

- Cii, Charlie. Oszczędzaj oddech. Nie opuszczę cię.

- ...ty... umrzesz... Mężczyzna lekko się uśmiechnął.

- Nie martw się o mnie. - Położył Charliemu rękę na czole, a potem
dotykem miękkim, jak u niemowlęcia, które chwyta cię po raz pierwszy
za palec, zamknął Charliemu oczy. - Posłuchaj dźwięku mojego głosu.
Słuchaj. Wiesz, gdzie jesteś? Jesteś w Kryjówce u Talleya, siedzisz przy
najlepszym stoliku w lokalu. Otaczają cię ludzie, których kochasz. Wi-
dzisz ich, Charlie? Widzisz, jak się do ciebie uśmiechają? Ethel wydaje się
taka szczęśliwa, prawda? Jest dumna z ciebie i Bobby'ego. Gra muzyka,
słyszysz? Mężczyzna chciałby chwycić swoją damę za rękę i przetańczyć z
nią całą noc. A oto przychodzi Eugene, jak obiecał, i troszczy się o waszą
trójkę, i ludzie się śmieją, piwo jest chłodne, jedzenie dobre, prawda,
Charlie? - Pochylił się bliżej, żeby mu szeptać do ucha. - Teraz uściskaj

swojego syna.

Charlie uśmiechnął się.

Postać z drzewa rozejrzała się, by sprawdzić, czy są sami. Zmartwychwstały Człowiek jak zwykle wyszedł szybko, teatralnie, robiąc zamieszanie.

Mężczyzna trzymający Charliego w ramionach odwrócił się, by po raz ostatni spojrzeć na oddychające drzewo.

- Tak mi przykro, że to ty musiałeś być tym wybranym.

Kilka chwil później magazyn chemikaliów na piętrze nad ich głowami eksplodował z taką siłą, że cały budynek niemal w jednej chwili został wypatroszony od góry do dołu. Wybuch tak mocno zaatakował parter, że Oddychające Drzewo zostało wyrwane z korzeniami. Złamane i powalone padło na Charliego Smedsa i mężczyznę, który go trzymał.

Pan Drzewo - tak go nazywał Charlie - przez jedną mikrosekundę doznał oślepiającego bólu. A Charlie niczego nie czuł, ponieważ go tam nie było, odszedł pół minuty wcześniej i siedział w Kryjówce u Talleya ubrany w swój najlepszy garnitur - no dobrze, swój jedyny garnitur, ale naprawdę elegancki - i jadł wspaniały obiad z rodziną, słuchając barwnych anegdotek Eugene'a. Charlie nigdy się nie dowiedział, że w ostatnich chwilach życia nie czuł bólu, gdyż trzymający go mężczyzna zabrał od niego ból, cierpiąc za siebie i za Charliego.

Ostatnim uczuciem mężczyzny było rozbawienie. Charlie spytał go, czy on jest Pałaczydłem, i to wywołało u mężczyzny uśmiech. Ludzie i ich pełne przesądów legendy, pomyślał.

A potem - jak to mówią - rozpełtał się ogień piekielny i potępienie.

Fragment dotyczący Pałaczydła, który pojawia się na trzydziestej pierwszej stronie *Przewodnika po Cedar Hill* zawsze budzi we mnie śmiech. Nie dlatego, że autorzy coś źle napisali - rzeczywiście, istniał niejaki Green (dokładniej Edward Taylor Green), który zamordował kilka osób, a ciała wrzucił do kanalizacji, co spowodowało, że woda w północnej części miasta była czerwona przez kilka tygodni, a zatem przedstawione fakty są poprawne - chodzi o to, że od pierwszej wzmianki tego imienia autorzy poświęcają dokładnie sto słów legendzie o Pałaczydłu, redukując go zaledwie do większego przypisu. Zważywszy jednak, jak długo był ważną częścią historii miasta, a niewykluczone nawet, że stanowił siłę sprawczą tej historii, pełnej horroru i przemocy, choć autorzy *Przewodnika* nie są skłonni wszystkiego ujawniać, wolałbym, gdyby po prostu zacytowali dokument, z którego tak ostrożnie czerpali informacje. Chociaż znając zawartość tego dokumentu, trudno mieć do nich pretensje, że wycięli większość materiału.

Wiem, że godzina jest późna, ale musicie zostać ze mną jeszcze przez chwilę. Zerknijcie tutaj, a dostrzeżecie jedno z tych miejsc, gdzie skończoność i nieskończoność niezbyt dokładnie się łączą; powstała szczelina, i to dość znaczna, przez którą wspólnie możemy spojrzeć i zobaczyć:

Szarą, deszczową posępną noc za oknami całodobowej knajpy; z miejsca, gdzie stoimy, skryci za kroplami deszczu, uda nam się tylko dostrzec rozmyte, niewyraźne kształty za zaparowanymi oknami, ale nagle ktoś przykłada serwetkę do szyby i wyciera coraz większe koncentryczne kola, i jak w starym, niemym filmie, gdzie przejście do nowej sceny

dokonywa się przy wykorzystaniu efektu przysłony irysowej, dostajemy wyraźny obraz: widzimy, że wewnątrz jest przytulnie, lokal tętni życiem, muzyką rozmów, stukaniem talerzy i wtem ding! kucharz nacisnął dzwonek w okienku i krzyczy: „Zamówienie gotowe!”

Nagle wyczuwamy ruch za naszymi plecami i gdy się odwracamy, widzimy, jak postać w ciemnej, lśniącej od deszczu kurtce, zmierza w stronę knajpy. Towarzyszy jej duży, groźnie wyglądający pies, czarny mastif. Cel wędrówki jest jasny, ponieważ widzimy światło, które odbija się w oczach postaci, gdy wpatruje się w drzwi wejściowe lokalu. Nie da się określić, czy jest mężczyzną czy kobietą, ponieważ cień kaptura kurtki skrywa rysy twarzy i widać tylko te przenikliwe oczy.

Zapamiętajcie tę chwilę, to miejsce, tę godzinę - wkroczymy tu w następnej części naszej opowieści i musicie być przygotowani na to, co nastąpi. A teraz się odwróćcie - lepiej, żebyście już nic więcej nie widzieli. Tymczasem proszę, zastanówcie się nad tym, co powiedział mężczyzna, trzymający w ramionach Charliego Smedsa w ostatnich chwilach życia. Czy to nie dziwne, że tamten człowiek, obróciwszy się w kierunku drzewa cedrowego, powiedział ni mniej, ni więcej tylko: „Tak mi przykro, że to ty musiałeś być tym wybranym”.

Aby zrozumieć, co stoi za tymi końcowymi słowami, powinniście wiedzieć więcej o Pałaczydło. Warto zwłaszcza poznać całą treść dokumentu, który autorzy *Przewodnika* postanowili ocenzurować.

Dokument należy do prywatnego archiwum towarzystwa historycznego, a dostęp do niego mają tylko wybrani pracownicy i członkowie tej organizacji. Nie ma on tytułu, a jego autor jest nieznany. On - lub ona - cytuje jednak informacje z dziennika jednego z założycieli Cedar Hill. I

tak jak obiecałem na początku, w tym miejscu wszystko zaczyna się łączyć w zgrabną całość.

A zatem:

Prawdopodobnie to zawsze tu było, ale dopiero jesienią 1924 roku mieszkańcy Cedar Hill nadali mu właściwe imię: Pałączydło. Och tak, miał i będzie miał inne imiona: Piegger, Jimmy Goblin - Eyes, Duch Drogi Lokalnej nr 22. Indianie Delaware szeptali nawet w tajemnicy o garbatej Nadnaturalnej Istocie w kruczoczarnym płaszczu, o Wężu w półludzkiej postaci, zwanym *Ya 'kwahe* - pożeracz dusz - który chowa się w cieniu, jaki twoja postać rzuca w południe, lecz Pałączydło było tym imieniem, które na stałe trafiło do lokalnych legend.

Mówiono, że przemierza ulice zachodniego Cedar Hill oraz Wschodnią Starówkę. Ten postrach wszystkich dzieci był parasolnikiem, a jego zdeformowany brat bliźniak Gash wyrastał mu z pleców. Nosili kołczan przewieszony przez ramię i mówiono, że był on wypełniony uciętymi rdzeniami kręgowymi nieposłusznej młodzieży.

Kiedyś - dawno, dawno temu, jak głosi legenda - Pałączydło i Gash byli dwoma mężczyznami, każdy z nich miał dwie ręce i dwie nogi, ale dokonali czynu tak potwornego, okrutnego i przerażającego, że nawet diabeł poczuł odrazę, więc schwycił ich obu w swoje mocne dłonie i, rzucając straszne przekleństwo, stopił w jedno.

Matki ostrzegały swoje dzieci, że jeśli będą niegrzeczne, . Pałączydło zakradnie się w nocy do ich pokoju i powie szeptem: „Mój kołczan znów jest pusty, i obawiam się, że mi to zwyczajnie nie wystarczy”, a potem zabierze je do wielkiej, czarnej skrzyni przy Strumyku Szopa Pracza, która była zarówno jego domem, jak i przerażającą fabryką, gdzie zmieniał

dzieci w parasole.

Maluchy pytały: „Dlaczego on to robi?”

Matki odpowiadały: „Ponieważ Pałaczydło wie, że żadne dziecko nie jest zepsute do szpiku kości, więc je wykrada i miele, by dostać się do tego co w nich dobre; potem zabiera to dobro i wpycha je do jednego z pięciu tysięcy słoików.

„Dlaczego?” - pytały dzieci, ciałniej okrywając się kołdrą.

„Z powodu tego, co powiedział diabeł”, odpowiadały matki, uśmiechając się szeroko. „Bies obiecał, że jeśli Pałaczydło zbierze tyle dobra, by zappełnić słoiki, wtedy on zmiesza to wszystko razem w wielkim żelaznym kotle i przygotowuje porcję tłustego diabelskiego łożu - a wiecie, co mówią o diabelskim łożu? Potrafi zmienić plony rolnika w popiół, sprawić, że zdrowa krowa urodzi cielę o sześciu nogach, spowodować, że zmarli obudzą się w trumnach z wrzaskiem, a nawet może wypalić bliźniaka - dziwoląga z pleców starego Pałaczydła. Właśnie dlatego. Więc, dzieci, leżcie tu same w ciemnościach i rozmyślajcie o tym. Gdy jesteście niegrzeczne, gdy nie wykonujecie swojej pracy, gdy nie słuchacie dorosłych lub mówicie o kimś źle.

Pałaczydło i jego dziwaczny brat bliźniak są coraz bliżej rozdzielenia. A gdy to się stanie, wtedy już nigdy nie będziecie bezpieczne”.

Mówią, że Pałaczydło pojawił się po raz pierwszy w Ohio wiosną 1798 roku.

Podawał się za Josiaha Comstocka i towarzyszył grupie walijskich, szkockich i irlandzkich imigrantów, prowadzonych przez Eliasa Hughesa i Jona Ratcliffe'a, którzy płynęli w górę rzeki Licking, by założyć pierwszą

osadę białych na terytorium Indian Delaware i Wyandot. Wyszli na brzeg w miejscu zwanym teraz Cedar Hill.

W 1803 roku Cedar Hill stało się oficjalnie miasteczkiem. Osadnicy współpracowali pokojowo z Indianami plemion Delaware, Wyandot i napływającymi Shawnee; tworzono szlaki handlowe przez przełomy rzeki. Co jakiś czas znajdowano w niej okaleczone ciała. Wszyscy przyjmowali wyjaśnienia Comstocka. „Przyjaciele, musimy pamiętać, że nowe, dzikie rejony, takie jak tu, są niebezpieczne dla podróżnego, który zgubi drogę. Nocą słyszymy przecież wycie wilków. Myślę, że ci nieszczęśni zmarli, których imion nigdy nie poznamy, padli ofiarą wilków, może nawet niedźwiedzi czy dzikich psów albo jakichś nieznanymi bestii, których tereny zmniejszyły się wskutek naszej tu działalności. I na tym zakończmy. Bezimiennym zmarłym sprawmy stosowny chrześcijański pochówek i jeśli kiedykolwiek będziemy o nich mówić, mówmy pobożnie i z pokorą. Przysięgnijmy to na Boga; będzie to jak żałoba po śmierci tych bezimiennych”.

Potem, pewnego dziwnie bezgwiezdnego wieczoru w sierpniu 1805 roku, wielebny Samuel Whittsley (te wszystkie wydarzenia znamy z jego dziennika) wyszedł z budynku małego kościoła, by odwiedzić nowo przybyłą rodzinę Stephanusów. Towarzyszyli mu Elias Hughes i Jon Ratcliffe. Nieśli oni w prezencie jedzenie przygotowane przez ich żony i córki.

Najstarsza córka Stephanusa, Sara, miała wysoką gorączkę. Obawiając się, że choroba córki może być zaraźliwa, rodzice zajęli chatę poza obrębem miasteczka - nie chcieli niepokoić innych osadników. Było to odludne miejsce i wielebny Whittsley odwiedzał ich przynajmniej dwa

razy w tygodniu. Tego wieczoru Hughes i Ratcliffe poszli z duchownym, by okazać szczególną życzliwość i odmówić modlitwę.

Gdy podchodzili do chaty, wielebny Whittsley zauważył z pewnym niepokojem, że w oknach nie widać płonących świec. Czyżby rodzina nie czuwała przy łóżku chorej? Dziewczynka nie mogła umrzeć, bo przecież na pewno wysłano by któreś z dzieci po wielebnego, żeby pomodlił się za jej nieśmiertelną duszę.

Whittsley podzielił się swoimi obawami z Hughesem i Ratcliffem. Obaj wyprzedzili leciwego duchownego. Zapukali do drzwi chaty, ale nie usłyszeli odpowiedzi.

Z wnętrza dobiegł stłumiony krzyk „osobliwie zagadkowy i niepokojący”, jakiego żaden z mężczyzn nigdy wcześniej nie słyszał. Ratcliffe, obawiając się, że do chaty mógł wtargnąć wilk lub dziki pies, siłą otworzył drzwi i wszedł do środka, unosząc latarnię. Po chwili dołączyli do niego Hughes i Whittsley.

(Przypis redakcyjny: Relacja w dzienniku staje się w tym momencie umyślnie niejasna. Zważywszy na informacje, jakie podaje Whittsley, oczywiste jest, że widok był zbyt przerażający, by opisywać wszystko ze szczegółami).

To prawda. Whittsley nie potrafił zmusić się, by podać dokładny opis tego, co zastali w chacie. Jednak wy powinniście poznać te szczegóły, więc proszę o odrobinę cierpliwości. Później wrócimy do dalszej części dokumentu.

Z wnętrza dobiegł stłumiony krzyk osobliwie zagadkowy i niepokojący, jakiego żaden z mężczyzn nigdy wcześniej nie słyszał. Ratcliffe obawiając się, że do chaty mógł wtargnąć wilk lub dziki pies, siłą otworzył

drzwi i wszedł do środka, unosząc latarnię. Światło ujawniło obraz tak ohydny, że Ratcliffe - mężczyzna znacznej siły ducha i ciała - omal nie zemdlął.

W chacie leżały ciała siedmiu osób rodziny Stephanusów. Każdą odarto z ubrania, prymitywnie oskalpowano, a genitalia odcięto nożem myśliwskim. Podłogę pokrywała krew i wydalona zawartość kiszek. Pośrodku klęczał Josiah Comstock. Łkał. Był nagi, pokryty od stóp do głów posoką i ściekającymi strumykami gęstego kału. Wokół szyi miał pasek wyschniętej skóry zwierzęcej, na którym nanizane były odcięte narządy płciowe ofiar. Między świeżymi szczątkami wisiały inne starsze ludzkie organy: języki, palce, uszy - tak pomarszczone i wyschnięte, że trudne do rozpoznania. Comstock otworzył oczy i, ujrawszy stojącego w drzwiach Ratcliffe'a, krzyknął cicho. W drżących dłoniach ścisnął ciepły jeszcze skalp, ocierając go o swój w pełni nabrzmiąły penis. Pasma wilgotnych włosów i krwawe grudki krwi przywarły do jego członka jak pajęczyna.

- O Panie, o dobry Chryste, ratuj nas - szepnął Ratcliffe. Żółć podeszła mu do gardła, wytrysnęła z ust i pociekła po brodzie, plamiąc koszulę. Teraz już Elias Hughes i wielebny Whittsley weszli do chaty. Dodatkowe światło latarni Hughesa ujawniło dalsze przerażające szczegóły.

Na podłodze, wśród krwi i nieczystości wałały się kiszki, zęby, oczy nadal z szypułami. Josiah Comstock okaleczył również własne ciało, odciął sobie kawałki torsu i ochłapy mięśni zwisały jak parodia kobiecych piersi.

Ciche krzyki, wydobywające się z gardła Comstocka, przeszły w niskie mruczenie głaskanego kota.

- Pięćset dni... - Jego głos chrypiał przy ostatnim słowie i zdeformował się do nieprzyzwoitego, piskliwego śmiechu.

Wielebny Whittsley ze łzami w oczach zrobił znak krzyża i zmusił się, by patrzeć na wnętrze izby. O jego opanowaniu świadczyło to, że zauważył coś, czego pozostali dwaj nie spostrzegli.

- Sara. - Zakrztusił się. - Nie widzę... gdzie jest... Sara?

Gadzi uśmiech wpełzł na twarz Josiaha Comstocka, gdy głową wskazał odległy róg chaty. Nie spuszczać wzroku z Whittsleya, cytował Ewangelię Łukasza 24,22: „Niektóre z naszych kobiet przeraziły nas”.

Hughes odwrócił latarnię i skierował ją w tamtą stronę. Jej światło rozlało się przed nim jak atrament z przewróconego kałamarza, ujawniając po kolei koszarne szczegóły tego, co stało się z najstarszym dzieckiem Stephanusa.

Ręce dziewczynki, pokryte głębokimi, ociekającymi krwią zadrapaniami, złożone były jakby w modlitwie. Nadgarstki spętane sznurkiem przywiązano do wezłowania łóżka. Ramiona miała złamane w łokciach, czoło zmasakrowane żelaznym prętem, który leżał obok. Język był wyrwany, a szyja pokryta sińcami. Koszula nocna rozerwana pośrodku odsłaniała piersi - odgryzione z taką dzikością, że niewiele z nich pozostało. Comstock rozciął ją od żołądka do miednicy jak patroszoną sarnę. Nogi związał jej w kolanach i rozwarł szeroko jak do porodu. Złamane kostki przymocował do niskich wsporników w końcu łóżka. Pochwa była wyszarpana na zewnątrz, a lepkie wstążki nasienia mordercy plamiły obnażone wnętrzności.

Ale najgorszy ze wszystkiego był wyraz twarzy Sary. Na ten widok Elias Hughes opadł na kolana, a wielebny Whittsley wcisnął sobie pieść

do ust, by nie wzywać imienia Pana nadaremno. Wszystkie odrażające tortury wyryły się na jej obliczu, a zdumiewająco niebieskie oczy, otwarte i patrzące na środek pokoju, mówiły im, że Comstock kazał jej obserwować rzeź rodziny. Umarła jako ostatnia.

- Jeden rok - recytował Josiah Comstock, kiwając się w tył i w przód na kolanach - cztery miesiące, piętnaście dni, dziewięć godzin, siedem minut, dwanaście sekund...

Whirtsley z trudem wciągnął powietrze i zwrócił twarz w stronę niewidocznego nieba i równie niewidocznego Boga.

- Nie ma na to dostatecznie srogiej kary - szepnął.

Elias Hughes uchwycił jego spojrzenie, które wyrażało milczącą zgodę.

Wiadomość rozeszła się szybko i nie minęła godzina, jak dorośli koloniści, przerażeni i wściekli, wyciągnęli Josiaha Comstocka z chaty. Bito go, kopano, strzelano do niego, przypalano, pluto i częściowo odarto ze skóry. Nad ranem, skomlącego i nadal żywego, zaciągnięto w ponure ostępy lasu i powieszono na starym, poskręcany i (jak ktoś powiedział) emanującym złem cedrze.

Zmasakrowane ciało wykonało półobrót w lewo, a potem znieruchomiało.

Koloniści spalili zwłoki Stephanusów i podłożyli ogień pod ich małą, odludną chatę, paląc ją aż do gruntu. Następnie zebrano popiół, wsypano do jutowego worka, który szczelnie zawiązano szpagatem i poniesiono w dół rzeki na niezaludnione tereny przełomu. Tam dopiero wrzucono go do wody - uderzył w wielką skałę i rozpadł się, a świadkowie twierdzili, że gdy woda wchłonęła prochy, przybrała kolor krwi.

Żeby dzieci nie zbliżały się do tego straszego miejsca, koloniści mówili im, że pod wodą czai się niewidoczny, paskudny potwór, który tylko czeka, by porwać nieposłuszne dziecko do czarnej pieczary. Można go rozpoznać po zniekształconych plecach, wystających znad wody niczym wielka skała. „Gdy ją zobaczysz, natychmiast uciekaj - mówiono dziecku. Popatrzysz sekundę dłużej i będzie dla ciebie za późno”.

Hughesa, Ratcliffe'a i innych kolonistów okrywał aż do śmierci płaszcz wstydu; nie dawała im spokoju świadomość, że są współodpowiedzialni za to, co zrobiono Josiahowi Comstockowi, a także za to, co się stało ze Stephanusami oraz z bezimiennymi zmarłymi, których znajdowano w rzece.

Były także inne ciała, nigdy nieodnalezione, każde z nich potwornie okaleczone, ponieważ - czego ojcowie założyciele Cedar Hill nie wiedzieli - Josiah Comstock mordował „zaginionych podróżnych” od czasu, gdy pierwsza grupa imigrantów postawiła stopę na terenie hrabstwa Licking. Ofiary wybierał przeważnie w robotniczych obozowiskach, rozrzuconych w promieniu stu kilometrów wokół kolonii. Wynajęci do budowy szlaków handlowych robotnicy wraz z rodzinami dostarczali Josiahowi Comstockowi więcej odpowiedniego mięsa niż potrzebował. I tylko dlatego, że żądza naszła go bez ostrzeżenia, popełnił błąd i wybrał na swe kolejne ofiary rodzinę osadników.

Ale Josiah Comstock nie umarł tej potwornej nocy 1805 roku.

Kilka minut po zmierzchu, szesnaście godzin po tym, jak Hughes i inni pozostawili go wiszącego na drzewie, jego ciało wykonało drugi półobrót, tym razem w prawo.

Coś pełzło po gałęzi drzewa, na której go powieszono.

Zabłąkany promień bladego księżycowego światła przedarł się przez liście, ukazując czarnego motyla o nieruchomych skrzydłach wielkości męskiej dłoni.

Josiah Comstock wyciągnął rękę w górę i chwycił za stryczek. Lina trzeszczała, dymiała i przybierała czarną barwę, gdy dotyk ją przepalał. Josiah Comstock opadł na ziemię, zdarł sobie pętlę z szyi, zwymiotował krew, złączył dłonie i podniósł je do góry.

Czarny motyl zniknął z gałęzi i natychmiast pojawił się w kołysce dłoni wisielca.

Comstock spojrzał w stronę osady i uśmiechnął się zmasakrowanymi wargami.

- Pięćset dni - zakrakał głosem ochryłym, stężalym. Trzymał czarnego motyla przy piersi.

- Nie mogę uwierzyć, że liczba jest tak mała - dobiegł go głos z tyłu.

Odwrócił się i zobaczył wielebnego Whittsleya, stojącego dwa metry dalej z Biblią w ręce.

- Niech zgadnę - powiedział Comstock. - Ogłosiłeś wszystkim, że jako sługa boży masz obowiązek tu przyjść i odmówić krótką modlitwę za moją wieczną duszę?

- Znasz przecież odpowiedź. - Whittsley opuścił Biblię na ziemię, gdy Comstock uwolnił czarnego motyla. Obaj obserwowali, jak trzepocze skrzydełkami i odlatuje w noc.

- Czy kiedykolwiek cię to zmęczy? - szepnął Comstock. Whittsley spojrzał na niego.

- Jaki wybór mamy w tej sprawie?

- Były wybory, wcześniej. Tylko że dokonano złych. Whittsley

przetarł oczy.

- Więc teraz gdzie i kiedy? W przód, w tył, w bok?

Stali w milczeniu pod srebrnym księżycem. Wreszcie Comstock się odezwał:

- Jakoś mi się tu podoba.

Whittsley rozglądał się przez kilka chwil, po czym wzruszył ramionami.

- Równie dobre miejsce jak każde inne na następnych paręset lat.

Może wyda wam się ciekawy ostatni fragment dokumentu, dotyczący tego odcinka przełomu rzeki, gdzie wyrzucono popioły z chaty Stephanusa:

(Przypis redaktora: Odszukałem ten odcinek rzeki podczas swojej ostatniej bytności w Cedar Hill. Whittsley narysował dość wierny plan w swoim dzienniku. Miejscowi mówią, że jeśli staniesz na południowym brzegu rzeki dokładnie o osiemnastej trzydzieści, możesz zobaczyć, jak woda przybiera czerwoną barwę, kiedy przepływa obok tamtej skały. Mają rację: rzeczywiście wygląda to jak krew. Czy wiecie, że ten odcinek oznaczony jest na mapie jako Krwawy Strumień - nie na planie Whittsleya, lecz na każdej mapie Cedar Hill, jaką można kupić współcześnie. Jeśli kiedykolwiek znajdziecie się tam o tej godzinie, widok przyprawi was o dreszcze, możecie mi wierzyć).

Legenda o Pałaczydle przetrwała do dziś. Ludzie mówią, że nie umarł wraz z Comstockiem. Mówią, że wrócił...

A ja mogę zaświadczyć, że to ostatnie stwierdzenie jest prawdziwe, ponieważ on istotnie wrócił.

...w czerwcu 1805 roku jako epidemia cholery, gdy ludzie umierali w

takim tempie, że ciała trzeba było zbierać wozami co osiem godzin...

...wrócił...

...w marcu 1840 roku jako powódź, która zabiła piętnastu ludzi, a setki pozbawiła dachu nad głową...

...wrócił...

...w lutym 1876 roku jako Ictinike, wędrowny wojownik z plemienia Wyandot, który pustoszył osiedla białych ludzi, zabił kilkanascioro kobiet i dzieci, zanim dopadli go i zabili przedstawiciele prawa...

...wrócił...

...w styczniu 1901 roku jako głowa - duch, unosząca się wewnątrz krytego mostu na drodze lokalnej numer 22. Utrzymywano, że co najmniej dwadzieścioro ludzi umarło ze strachu lub popadło w obłąd na ten widok...

...i również wrócił...

...we wrześniu 1915 roku jako pożar, który strawił i zmiotł z powierzchni ziemi nowo wzniesiony gmach sądu w Cedar Hill, zabijając siedem osób, które utknęły w piwnicy, między innymi Anthony'ego Spencera Ratcliffe'a, potomka w prostej linii tego samego Jona Ratcliffe'a, który jako pierwszy zobaczył zaszlachtowane ciała rodziny Stephanusów...

...wrócił...

...jesienią 1924 roku jako tajemnicza postać pojawiająca się na ulicach West Cedar Hill, odpowiedzialna za zamordowanie sześciorga dzieci. Jej imię trafiło na stałe do miejscowych opowieści...

...wrócił...

...w październiku 1945 roku jako potężny huragan, który przeszedł przez pięć sąsiednich hrabstw, zanim postanowił wyładować swój gniew w Cedar Hill. Powalił domy, drzewa wyrwał z korzeniami, zniszczył linie

elektryczne, a wieżę na Drugim Kościele Prezbiteriańskim przewrócił na ziemię, miażdżąc i zabijając pastora Ronalda Gregory'ego Hughesa, sympatycznego człowieka, który często mówił z dumą że, jego przodkowie” byli pierwszymi przywódcami religijnymi zasiedlającymi to hrabstwo...

...wrócił...

...w sierpniu 1969 roku jako potężny pożar, który zniszczył większość Old Towne East (do czego za chwilę powrócimy)...

...i znów wrócił...

...4 lipca 1976 roku jako Andy Leonard, nastolatek, typowy amerykański chłopiec, który z nieznanых powodów urządził sobie strzelaninę, zabijając trzydzieści dwie osoby i raniąc trzydzieści sześć innych. W tym czasie była to największa masakra w historii Stanów Zjednoczonych...

...nie poprzestał na tym; znów wrócił...

...w 1994 roku, zrodzony z bólu i wściekłości, jaki czuła matka, gdy uprowadzono jej córkę, przybrał postać golema, nazwanego Panem Dłonie, który przez pewien czas terroryzował Cedar Hill serią brutalnych, krwawych morderstw popełnianych na ludziach, którzy skrzywdzili dzieci...

...i wrócił...

...w roku 2005, tym razem jako rozziw między dwiema realnościami. A samotny, niewinny mężczyzna o nazwisku Gil Stewart, który nie mógł powstrzymać bolesnej szarpaniny między jedną a drugą, wierzył, że groziły mu istoty nadnaturalne zwane Strażnikami, które miały moc zmieniania ludzi w zwierzęta i zwierzęta w ludzi, i wszystko to zakończyło się brutalną, burzliwą tragedią...

...i wróci po raz ostatni, gdy jeden z tych, którzy przeżyli masakrę

Leonarda, po trzydziestu latach zawita do Cedar Hill, żeby wydobyć na światło dzienne prawdę na temat pochodzenia i mocy Pałaczydła (ale to już inna opowieść, zachowajmy ją więc na inną okazję).

Ale co działo się w okresie między 1994 a 2005 rokiem? Czy Pałaczydło porzucił Cedar Hill, z czasem czując się znudzony miastem?

Nie. Cytując Klasyka: „W tym sęk”.

Zastanawiacie się, skąd ja to wszystko wiem - a może już się domyślacie? Mimo to spójrzcie wraz ze mną jeszcze raz na tę straszną noc 1969 roku, gdy Charlie Smeds i Eugene Talley stracili życie w największym pożarze w historii miasta. Jeszcze tylko kilka chwil, a potem opowiem wam wszystko o trzynastym powrocie Pałaczydła do Cedar Hill, gdy sprowadził na miasto taką przemoc, śmierć i rozpacz, że w porównaniu z tym wszystkie pozostałe jego odwiedziny w tych okolicach wydają się dziecinną igraszką.

16

Gdy oddział straży pożarnej z Cedar Hill przybył do Fabryki Trumien Beaumonta, płomienie dosięgły magazynu ze zbiornikami wypełnionymi bejcą, olejem i politurą, które wybuchły równocześnie, tworząc prawie trzydziestometrową chmurę w kształcie grzyba i powodując pożar dziewięciu innych, pobliskich budynków. Ogień został w końcu opanowany (po mniej więcej piętnastu godzinach), ale musiano wezwać strażaków z trzech innych hrabstw, a większość domów w granicach czterech przecznic spłonęła doszczętnie, zmieniając się w stos dymiących popiołów.

Poza Fabryką Trumien i Kryjówką u Talleya pożar zniszczył trzynaście innych firm i żadna już nigdy się nie podźwignęła. Eksplozja

zrzuciła tyle odłamków na Hopewell Park, pięć przecznic dalej, że kilka drzew stanęło w ogniu, a ponieważ wydarzenia miały miejsce w połowie sierpnia i podczas suszy, trawa - brązowa i krucha - szybko się zajęła i park doszczętnie spłonął (teraz w tym miejscu jest złomowisko samochodów).

Eksplozja rozrzuciła trumny i fragmenty trumien w promieniu czterech przecznic w każdym kierunku. Uprzątno ten rejon przez pięć miesięcy, a jeden z ochotników zauważył, że to wygląda jak hrabstwo pełne trumien”.

Określenie to usłyszał Jack Donovan, reporter i DJ stacji radiowej WATH, który przekazywał informacje o akcji oczyszczania terenu. Zdanie zapadło mu w pamięć i gdy tego samego dnia o szóstej po południu nadawał wiadomości, zredukował myśl wolontariusza do określenia - domyślcie się już, prawda? - Hrabstwo Trumien. Przez sześć tygodni „Najnowsze wiadomości z Hrabstwa Trumien” zyskały status samodzielnego zjawiska popkultury, zwłaszcza gdy pojawiły się plotki, że fabrykę celowo podpalili przeciwnicy wojny w Wietnamie, ponieważ Franklin Beaumont miał jakoby związki z Lyndonem Johnsonem (tego faktu ani nie dowiedziono, ani go nie podważono).

Z czasem ten obszar miasta zaczął przyciągać „mniej pożądane elementy” spośród obywateli Cedar Hill - bezdomnych, narkomanów, alkoholików, złodziei, ulicznych głosicieli rasizmu, obrzucających słowami nienawiści wszystkich przechodniów; ściągali tu również młodzi uciekinierzy oraz tacy, którzy aż nazbyt chętnie wykorzystywali ich rozpacz i wrażliwość.

Ocalałe z pożaru budynki przysiadły jak chore zwierzęta, czekając,

aż ktoś przyjdzie i wybawi je z nieszczęścia. Nieliczne sklepy oferują głównie wódkę, a okna i drzwi mają zakratowane. Pracujący tam sprzedawcy dysponują bronią, której nie powstydziliby się żaden z przedstawicieli prawa. Większość mieszkańców Cedar Hill uważa ten teren za rakową narośl, gdzie wylęga się przemoc, gniew i rozpacz. Tymczasem zamieszkujący go ludzie uznali degradację za sposób na życie, gdzie agresja staje się drugą naturą, a gwałt, morderstwo, bandytyzm są traktowane w taki sposób, jak większość z nas traktuje korki w godzinach szczytu - musisz to znieść i staraj się wrócić do domu w jednym kawałku. Każdy ma własne zdanie na temat tego, co należy zrobić z Hrabstwem Trumien, jednak władze miasta unikają dyskusji i nie podejmują żadnych działań, by poprawić sytuację; w ogóle się w pobliże tego rejonu nie zapuszczają.

Hrabstwo Trumien to miejsce wymagające silnego ducha, by dotrzeć do ludzi pozbawionych nadziei. To miejsce, gdzie przychodzą osoby dziwne i poranione, zgorzkniałe i odrzucone, zagubione i zaniedbane, kiedy gonią resztkami sił, a jedyne rozwiązanie, jakie oferuje im życie, to wpełznąć w cienie ubóstwa i po prostu się poddać.

Ale kiedy nadszedł zmierzch po dniu pożogi, gdy strażacy odjechali, a policja zamknęła kwartał dla prasy i ciekawskich, gdy już nikt nie gapił się na zdewastowane domy i dogasające popioły, obszar w pobliżu centrum zniszczeń zaczął falować, marszczyć się, wznosić i opadać, jakby oddychał. Popioły nabierały kształtu. Gdyby ktoś był tego świadkiem, mógłby przysiąc, że falujące popioły i gruz przybierają postać człowieka, który podnosi się z ziemi, jakby wstawał z grobu, a potem otwiera oczy i potrząsa głową, żeby usunąć popiół z twarzy. Postać z popiołu z trudem

się wyprostowała, rozejrzała dookoła i ruszyła w stronę kamiennego muru - tylko tyle pozostało z Kryjówki u Talleya. Zatrzymała się tam na chwilę, napisała w popiele wiadomość, po czym ją zdmuchnęła, by nie pozostał po niej żaden ślad. Wreszcie - odrywając sobie kawały zwęglonego ciała, pod którymi widniała czerwona, wilgotna, gojąca się tkanka - ruszyła w noc, by rozpocząć przygotowania.

Mogę wam zresztą powiedzieć, że to cholernie boli, gdy się tak odrywa usmażone mięśnie, a proces gojenia też nie jest rozkoszą. Nigdy nie jest.

To ja byłem Panem Drzewo. Byłem również tym człowiekiem, którego pierwsi osadnicy z Cedar Hill znali jako wielbnego Samuela Whittsleya - choć nie jest to moje prawdziwe nazwisko. Zmartwychwstały Człowiek to oczywiście Josiah Comstock - i to również nie jest jego prawdziwe nazwisko. Czy te informacje będą przydatne - dopiero się okaże.

Nadszedł czas, by powrócić do tamtej szczeliny, przez którą wejdziemy do następnej części opowieści. Nie obawiajcie się, zaczerpnijcie głęboko powietrza i przechodźcie. Wystarczy miejsca dla nas wszystkich. Jeśli to wam pomoże, zaciśnijcie powieki, aż pokonacie całą drogę i poczujecie na twarzy zimny, nocny deszcz. Potem weźcie głęboki oddech i otwórzcie oczy, a gdy się odwrócicie - zobaczycie postać w kurtce z kapturem, idącą w stronę knajpy. Teraz jesteśmy na tyle blisko, by stwierdzić, że to mężczyzna. Ma zegarek. Jest godzina dziesiąta czterdzięci pięć wieczorem. Rozkazuje psu - dużemu, czarnemu mastifowi - by usiadł i pies wykonuje polecenie. Potem wyciąga rękę, chwyta za klamkę, pociąga drzwi do siebie, otwiera, a my wchodzimy za nim do środka.

Mężczyzna w lśniącej od deszczu kurtce wszedł do całonocnej knajpy o dziesiątej czterdzieści pięć. Mimo tak późnej pory lokal był zatłoczony, co w znacznej części należałoby przypisać burzy, która przetoczyła się godzinę wcześniej. Żaden z gości nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

Zmęczona swoim dyżurem kelnerka, która wyglądała, jakby już skończyła czterdziestkę, choć miała dwadzieścia dziewięć lat - spojrzała znad kasy i uśmiechnęła się do gościa, ale późna godzina, zimny deszcz siekący po szybach, i zbyt wiele straconych nadziei sprawiły, że uśmiech był jedynie pustym i rozpaczliwym sygnałem z głębi surowego, samotnego serca.

Chwyciła postrzępione menu z pękniętej plastikowej półki przy kasie, wsunęła za ucho pasmo przedwcześnie posiwiałych włosów i powiedziała:

- Czy jest pan sam, proszę pana? Mężczyzna krótko, energicznie skinął głową.

- Straszna dziś pogoda. - Kelnerka zaczęła towarzyską rozmowę raczej z przyzwyczajenia, niż z prawdziwej chęci podjęcia kontaktu z inną ludzką istotą. - Ma się wrażenie, że burza przyszła znikąd.

- Tak jak cuda - odparł mężczyzna głębokim, grobowym głosem. Kelnerka wpatrywała się w niego.

- Jak, przepraszam?

- Nie słyszała pani przedtem tego wyrażenia? - spytał. - Cuda znikąd. Kelnerka pokręciła głową.

- Raczej nie słyszałam, ale to interesujące powiedzenie. Zapamiętam

je. - Wyszła z za lady i skinęła, żeby szedł za nią w stronę boksu z tyłu sali.

Mężczyzna dotknął jej ramienia delikatnie, szybko i z prawdziwą czułością - tak dłoń matki dotyka policzka swego nowo narodzonego dziecka. Kobieta przystanęła i obejrzała się.

Srebrny blask zatańczył w spojrzeniu nieznajomego, gdy popatrzył w jej oczy. W milisekundzie - między tym błyskiem srebra a smutkiem powstałym w sercu kobiety, gdy błysk zniknął - poczuła, że mężczyzna przywołał i poznał wszystko, co było do poznania: jej dziewczęce fantazje, drobne zazdrości i niewypowiedziane pragnienia, nieosiągnięte cele samotnego teraz życia oraz ludzi, którzy w jakimś sensie cierpieli z powodu tych porażek.

Próbowała się od niego odsunąć, wyzwolić się z uchwytu, w którym trzymał ją jego wzrok, ale od razu zrozumiała, że to bezcelowe, że ten nieznajomy o przenikliwym spojrzeniu i głosie jak żałobny gwizdek pociągu o północy kontroluje ją teraz równie silnie jak jej ostatni mąż, który uważał, że podbite oczy i siniaki na żebrach to dowód uczucia.

- Proszę pa - a - ana - szepnęła.

- Cii - powiedział. - Jeszcze kilka chwil, proszę.

Stała nieruchomo, a on przeszukiwał emocjonalne gruzowisko po dwóch nieudanych małżeństwach i wielu złych związkach, w jakich żyła przedtem, odsuwał na bok małe żale i drobne okrucieństwa, aż w końcu dotarł do czegoś, o czym nigdy nikomu nie opowiadała: trwającym ciągle świeżym bólu po śmierci trzyletniej córeczki, która przed czterema laty zginęła w wypadku samochodowym.

- Jakie to musiało być dla pani straszne - powiedział, a potem dodał:

- Ale... ona nie cierpiała. Niczego nie czuła.

Słuchał muzyki, jaką kobieta lubiła, uśmiechał się, widząc aktorów, w których się przez te lata podkochiwać, zdziwił się, jakie książki czytała i jakie kłamstwa opowiadała, a jednak te ciche poszukiwania były bardziej skuteczne od dotyku palców czy języka kochanka. Ujawniły wszelkie intymne, złożone i sprzeczne cechy jej charakteru.

Stali przy pustym boksie niecałe pięć sekund.

Żaden z klientów nie zwrócił na nich uwagi, wszyscy byli pochłonięci własnymi myślami, problemami, rozmowami.

Kelnerka wspominała dzień śmierci swojej córki. Wspominała, jak bardzo źle się wtedy czuła, ale jednak zażyła lekarstwo na katar, ponieważ córka marzyła o pikniku z okazji Dnia Niepodległości, który odbywał się w centrum miasta, a biedne dziecko przeżyło już tyle rozczarowań, że mama nie mogła odmówić, choć czuła się okropnie. Więc połknęła proszki i pojechały samochodem do centrum. Miała lekkie zawroty i tylko na sekundę przymknęła powieki, na sekundę, może nawet mniej, by odświeżyć spojrzenie, ponieważ obraz przed oczami trochę jej się rozmazywał. Wtedy córka krzyknęła: „Mamo! Uważaj na ciężarówkę!” Ale gdy mama otworzyła oczy, było za późno - gwałtownie przekroczyła środkową linię i ciężarówka spadła na nich jak klątwa z nieba, i o Jezu, kochanie, to było niechcący, tak bardzo mi Ciebie brakuje, to mnie powinno spotkać, mnie powinno spotkać, mnie powinno...

...teraz ten mężczyzna o przenikliwych oczach pojawił się tam, dotykał policzka jej córeczki.

- Daję ci słowo, Edno, jakie to piękne imię - nie powinnaś być szesnastoletnia, przysięgam, że Karen nie cierpiała. Przeżyła jedną chwilę strachu, ale gdy ciężarówka w was uderzyła, córka odeszła. Nie czuła bólu, w

ogóle nie czuła bólu.

I Edna zobaczyła, jak Karen się do niej uśmiecha, ale choć w uśmiechu były miłość i przebaczenie, było w nim również nieskończenie wiele żalu.

Wtem w okamgnieniu wszystko zniknęło i Edna znów stała się zmęczoną kelnerką na nocnej zmianie, dziewczyną bez szkoły średniej, która stała na brudnej podłodze w taniej całonocnej knajpie, gdzie porysowane drewniane boksy i stoły wyglądały równie obskurnie jak menu, które trzymała w dłoniach.

Upuściła je i omal nie straciła równowagi. Mężczyzna wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać. To zwróciło uwagę paru osób z tyłu sali, które czekały, by Edna podeszła i dołąła im kawy.

Otarła pot z czoła i kilka razy głęboko odetchnęła, by się uspokoić, a potem spojrzała w oczy Cudotwórcy.

Zabierz mnie do niej, proszę. Proszę, zabierz mnie do Karen, błagała bezgłośnie.

Usłyszała znów jego głos, był jak jedwab tuż przy jej skórze.

- Czy ma pani jeszcze kogoś, teraz, gdy córka odeszła?

- Nie wiem, to znaczy...

- Męża, chłopaka... przyjaciół?

Oczy zaszyły jej łzami, co wprawiło ją w zakłopotanie.

- W zasadzie nie. To znaczy mam tu koleżanki, pracują jako kelnerki i rozmawiam ze stałymi klientami, ale nie znam nikogo aż tak dobrze, żeby go zaprosić, no wie pan, do domu albo do kina czy coś takiego. Jestem sama.

Dotknął dłonią jej policzka.

- Ale to więcej niż trzeba. W pani, Edno, jest cały wszechświat. Tylko pani sobie tego nigdy nie uświadomiła. To, co pani pokazałem, już przedtem w pani było. To, co pani odczuła, też już tam było. Karen zawsze była przy pani. Istnieje cała gałąź wieloświatów, w której Karen nigdy nie umarła, gdzie obie żyjecie szczęśliwie, a pani nie musi pracować na nocną zmianę i nie czuje się taka samotna.

- Proszę wybaczyć - odparła Edna. - Chyba... chyba nie rozumiem.

- Zrozumie pani. - Uśmiechnął się. - Obiecuję pani, Edno, że naprawdę pani zrozumie.

Pocałował ją w policzek, rozpiął kurtkę, wyciągnął półautomatyczny tec - 9 z magazynkiem na pięćdziesiąt naboji i otworzył ogień.

Momentalnie zrobiło się zamieszanie. Goście próbowali uciekać w stronę drzwi, rzucali się pod stoły, chwyтали swoich bliskich lub wołali po imieniu ukochane osoby, których już nigdy nie zobaczą. Zagłuszało ich bezwzględne, pogardliwe nieprzerwane terkotanie pistoletu - radosny na swój sposób hałas, po którym zapadła surowa, przepełniona lękiem cisza tych, którzy właśnie byli świadkami nadejścia cudu.

Znikąd.

18

W tym samym momencie, gdy obcy w kurtce wszedł do knajpy, Ben Littlejohn obudził się z najlepszego snu, jaki miał od lat. W tym śnie - przynajmniej w dobrej jego części, w której nie musiał biec i krztusić się - to on wyszedł późnym wieczorem po sprawunki, a nie Cheryl. To on stał w kolejce, gdy trzech nastolatków wpadło do sklepu, wymachując bronią i krzycząc: „Wszyscy na ziemię!” To do niego dwukrotnie strzelono, gdy jeden z dzieciaków spanikował i zaczął grzać z pistoletu przed sklepem.

To on - nie Cheryl - umarł na podłodze pod zbyt jasnymi świetlówkami; a gdy poczuł, że opuszcza go ostatnia iskierka życia, dano mu spojrzeć w przyszłość i zobaczył, że żona i ich nienarodzone dziecko mają się dobrze. Tak, Cheryl bardzo za nim tęskniła, a syn nigdy nie poznał ojca, ale mama mu opowiedziała, jakim człowiekiem był tatuś. To miłe umierać w ten sposób.

Ben próbował oddalić moment przebudzenia, usiłował zatrzymać mgliste obrazy ze snu, ale... wszystko na nic. Obudził się i żył, Cheryl nadal była martwa, a tych trzech skurwieli, którzy obrabowali sklep i postrzelili pięć osób - tylko jedna z nich zmarła - ciągle nie udało się złapać.

Ben spojrzął na zegarek na nocnej szafce i uświadomił sobie, że za mniej niż półtorej godziny rozpocznie się trzecia rocznica dnia, w którym zamordowani zostali jego żona i nienarodzony syn.

Wstał ze zbyt obszernego łóżka i poczłapał na dół do kuchni. Napił się soku pomarańczowego prosto z kartonu - za co Cheryl by się na niego wściekła. Czuł ukłucia i widział aurę, co poprzedzało u niego atak migreny, więc wziął karton do łazienki na parterze i znalazł w apteczce kilka tabletek imitrexu. Gdy połknął proszki i wypił sok, wrócił do sypialni i włączył małą lampkę przyczepioną do wezglowia łóżka. Wpatrywał się w oprawioną fotografię stojącą obok budzika, która przedstawiała jego i Cheryl w dniu ślubu. Nawet teraz pamiętał najdrobniejsze szczegóły tej chwili, gdy robiono zdjęcie, zapach perfum żony, snop światła, wpadający przez kościelne okno, kropelki potu, pełzające wzdłuż kręgosłupa tak długo, aż zaczął się obawiać, że dostanie ataku, pamiętał aromat kwiatów ze ślubnego bukietu oraz tych stojących na

ołtarzu, sposób, w jaki Cheryl ścisnęła mu rękę - nie był to jeden długi uścisk, lecz rytmiczna seria idealnie zgrana z uderzeniami jej serca, a teraz również jego serca: uścisk („Ja Cheryl biorę cię, Benjaminie, za poślubionego męża”), zwolnienie uścisku, uścisk („...kochać cię i troszczyć się o ciebie aż do śmierci”), zwolnienie uścisku. Wymieniali się sobą z każdym oddechem; milcząco i ochoczo ofiarowali część siebie drugiej osobie aż, w tej chwili zrobiono im zdjęcie, stali się jednością - tego dnia, w tym momencie, w tym oddechu, w tej miłości, aż do śmierci.

Minęły trzy lata, a ciągle tak okropny ból sprawiało myślenie o tym, jak powinno być.

Boże, kochanie, pomyślał, wpatrując się w jej zastygłą w uśmiechu twarz, tak za tobą tęsknię.

Spojrzał na pistolet - wisiał w kaburze na wezgielciu łóżka w pobliżu lampki. Czasami sama obecność broni stanowiła zbyt wielką pokusę.

Nie powinienem pozwolić ci tam pójść. Albo powinienem iść z tobą. Może gdybym poszedł z tobą, zamiast siedzieć tu i marudzić jak dziecko, bo złapałem straszne przeziębienie... Ale ty nie chciałaś o tym słyszeć. Już i tak było kiepsko i musiałem spać na kanapie, ponieważ nie chcieliśmy, żebyś się ode mnie zaraziła, i obawiałaś się, że mi się pogorszy, gdy wyjdę po lekarstwo. Boże, kochanie, czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

W piersiach coś go szarpało, a ramiona opadły, gdy poczucie winy po raz kolejny orało mu trzewia żelaznymi hakami. Przycisnął dłoń do oczu i sam się zdziwił, że nie płacze. Wstrząsnęły nim dreszcze, najpierw w żołądku, ale szybko rozprzestrzeniły się na barki, ramiona i na dłonie. Cienka warstwa potu okryła mu ciało, a na języku nagle pojawił się cierpki smak.

Znów wpatrywał się w uśmiech Cheryl i poczuł się trochę lepiej, bo przypomniał sobie, jak zawsze rozcierała mu plecy, gdy budził się ze złego snu albo gdy miał ciężki dzień w pracy. Znów spojrzął na pistolet, który czasami stanowił zbyt wielką pokusę, i pokręcił głową. Omal sam siebie nie wyśmiał za to, że taki z niego banalny, uzalający się nad sobą, melodramatyczny palant. Cheryl byłaby na niego wściekła, gdyby...

- Dupek - szepnął do siebie. Tak się nie czci pamięci żony. Dlaczego nie możesz być wdzięczny za czas, jaki z nią spędziłeś, dlaczego tego nie doceniasz i zachowujesz się jak postać ze sztuki Clifforda Odetsa? Tylko nie aż tak wesoła.

Tym razem się zaśmiał, wiedząc, że Cheryl zrozumiałaby tę aluzję.

Zgasił światło i znów się położył, przez chwilę masował sobie obojętne kark, próbując przywołać dotyk palców żony. Przez chwilę niemal mu się to udało. Ale potem całkowicie zawiązało nim lekarstwo przeciw migrenie i poczuł nadchodzący sen, co wcale nie było najgorsze, bo może udałoby się powrócić do tego samego szczęśliwego momentu, w którym się obudził. To miłe umierać w ten sposób, naprawdę miłe.

19

Przed restauracją siedział czarny mastif pogrążony w niedorzeczności deszczowego mroku i obserwował, jak na szybie od wewnątrz rozkwitają krwawe kwiaty. W końcu mężczyzna w kurtce błyszczącej od deszczu i krwi wyszedł na zewnątrz. Pies spojrzął na niego i zamachał ogonem. Zakrwawiona dłoń spoczęła na głowie zwierzęcia i pogłaskała ją.

- Cierpliwości, przyjacielu.

W oddali słychać było żałobny dźwięk gwizdka lokomotywy. Pies

odwrócił się, odsłaniając zęby.

- Spokojnie, mały, spokojnie. Nie trzeba się tak wcześnie denerwować. Zostań. Dobry pies. Masz tutaj.

Pies przyjął to, co włożono mu w zęby. Wiedział, że nie jest to do jedzenia ani do zabawy.

- Dobry pies. Wiesz, co teraz robić, tak? Dobrze. Doskonale. Wkrótce znów się zobaczymy.

Mastif zaskomlał, mrugnął, potem spojrział w stronę, skąd dobiegł grzmot, a gdy się odwrócił, mężczyzna zniknął w nedorzeczności i w deszczu. Pies przeszedł pod knajpę i usiadł pod markizą przy wejściu. Tu nie było tak mokro. Psu się to spodobało.

20

Telefon zadzwonił o jedenastej dwadzieścia w nocy. Ben półprzytomny i obolały, klnąc, po omacku szukał słuchawki. Podnosząc ją do ucha, przypomniał sobie z dzieciństwa, co ojciec wbijał wszystkim w rodzinie do głowy: „Zapamiętajcie moje słowa - gdy telefon dzwoni po jedenastej w nocy, to albo jest to bardzo zła wiadomość, albo pomyłka. Nie ma innej możliwości”.

- Taa? - powiedział Ben. Jego głos przytłumiony był znużeniem i flegmą.

- Ben Littlejohn?

Nie poznawał rozmówcy.

- Kto mówi?

- Czy to detektyw Ben Littlejohn?

- Tak.

Dzwoniący zachichotał. Jego śmiech zabrzmiał tak, jakby po tysią-

cach lat odsunięto kamienną płytę starożytnego grobowca.

- Czy zna pan Knajpę Dawnych Indian?

- A o co chodzi?

- Może należałoby do niej kogoś posłać. Natychmiast. Była tam okropna strzelanina.

- Kto mówi?

- Edna nazwała mnie w myślach Cudotwórcą, ale może pan mówić do mnie Pałaczydło. Bardzo ładna kobieta była z tej Edny. Proszę zauważyć użycie czasu przeszłego.

Trzask.

Ben odsunął słuchawkę od ucha i wpatrywał się w nią, jakby oczekiwał, że telefon zamieni się w węża. Serce podeszło mu do gardła, ale szybko się otrząsnął i zadzwonił na dyżurkę.

„Była tam okropna strzelanina”.

(„Zapamiętajcie moje słowa...”).

21

tym razem tylko tysiąc sto dni? na stare lata stajesz się trochę nierozsądny, mój oprawco, umarli szlachetnie.

.....

.....

rozumiem, nie tak szlachetnie, a będzie ich więcej, zawsze będzie więcej.

w imię unruha i simmonsa, i lepine 'a, i huberty 'ego, i ruperta i dahmera, i lucasa, i gacy 'ego, i sherrilla.

.....

.....

słusznie mnie poprawiasz, mój oprawco, również w imię pogranicza i richland, i bethel, i heath, ijonesboro, i parker, i columbine. twoja wola niech się spełni.

.....

.....

i ty też się pierdol.

tylko tysiąc sto dni. czasami potrafisz być bardzo nikczemnym łajdakiem.

przepraszam, mój oprawco, przebacz mi ten wybuch, innych rzeczy nie wybaczyłeś, dum vita est, spes est.

22

Gdy słońce przysiadło na horyzoncie jak sęp obserwujący pole świeżego ściierwa, Ben Littlejohn stał w rogu zalanej krwią knajpy i popijał ohydną, letnią kawę z plastikowego kubka. Smugi jasnego porannego światła, wzmocnionego blaskiem lśniących chromowanych półek za kontuarem, godziły w jego oczy z niemal laserową precyzją. Boże, jak dobrze, że zażyłem w nocy imitrex, gdyby nie to, już leżałbym na podłodze, pomyślał. Poruszył powiekami, zmrużył oczy i odszedł w bok poza zasięg odbitego światła. Starał się pozostać w granicach wyznaczonych przez taśmę, oddzielającą obszar neutralny od miejsca zbrodni.

Jim Wagner, jeden z dwóch funkcjonariuszy patrolu, który jako pierwszy pojawił się w barze, podszedł do Bena i spytał, czy chce, by on i jego partner, Tom Sanderson, towarzyszyli ostatniemu transportowi ciała do kostnicy.

- Nie. Funkcjonariusz od identyfikacji już tam jest.

Wagner usiłował nie zdradzać się z emocjami, ale przyjął tę odpowiedź z wyraźną ulgą. Ben czuł się zbyt wypompowany, by się tym przejąć. Sam był kiedyś mundurowym - prawdę mówiąc, całkiem niedawno - i znał stary przesąd.

Rzadko się o tym mówiło wśród policjantów Cedar Hill, ale uważano, że ten, komu wyznaczają „misję do lodówki” - towarzyszenie ciałom do kostnicy lub obowiązek kontaktu z rodziną, która przychodzi zidentyfikować zwłoki, albo, co najgorsze, każą zawiadamiać krewnych o zgonie bliskiej osoby, tego w jakiejś formie spotka śmierć jeszcze przed końcem roku. Umrze on sam lub ktoś z jego bliskich.

Wobec tak ponurej masakry Ben nie mógł mieć pretensji do Wagnera o uleganie zwietrzałym zabobonom. Wszyscy i tak wiedzieli, że gliniarze to przesądna banda, choć żaden z nich nigdy by się do tego nie przyznał.

Twarz Wagnera nagle zastygła w wyrazie ni to skrzepowania, ni to upokorzenia, jakby właśnie sobie uświadomił, że detektyw zna powody pytania o „misję do lodówki”.

- Niech pan nie robi takiej zakłopotanej miny - powiedział Ben. - Sam bym w tej chwili ścisnął króliczą łapkę, gdybym ją tylko miał przy sobie.

- Tak, proszę pana. Dziękuję, proszę pana.

- Kto ma ciało psa?

- My, proszę pana, Tom i ja.

- Trzeba je przekazać do schroniska Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Weterynarz dyżurny przeprowadzi szybką autopsję na zawartość narkotyków, a potem niech się pozbędą ciała.

Wagner wyszedł. Ben znów przetarł oczy i potrząsnął głową by

usunąć pajęczą sieć, która usiłowała je zalepić. Obserwował, jak inni policjanci w mundurach wskazują rozmaite dowody dwóm osobom z zespołu techników policyjnych z Columbus. Torebka, etykieta, ewidencja. Wszyscy poruszali się niezwykle sprawnie i efektywnie, i to o czymś świadczyło, zważywszy na to, że dysponowali dość żalonym sprzętem.

Postronny obserwator uznałby, że wytrawna jednostka policji kryminalnej działa tu na najwyższych obrotach. To słuszna uwaga, przynajmniej częściowo, ponieważ sprawność wynikała raczej z potrzeby ciągłego ruchu niż z dobrego wykszolenia. Ben podejrzewał, że wszyscy błogosławią drobiazgową pracę, którą należało wykonać na miejscu przestępstwa, bo krew, łuski pocisków, strzępy ludzkiej tkanki, które trzeba było zlokalizować, kredowe obrysy i dojmujący fetor wydzielin z opróżnionych kiszek miały w sobie coś abstrakcyjnego. Każdy element dowodowy stanowił osobną jednostkę i na razie w żaden sposób nie wiązał się z tym, co było wokół ciebie. Dopiero później, gdy powrócisz do bardziej przyjaznego otoczenia, gdy wszystko zostanie zebrane kawałek po kawałku i złączone w całość, pozwolisz sobie uznać realność sytuacji, nawet jeśli nadal w pełni jej nie zaakceptujesz. A na razie torebka, etykieta, ewidencja. Wszyscy przyjmowali z błogosławieństwem te nużące operacyjne bzdury, ponieważ dzięki nim nie musieli myśleć o odrażającej jatce, o makabrycznej prawdzie, jaką mieli przed oczami.

„Była tam okropna strzelanina”.

Ben upił jeszcze jeden łyk kawy, skrzywił się, gdy dotarła do żołądka, i napomniał się, że on i jego partner Bill Emerson dowodzą tu do przybycia kapitana Goldsteina. Musiał...

„Edna nazwała mnie w myślach Cudotwórcą, ale może pan mówić do mnie Pałączydło”.

...być opanowany.

Takie gówno zdarzało się w Nowym Jorku, Los Angeles albo Chicago, ale nie - warto powtórzyć - nie w Cedar Hill, stan Ohio. W 1976 roku Ben ukończył właśnie college, gdy ten dzieciak Leonard urządził masakrę, a kiedy wszyscy doszli do siebie - o ile to można tak nazwać - społeczność uznała, że masakra Leonarda to Wielka Potworność, to Jedyne Straszne Wydarzenie i coś podobnego już więcej się tu nie zdarzy. A jednak się zdarzyło i później nadejdzie czas, gdy szok, ból, złość i konsternacja podniosą swoje paskudne łby, ale teraz były torebka, etykieta, ewidencja, pomiary odległości, robienie szkiców, zbieranie próbek krwi i tkanek, części ubrania i tym razem - Boże dopomóż - zębów, co wcale nie było z tego najgorsze.

Fotograf z laboratorium kryminalistycznego uwijał się przy ostatniej serii zdjęć, pstrykając z jednej, potem z drugiej strony, jak jakiś diaboliczny Ansel Adams. Tymczasem mundurowi poza lokalem usiłovali zapanować nad rosnącym tłumem gapiów i ekip telewizyjnych.

Na zewnątrz, w górze rozległ się głośny, rytmiczny łopot śmigieł policyjnego helikoptera, uderzających synchronicznie z pulsowaniem w skroniach Bena. Znów pobłogosławił się w myślach za to, że zażył środek na migrenę - a co więcej, że na wszelki wypadek zabrał ze sobą dodatkową dawkę. Z megafonów helikoptera dobiegł skrzek, po czym głos wezwał ludzi z tłumu, by pozostali za barierkami.

Do Bena podszedł oficer i poinformował go, że kapitan Goldstein właśnie przesłał wiadomość przez radio. Będzie na miejscu za kilka minut.

Ben spojrział na wydzielony stół na tyłach sali, gdzie zgromadzono wszystkie dotychczasowe dowody. Nikt przy nim wcześniej nie siedział, nikt w jego pobliżu nie zginął, nie widać tu było śladów krwi - Ben kazał spryskać powierzchnie luminołem, żeby się o tym upewnić. Sześć lat temu brał udział w dochodzeniu, w którym tego nie dopilnowano, wskutek czego kompletnie spieprzono śledztwo w sprawie morderstwa. Na szczęście w tamtych czasach nosił jeszcze mundur zwykłego policjanta i dopiero za osiem miesięcy miał zdać egzaminy na detektywa.

Sprawdził dokładnie wszystko na stole, po czym wyjął z kieszeni płaszcza mały dyktafon cyfrowy. Wcisnął guzik „Nagrywanie” i zaczął słownie katalogować obiekty dowodowe. Wolał to narzędzie pracy, ponieważ na głowę biło notatnik i pióro. Gdy ręce się męczą, zaczynasz pisać pośpiesznie i masz skłonność do pomijania pewnych elementów lub używania skrótów, których potem nie da się odcyfrować. Nagrany z natury spis był znacznie dokładniejszy i gwarantował, że nic nie zostanie pominięte - kolor ubrania ofiary, ustawienie samochodu na parkingu, ułożenie marynarki, jak leży widelec w stosunku do pozycji ciała, jak sytuują się wszystkie plamy i kropki krwi.

Zabitych obejrzano, policzono i wyniesiono. Pistolet Tec - 9 wraz z innymi przedmiotami leżał na stole w przezroczystej torebce, a w pobliżu na krześle ułożono trzy portfele i jedną portmonetkę (co odpowiadało czterem brakującym ciałom, przypomniał sobie w duchu Ben, jakby w ogóle mógł o tym zapomnieć).

Przestał nagrywać i teraz wpatrywał się w teca - 9. Drgnął i omal nie upuścił dyktafonu, gdy poczuł dotyk czyjejś ręki na lewym ramieniu. Odwrócił się: z tyłu za nim stał kapitan Al Goldstein.

- Gdzie, do diabła, zawędrował pan myślami? - spytał Goldstein.

- Przyszedł mi do głowy James Huberty.

- Kto?

- Facet, który w osiemdziesiątym czwartym strzelał w McDonalddie w San Ysidro.

- Ten od „będę polował na ludziki”?

- Tak - odparł Ben. - Pamiętam, że widziałem zdjęcie gliniarza klęczącego nad jedną z ofiar, małym chłopcem, który leżał w poprzek roweru. Chodzi o to - i z jakiegoś powodu właśnie to sobie uświadomiłem po tych wszystkich latach - że oprócz ręki dziecka wyciągniętej do przodu, można było zobaczyć rękę innej osoby sięgającej spoza kadru w stronę chłopca. Zastanawiałem się właśnie, czy ta ręka należała do matki chłopca, czy kobieta próbowała zbliżyć się do niego w ostatnich sekundach życia. Nie zdążyła. Ich ręce dzieliła odległość paru centymetrów.

- Pamiętam to zdjęcie - powiedział Goldstein. - Wydaje mi się, że widziałem je w „New York Post”. Gliniarz chyba płakał?

Ben pomasaował sobie obolały kark.

- Nie potępimy go przecież za to, prawda? Goldstein zaproponował mu papierosa.

- Ben, niech pan posłucha, nie chcę być szorstki, ale musi pan tu dać z siebie wszystko. Musi się pan skupić. Proszę mi wierzyć, wiem, jakie to cholernie nieprzyjemne dla pana - telefon od tego drania i to, co pan tutaj zastał. Przykro mi, że nie dotarłem wcześniej, ale burmistrz, szef, dyrektor od bezpieczeństwa i wszyscy z ratusza włącznie z woźnymi wierceili mi dziurę w brzuchu, że nie skierowałem tu, cytuję „dość wykwalifikowanego personelu” koniec cytatu. Szef nie był zachwycony, że bez jego zgody

wezwałem techników kryminalnych z Columbus. Gdy im grzecznie przypomniałem o cięciach budżetowych, krzyknęli gromadnie „No to co?”, a potem siedzieli i patrzyli na mnie tak, jakbym miał wyciągnąć jarmułkę i recytować tajemne słowa z talmudycznej hagady czy coś innego, co pomogłoby mi jak z kapelusza wyciągnąć dodatkową, bezpłatną obsadę wydziału do spraw zabójstw.

- Więc cóż góra nam przekazuje?

- Na najbliższe siedemdziesiąt dwie godziny dostałem wolną rękę i mogę robić to, co uznam za stosowne. Pan i Bill prowadzicie dochodzenie.

- Mogę się założyć, że szef był zachwycony, gdy to usłyszał.

- Przez chwilę myślałem, że będzie oponował, ale burmistrz stanęła po mojej stronie, szeryf Jackson sam zaproponował, że odda cały swój wydział do naszej dyspozycji, nie musiałem nawet prosić, a dyrektor do spraw bezpieczeństwa aż ociekał wazeliną, popierając panią burmistrz, więc przez najbliższe siedemdziesiąt dwie godziny... no, właściwie już sześćdziesiąt osiem... wszystko zależy ode mnie, od pana i Billa. A propos, gdzie on jest?

- Na zapleczu. Przegląda taśmy z monitoringu. Goldstein zrobił zdziwioną minę.

- Ten lokal ma kamery? Ben skinął głową.

- Też mnie to cholernie zaskoczyło, ale ma - nawet trzy. - Wskazał kapitanowi pierwszą z nich i już miał mu pokazać lokalizacje dwu pozostałych, gdy ten go powstrzymał.

Stanął przed Benem i spojrzał na niego poważnymi, szeroko otwartymi oczyma.

- Muszę panu zadać pytanie i nie chcę, żeby mnie pan źle zrozumiał.

Zaczyna się, pomyślał Ben, ale odparł:

- Tak jest.

- Czy da pan sobie radę? Nie chodzi mi o logistykę, koordynację ludzi, robotę papierkową i to całe gówienko. W tym jest pan mistrzem. Mam na myśli... stres. Wiem, jaki dziś dzień. Wie o tym Bill i każdy u nas w wydziale. - Położył mu dłoń na przedramieniu. - Strasznie panu współczuję z powodu tego, co stało się z Cheryl, wiedział pan o tym wtedy, wie pan i teraz. Była wspaniałą osobą i okropnie mi żal, że nie ma jej na tym świecie, a trójka bydlaków, którzy ją zabili, nadal oddycha i chodzi po ziemi. Sytuacja już i tak jest zła, bez dodatkowego obciążenia z powodu tej okropnej rocznicy. Muszę wiedzieć, tu i teraz, czy pan da sobie radę. Jeśli to ma spowodować jakieś... jakieś...

- „Kłopoty emocjonalne” to ulubione określenie mojego byłego psychiatry.

- Nie ułatwia mi pan sprawy.

- Proszę wybaczyć, kapitanie. Czy burmistrz i wszyscy inni obawiają się, że mi odbije z powodu tego, co spotkało moją żonę i dziecko, i pozwolę temu draniowi się wywinąć?

- Powiedzmy, że niektórzy Faceci w Wyprasowanych Garniturach nie są przekonani, że jest pan psychicznie gotowy do kierowania śledztwem, nawet ze wsparciem Billa Emersona i moim.

Ben przełknął ślinę. Jeden raz. Bardzo głośno.

- Czy były jakieś inne propozycje?

- Pojawiły się sugestie, ale nie moje, że albo Bill mógłby sam poprowadzić śledztwo, albo mógłby je przejąć wydział rozbojów i narkotyków ze sporymi szansami na sukces. Wtedy zasugerowałem, żeby do

kierowania sprawą wezwać ludzi z ekipy sprzątajacej ratusz, ponieważ na nich przynajmniej można polegać. To przyjęto jak pierdnięcie na pogrzebie. Dostałem więc zgodę, a w dodatku, mogę wyciągnąć część obsady lub wszystkich z dowolnego wydziału i dać ich panu do pomocy. W ostateczności mam sam przejąć dochodzenie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Tego akurat nie zamierzam robić, ale musi mi pan spojrzeć prosto w oczy i powiedzieć, czy da pan sobie radę. Nie pytam dlatego, żebym miał jakieś wątpliwości, ale przyrzekłem pani burmistrz i szefowi, że o to zapytam. Więc proszę po raz ostatni: czy da pan radę?

Ben opuścił wzrok i pomyślał o swojej pracy. W Cedar Hill sześć na dziesięć zabójstw było efektem domowych awantur, które przybrały zły obrót. A pozostałe cztery zdarzały się, gdy ktoś za dużo wypił, napalił się lub nawalił i postanowił dać komuś nauczkę. Ben i Bill Emerson nie mieli jeszcze do czynienia z przypadkiem morderstwa, gdy ofiara i zabójca zupełnie się nie znali. W ubiegłym roku odnotowano rekordową liczbę zabójstw - szesnaście. Przestępców aresztowano i skazano, z wyjątkiem jednego - był to diler narkotyków, który miał bazę w Hrabstwie Trumien. Strzelił sobie w głowę, zanim policja po niego przyszła.

Ben spojrzał na Goldsteina.

- Proszę pana, przez ponad pięć lat Bill Emerson i ja stanowiliśmy całą obsadę wydziału zabójstw i przez cały ten czas ani razu, ani razu! nie schrzaniłem śledztwa z powodu kłopotów emocjonalnych. Przyznaję, że przeżyłem poważne załamanie po śmierci Cheryl, ale z całym szacunkiem, kto, do diabła, by tego tak nie przeżywał? Odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: tak. Czuję, że mogę dobrze pokierować tym śledztwem i oddzielić je w swojej głowie od tego, co spotkało moją żonę i syna, bez względu na

to, jaki dzień dziś wypada.

Goldstein uśmiechnął się cierpko i energicznie skinął głową.

- Dobra odpowiedź. Bardzo mi się podoba.

Kapitan Albert Goldstein znany był z tego, że nie rządził żelazną pięścią. Jego detektywi - według krytyków - byli nieco za szybcy i zbyt luźno traktowali stosowne procedury, gdy wymagały tego względy praktyczne, jednak ich umiejętność skrupulatnego przestrzegania procedur, gdy tak jak teraz, było to absolutnie konieczne, jakoś umykała uwadze, bo góra wolała mieć powody do narzekania na „Kapitana Super - Żyda”. Gdyby nie imponujące wyniki, jakie stale uzyskiwały zespoły Goldsteina, jeśli chodzi o liczbę wykrytych przestępstw, kapitan już dawno zostałby odesłany do patrolowania ulic. Faceci w Garniturach niezbyt by się tym przejęli - nadal wyznawali poglądy antysemityczne (oczywiście nigdy oficjalnie - jawny szowinizm nie leżał w zwyczaju ludzi ze środkowego Ohio). Należało jednak brać pod uwagę jeden argument, którego nawet najbardziej zaciekli przeciwnicy Ala Goldsteina nie mogli podważyć: podlegli mu oficerowie i detektywi byli zagorzale, namiętne - a w pewnych wypadkach niemal fanatycznie - lojalni w stosunku do niego.

Ben raz jeszcze pomyślał, jak wielkie szczęście ma komenda policji w Cedar Hill, zatrudniając człowieka o takich cechach.

Goldstein zapalił papierosa i już chciał wrzucić zużytą zapałkę do popielniczki na sąsiednim stole.

- Proszę wybaczyć - powstrzymał go Ben - ale sam pan wie najlepiej... takich rzeczy nie robimy na miejscu zbrodni.

- Cholera, racja. - Kapitan wrzucił zapałkę do kieszonkowej popielniczki z wieczkiem, którą Ben wyjął z zakamarków swego płaszcza.

Kapitan zaciągnął się głęboko i zdusił papierosa. - Dziwna rzecz, ale nie służy mi, jak za dużo śpię.

- A więc mamy siedemdziesiąt dwie godziny?

- Uważam, że możemy liczyć tylko na czterdzieści osiem. Szef nie lubi ze mną przegrywać, a obstawiam, że burmistrz mu trochę ulegnie, by uniknąć wzajemnych pretensji. Przyjmijmy czterdzieści osiem. - Pokręcił głową. - Nie ma to jak funkcjonować w warunkach całkowitego zaufania i wsparcia ze strony zwierzchników. To potrafi zdziałać cuda dla błogostanu jelita grubego.

Rozbłysk flesza aparatu fotograficznego przy wejściu przypomniał im dobitnie o obecności reporterów, którzy od czterech godzin czatowali przed knajpą, filmując dom i odholowywane samochody ofiar, oraz próbując uzyskać wywiad od każdego, kto wchodził do lokalu lub z niego wychodził. Teraz zaś niektóre ekipy telewizyjne nadawały na żywo z miejsca masakry dla rannych ptaszków, jedzących śniadanie. Nikomu nie pozwalano zbliżyć się do drzwi frontowych na mniej niż piętnaście metrów, a nowo przybyli policjanci pilnowali, żeby nie przekraczano tej granicy.

Goldstein zerknął na gęstniejący tłum gapiów.

- Mówiono mi coś o psie.

- Miał w pysku karteczkę. Podeszedł do pierwszych dwóch policjantów, którzy się tu zjawili i upuścił ją przed nimi.

- Która jednostka?

- Sanderson i Wagner. Gdy tylko pozbył się notatki, rzucił się Sandersonowi do gardła i musieli go zastrzelić. Odjechali jakieś dziesięć minut temu. Ciało psa, zapakowane do torby, włożyli do bagażnika swo-

jego wozu.

- Chcę zobaczyć karteczkę.

Ben podał ją Goldsteinowi. Była szczelnie zapakowana w przezroczystą plastikową torebkę na dowody.

Przez kilka sekund kapitan szukał czegoś w kieszeniach płaszcza, potem chrząknął poirytowany.

- Cholera! Zostawiłem okulary w samochodzie. - Oddał torebkę Benowi. - Mógłby pan?

- Bardzo się to panu spodoba - stwierdził Ben i zaczął czytać: „Hannibal przekroczył Alpy z jedną z największych armii w historii. Przybył pod zewnętrzne bramy Rzymu i całe miasto mogło się znaleźć w jego rękach. A jednak zatrzymał się, odwrócił i wycofał. Co sprawiło, że nie wszedł do Rzymu?”

- To tyle?

- Nie. Na drugiej stronie są słowa piosenki *Don 't Get Around Much Anymore* (Już tak nie imprezuję) i podpis „Pałaczydło”. A pan mnie jeszcze nie spytał o ciała.

- Ile ich jest?

- To zależy. Zabójca znalazł czas na to, żeby na każdej dorosłej ofierze położyć jakiś przedmiot identyfikujący. Wszystkie dowody tożsamości się zgadzają. Było tu dziewięć ciał: pięciu mężczyzn, cztery kobiety i niemowlę.

- Dobry Boże!

- Tylko że nie ma ciał, które by pasowały do tego. - Ben wskazał na portfele i portmonetkę. - W każdej z tych rzeczy jest jakaś legitymacja, więc wiemy, do kogo powinny należeć, ale... na razie nie znaleziono ciał.

Bill i ja kazaliśmy policjantom przeszukać okolicę trzykrotnie, za każdym razem zwiększając promień poszukiwań. Na razie nic nie znaleźli. Tak więc ogólna liczba ofiar to albo dziewięć, albo trzynaście, zakładając, że te cztery brakujące osoby nie żyją.

- A pan postanowił...

- Rozesłać ich rysopisy - na wypadek, gdyby żyły. Goldstein włożył do ust nowego papierosa, ale go nie zapalił.

- Myślę, że ma pan rację, prawdopodobnie nie żyją. Wystarczy spojrzeć na to miejsce. Jak mogliby przeżyć?

Ben poczuł, że ręce zaczynają mu drżeć. Zaczerpnął głęboko powietrza i uspokoił się.

- Nikt nie został trafiony w głowę. Ani jedna osoba. Zabójca chodził sobie po sali i strzelał z teca - 9, nawet zatrzymał się, żeby go przeładować, i dalej strzelał, żeby mieć pewność, że wszyscy zostali zabici, ale ani jedna osoba nie zarobiła kulki w głowę... Ba, nawet nie została zadraśnięta w głowę, jeśli chodzi o ścisłość. Panował kompletny chaos, ludzie próbowali uciekać, padali na podłogę, pełzali, a on strzelał na oślep i mimo to nikt nie dostał powyżej środka klatki piersiowej.

- Uważa pan, że celowo tak zrobił. - To nie było pytanie. Ben skinął głową.

- Tak musiało być. Starał się nie uszkodzić żadnej twarzy. Chciał, żebyśmy mogli natychmiast zidentyfikować ciała.

- A linie papilarne?

- Zostawił na broni i obu magazynkach oraz na każdej łusce. Zabrakło mi folii daktyloskopijnej i musiałem prosić o nią chłopaków z Columbus. Mamy kciuk, palec wskazujący i środkowy z notatki, a na

szybie drzwi wejściowych zostawił dwa ślady całych dłoni... całych dłoni, na litość boską!

Goldstein pokręcił głową.

- Niech pan da spokój, na tej szybie jest na pewno kilkadziesiąt śladów. Mogę się założyć, że każdy, kto tu wchodzi, otwiera drzwi w ten spo...

- Wytarł szybę do czysta po obu stronach, a potem przycisnął lewą dłoń po wewnętrznej stronie, a prawą po zewnętrznej.

Goldstein przetarł oczy.

- Albo jest skończonym idiotą, albo robi sobie z nas jaja, bo uważa, że może. Jest pan pewien, że te odciski nie należą do jednego z brakujących ciał... to znaczy tych brakujących ludzi?

- Nie w stu procentach. Ale mam pewność, że nie należą do żadnego z ciał, jakie znaleźliśmy w środku. Metodą eliminacji ustalili to ekspert medyczny i technicy kryminalni. Wzięliśmy odciski lewego i prawego kciuka od wszystkich ofiar i wizualnie porównaliśmy je z odciskami na drzwiach. Wszystkie ofiary miały na kciukach wyraźne wiry z dwiema deltami, dość często spotykane. Natomiast linie papilarne kciuków z drzwi należą do wyjątkowo rzadkiego typu wirów skomplikowanych. W dodatku każdy miał trzy delty. Nie pasują do odcisków żadnej z ofiar, a my wszyscy doskonale wiemy, że nie należy dotykać szyb. Więc jeśli zakładamy, że cztery brakujące osoby nie żyją, odciski muszą należeć do zabójcy, chyba że umiał sprawić, by trup wstał, zrobił ślad na szybie, a potem wyszedł o własnych siłach.

- Są aż tak wyraźne?

- Tak.

- Wysłał już pan jakieś odbitki do naszego laboratorium? Ben skinął głową.

- Kiedy wykorzystałem już wszystkie folie daktyloskopijne od techników kryminalistycznych, posłałem paru naszych policjantów po więcej folii i równocześnie przekazałem zestaw odbitek. Uważam, że to na razie da zajęcie Stanowi.

- O której to było?

- Za kwadrans piąta. Zadzwoiłem do Stana, wyrwałem go z łóżka i powiedziałem, żeby wiozł swoje dupsko do laboratorium. Odparł, że będzie tam i odbierze materiał od policjantów, a potem posłał mi wiązanekę.

- To czaruś.

Ben znów upił trochę zimnej już kawy, przesunął się na środek neutralnego obszaru i w końcu zapalił papierosa, którym poczęstował go Goldstein.

- Nie powinno pójść tak łatwo. Goldstein też zapalił.

- To mi przypomina starą piosenkę Gordona Lightfoota. Ben wpatrywał się w niego.

- Obawiam się, że jej nie znam.

- Za dużo wskazówek w tym pokoju.

- To dosyć trafny opis.

Zamilkli na chwilę, obserwując, jak dwaj umundurowani policjanci siłą odsuwają kamerzystę sprzed knajpy. Ani operator, ani towarzyszący mu dziennikarz nie wyglądali na szczególnie zadowolonych. Musiały im wystarczyć ujęcia rosnącego tłumy gapiów.

Ben przetarł oczy i westchnął.

- Nie wrócił pan przypadkiem myślami do San Ysidro? - spytał

Goldstein.

Ben zamrugał i szybko pokręcił głową.

- Nie... nie. Tylko... Przepraszam, to była długa noc. - Dopił kawę. Gdy się znów odezwał, jego głos brzmiał słabo i głucho, a słowa wypowiadał szybko z grobową intonacją. - Każdej ofierze wyłupał oczy. Przez prawie trzy godziny szukałem ich wraz z pięcioma policjantami, ale niczego nie znaleźliśmy. W puste oczodoły wepchnął monety, a potem odgiął powieki do góry. Wyobrażam sobie, jak będą wyglądały zdjęcia. Powinien pan to zobaczyć. Każde ciało z szerokimi srebrnymi oczyma wpatrzonymi w sufit, odbijającymi światło. Nawet jeśli dożyję setki, nie wyrzucę tego obrazu ze swojej głowy.

- Założę się, że cię w tym przebiję - usłyszeli głos z tyłu. Odwrócili się i zobaczyli partnera Bena, Billa Emersona, który stał w drzwiach do ciasnego biura na zapleczu.

- Nie byłem świadom, że ma tu miejsce jakieś współzawodnictwo - stwierdził Ben.

- Lepiej nie wymieniamy wszystkich rzeczy, których nie jesteś świadom, zwłaszcza po wypiciu tego szlamu, który ma uchodzić za kawę - odparł Emerson.

Bill Emerson miał nieco ponad metr siedemdziesiąt, gęste siwe włosy, smutne niebieskie oczy oraz szerokie, siwe wąsy. Od stóp do głów prezentował się wyjątkowo okazale i łatwo go można było wziąć za zapaśnika, póki się nie spojrzało na jego dłonie. W porównaniu z resztą ciała, dłonie Billa Emersona były niezwykle delikatne - skóra bezwłosa i gładka, a palce długie, szczupłe i subtelne - kobiece. Było to powodem niekończących się docinków ze strony kolegów z komendy. Nie brał ich

sobie zbyt do serca i niekiedy pracował dla agencji z Columbus, która wykorzystywała jego dłonie w reklamach dla czasopism i telewizji, a zarobione pieniądze przekazywał na fundusz pomocy charytatywnej przy komendzie policji w Cedar Hill. Detektyw Dłoń Modela - jak go nazywano - służył w policji od ponad dwudziestu lat. Znany był z dokładności, spostrzegawczości oraz makabrycznego niekiedy poczucia humoru. Demonstrował je również tej nocy, co pomagało wszystkim opanować nerwy i emocje.

Ben sądził, że to właśnie Bill Emerson najbardziej przeżywa tę zbrodnię. Bill i jego żona Eunice stracili siedmioletniego siostrzeńca i trzyletnią siostrzenicę podczas masakry w 1976 roku, kiedy to Andy Leonard zabił prawie całą swoją rodzinę, po czym pojechał do Parku Dawnych Indian i otworzył ogień do ludzi, którzy zebrali się tam, żeby podziwiać pokaz ogni sztucznych z okazji Dnia Niepodległości. Jeśli ktoś nie miał ochoty oglądać podobnej masakry po raz drugi w życiu, był to z pewnością Bill Emerson. Teraz jednak jego wątpliwe niekiedy poczucie humoru pomagało wszystkim jakoś się trzymać.

Emerson czekał na jakąś reakcję z ich strony, wreszcie westchnął i pokręcił głową.

- Szkoda, że nie widzicie swoich min. Jo - Jo, Chłopiec o Twarzy Psa wyglądał bardziej zwawo.

- Panu też życzę dobrego dnia - powiedział Goldstein.

- Nie spodziewam się, kapitanie, żeby pan przywiózł przyzwoitą kawę.

- Przywiozłem, ale Jo - Jo już wszystko wypił. Emerson skinął głową.

- Zasłużyłem na to.

- Owszem.

Emerson, stanąwszy z boku, gestem zaprosił Bena i Goldsteina na zaplecze. Przeszli przez kuchnię do wahadłowych drzwi w pobliżu chłodni, a potem na lewo - do biura kierownika. Umundurowany funkcjonariusz siedział przy metalowym biurku i wpatrywał się w trzy małe monitory, które w tej chwili śnieżyły.

- Wszystko przygotowane? - spytał Emerson.

- Tak jest - odparł policjant. Miał identyfikator z nazwiskiem „B. Cassell”.

Emerson dał znak Cassellowi, żeby zwolnił krzesło.

- Zmyj się na chwilę, dobrze? A w zasadzie - sięgnął do kieszeni i wyjął banknot dziesięciodolarowy - bardzo by się to przyczyniło do postępów śledztwa, gdybyś wziął te pieniądze, podjechał do Dunkin'

Donuts i przywiózł świeżą kawę i pączki. Pączki dla wszystkich? Nieważne, ja płacę, więc będą pączki. - Wcisnął banknot Cassellowi do ręki. - Jeśli zapłacisz więcej, zwrócę ci po powrocie. Sobie też kup. To prawda, jestem cudownym człowiekiem, nie musicie śpiewać hymnów pochwalnych. Jeszcze tu stoisz?

Cassell pokręcił głową posłał wszystkim znużony, ale chyba szczery uśmiech i wyszedł z biura, zamykając za sobą drzwi.

Goldstein rozłożył składane metalowe krzeselko i usadowił się obok Emersona. Ben zajął miejsce na biurku za nimi i patrzył z góry na monitory. Za ekranami stała tandetna szafka z płyty wiórowej, z otwartymi teraz drzwiczkami odsłaniającymi trzy magnetowidy. Bill Emerson wziął pilota do środkowego monitora.

- To zapis z kamery, która jest za lustrem nad wejściem. Z tamtego miejsca widać prawie całą salę dla klientów. Nagranie pokazuje chwilę, gdy facet właśnie wszedł o dziesiątej czterdzieści pięć. - Emerson nacisnął „Play”.

Goldstein wpatrywał się w obrazy, a potem mrużąc oczy, pochylił się do przodu.

- Cholera, to na nic. Bez okularów twarz tego faceta wygląda dla mnie jak plama.

- To nie pana wina, kapitanie. - Emerson zatrzymał taśmę. - Proszę się odchylić i znowu popatrzeć.

Goldstein tak zrobił.

- Nadal to wygląda... zaraz, nie. Kelnerka, kucharz za okienkiem, ta para w boksie po lewej... ich twarze widzę wyraźnie. Ale zabójca, on... dlaczego...?

- Proszę spojrzeć na jego dłonie - powiedział Ben. - Wyglądają tak samo: jasne srebrzyste smugi. Jakby robiono fotografię, a on się w tym momencie poruszył. Cholerna plama.

Goldstein spojrział na Emersona.

- Według pana jak on to zrobił? Miał specjalną maskę i rękawiczki?

- Tak przypuszczałem. - Emerson przewinął taśmę od początku i wskazał na kelnerkę. - Ale obserwujcie ją. Widzicie, w jaki sposób na niego patrzy? Tak, jest piekielnie zmęczona, ale uśmiech ma dość miły.

- To należy do jej obowiązków: być miłą dla klientów.

- Tak, ale nie uważa pan, że zachowywałaby się trochę nerwowo, gdyby facet miał na sobie maskę i rękawiczki? Późna godzina, a ona była jedyną kelnerką na tej zmianie.

- Pozostali goście nie zwracają na niego najmniejszej uwagi - zauważył Ben. - Noc, kiepska pogoda, jakiś facet pojawia się na... - Nie dokończył.

Goldstein spojrział na niego.

- Co takiego?

- Kiedyś chodziłem z dziewczyną, która pracowała przy spektaklach Cedar Hill Players... to było parę lat wcześniej, nim poznałem Cheryl. Nieważne, zatrzymaj taśmę.

Emerson zastopował wideo.

- Chyba się domyślam. Uważasz, że facet mógł mieć jakiś specjalny makijaż.

Ben skinął głową.

- Taa. Beth Boorman, ta dziewczyna, z którą chodziłem, namówiła mnie, żebym jej pomógł w wystawieniu musicalu *Pippin*. Pamiętam, że mieszała specjalną szminkę aktorską z ciastem naleśnikowym w proszku. Człowiek wyglądał całkiem normalnie w zwykłym, teatralnym świetle, ale kiedy włączyli reflektor z kolorowym filtrem, makijaż naprawdę fosforyzował jak neon.

- Ale w restauracji nie ma żadnych specjalnych lamp - zauważył Goldstein.

- To nie ma znaczenia - odparł Ben. - Kiedy po premierze aktorzy zebrali się do wspólnego zdjęcia, nadal w kostiumach i makijażu, ci, którzy byli tak szczególnie pomalowani, bardzo kiepsko wyszli na fotografii robionej w zwykłym świetle. Wyglądali jak... właśnie jak to.

- Wskazał połyskującą plamę w miejscu, gdzie powinna być twarz zabójcy.

Goldstein popatrzył na monitor, później na Bena i Emersona.

- Warto sprawdzić, czy w Columbus któryś ze sklepów z materiałami teatralnymi nie sprzedawał w ostatnich dniach tej szminki.

- Dobry pomysł - powiedział Emerson do Bena. - A teraz może zaproponujecie jakieś hipotezy w związku z następną taśmą. - Zgasił środkowy monitor i przełączył się na ten po prawej stronie, używając drugiego pilota. - Ta kamera jest za lustrem nad okienkiem do wydawania posiłków. To jedyna kamera, która równocześnie rejestruje dźwięk.

- Pogłośnił odbiór. - Posłuchajcie tego.

- „Straszna dziś pogoda” - powiedziała kelnerka. - „Ma się wrażenie, że burza przyszła znikąd”.

Głowa zabójcy wykonała rozmazany gest. Kelnerka spytała:

- „Jak, przepraszam?”

Srebrna plama głowy zabójcy zbliżyła się nieco do kelnerki. Ta pokręciła głową.

- „Raczej nie słyszałam, ale to interesujące powiedzenie. Zapamiętam je”.

- Niech pan zatrzyma - poprosił Goldstein i Emerson zatrzymał taśmę.

- Proszę przewinąć.

Emerson puścił taśmę od początku.

- „Straszna dziś pogoda” - powiedziała kelnerka. - „Ma się wrażenie, że burza przyszła znikąd”.

Głowa zabójcy wykonała rozmazany gest. Kelnerka spytała:

- „Jak, przepraszam?”

Srebrna plama głowy zabójcy zbliżyła się nieco do kelnerki. Ta po-

kręciła głową.

- „Raczej nie słyszałam, ale to interesujące powiedzenie. Zapamiętam je”.

- Proszę zatrzymać. On nic nie powiedział - stwierdził Goldstein.

- Owszem, powiedział. - Ben podczas drugiego odtworzenia nagrania dokładnie mu się przyglądał i przysłuchiwał. - Spytała go: „Jak, przepraszam?” w odpowiedzi na coś, co przed chwilą od niego usłyszała, a potem on zadał pytanie, a ona na to odpowiedziała: „Raczej nie słyszałam”.

Goldstein roztarł sobie kark.

- Przynajmniej mój słuch mnie nie zawodzi, jak się obawiałem. Jej głos brzmi wyraźnie jak dzwon. Ale dlaczego nie nagrał się jego głos? Oboje stali w tym samym miejscu.

Emerson spojrzał na Bena, który wzruszył ramionami.

- Nic mi nie przychodzi do głowy.

- Twoja hipoteza o makijażu może być nadal słuszna - zauważył Emerson - ale jak wyjaśnić sprawę dźwięku? Nie wyobrażam sobie, żeby w jakiś sposób facet mógł wymazać swój głos albo zmienić tonację do wysokości czy częstotliwości, która nie daje się nagrać. A przecież w tle słysząc innych gości, a nawet metalowy przedmiot, który upadł kucharzowi na podłogę. Rozmowa między nimi dwojgiem trwa jeszcze z pół minuty, ale nagrał się tylko głos kelnerki. Gdyby ktoś zabrał stąd te taśmy do laboratorium i je obrabiał, to jasne, że mógłby uzyskać setki efektów, ale ten facet tu nie wrócił po strzelaninie i nic nie kombinował z taśmami. Nawet nie strzelił do kamer, zanim nie wymienił pierwszego magazynku.

Goldstein rozłożył ręce.

- Czy ma pan jakieś koncepcje, Bill?

- Myślałem, że mam... a potem zobaczyłem to. Obserwowali, jak zabójca migotliwą ręką dotyka policzka kelnerki i gdy tylko dłoń zetknęła się z jej skórą, twarz kobiety również stała się jasną, srebrzystą, rozmazaną plamą.

Goldstein poprosił Emersona o wyłączenie wszystkiego i przez kilka chwil siedzieli w milczeniu.

Kapitan zdusił papierosa.

- Czy ostatnia kamera pokazuje coś innego? Emerson pokręcił głową.

- Nie, to samo pod innym kątem.

- Nawet gdyby miał jakiś specjalny makijaż, na twarz kelnerki przeniosłaby się tylko odrobina, w miejscu gdzie jej dotknął - zauważył Goldstein. - To by się nie... rozprzestrzeniło w ten sposób.

Ben potrząsnął głową.

- Nie, na pewno nie.

Emerson odchylił się w krześle, krzyżując ręce na piersiach.

- Czy mogę teraz oficjalnie włączyć do śledztwa określenie „nie-samowite”?

- Nie, nie może pan - zaprotestował Goldstein. - Chyba że pan do czegoś zmierza. Czy pan do czegoś zmierza? Proszę przyznać, że pan do czegoś zmierza.

- Zmierzam do czegoś. Ben westchnął.

- A mianowicie?

Emerson włożył jednorazowe lateksowe rękawiczki i wysunął wszystkie trzy taśmy, każdą z nich zamknął szczelnie w przezroczystej

torebce na dowody i zaczął je opisywać.

- Powiedział pan Benowi, że Faceci w Garniturach dali nam siedemdziesiąt dwie godziny na przedstawienie czegoś, prawda?

- Tak. A pan skąd o tym wie? Emerson wskazał monitory.

- W ten sam sposób dowiedziałem się, że siedemdziesiąt dwie zostaną prawdopodobnie zredukowane do czterdziestu ośmiu. Podśluchałem. To mój sposób, by być upierdliwym.

Ben omal się nie roześmiał. Omal.

- I co dalej? - spytał Goldstein.

Emerson rzucił na stół pierwszą zaetykietowaną torebkę.

- Te taśmy mogą być tym „czymś”. Tylko na razie tę informację zachowamy dla siebie. My trzej i Cassell. Chłopaki z Columbus jeszcze o nich nie wiedzą i nie muszą wiedzieć. Poczekamy i na kilka godzin przed tym czterdziestoosmiogodzinnym terminem położymy to przed panią burmistrz i szefem... i to tylko wtedy, jeśli w naszych tradycyjnych rolach półgłówków z *Akademii Policynnej* niczego wcześniej nie wymyślimy.

Po chwili milczenia Goldstein powiedział cicho, lecz zdecydowanie:

- Pan wie. Bill, że mógłbym pana powiesić za gacie za samą sugestię czegoś takiego.

~ Tak jest, wiem. Ale chyba interesuje pana, dlaczego wysunąłem taką propozycję?

Goldstein złożył ręce na piersiach.

- Zamieniani się w słuch. Emerson uniósł drugą torebkę z taśmą.

- Bo oto co się stanie, jeśli od razu powiemy Facetom w Garniturach o tych taśmach. Przede wszystkim zwołają zebranie, żeby wszyscy mogli je zobaczyć. Cała nasza czwórka będzie musiała przy tym być. Wiemy

równie dobrze jak pan, kapitanie, jak bardzo władze miasta palą się do działania. Zanim zacznie się takie zebranie, miną przynajmniej dwie, trzy godziny.

- Czyli dwie do trzech godzin wyjętych ze śledztwa - wtrącił Ben.

- Proszę, tylko jeden spiskowiec naraz - rzekł Goldstein. Emerson położył na biurku trzecią taśmę.

- Ale on ma rację, kapitanie. Wykreślamy trzy godziny do czasu zebrania, a potem nerwowo patrzymy na zegar, gdy Faceci w Garniturach drapią się po głowach i tyłkach, i w końcu zaczynają nas wszystkich indywidualnie pytać o zdanie. Będziemy musieli powtórzyć swoje dość zawodne teorie jeszcze raz, a potem prawdopodobnie po raz kolejny. Zanim Faceci w Garniturach dojdą do wniosku, że taśmy trzeba poddać analizie, już na samym początku jesteśmy do tyłu pięć do sześciu godzin i to tylko pod warunkiem, że zgodzą się, by analizę zrobiono tu, a nie w laboratorium w Columbus. Technicy spędzą kolejne pięć do ośmiu godzin na kopiowaniu taśm, powiększaniu klitek, przegrywaniu ścieżki dźwiękowej i przepuszczaniu wszystkiego przez sprzęt analizujący. Potem zaczną skrobać się po głowach i tyłkach i wezwą przynajmniej jednego z nas, żeby powtórzył te same kulawe hipotezy, które wcale nie są nieprzemakalne. Wreszcie taśmy zostaną odesłane do Columbus, ponieważ tamtejsze laboratorium nie leży na oddziale intensywnej terapii, cierpiąc na brak funduszy, i ma najnowszy sprzęt do dobrej roboty, a ta dobra robota zacznie się od powtórki dokładnie tego samego, co zrobili nasi technicy. Przepuszczą wszystko przez filtry optyczne i syntetyzery głosu najpierw z połową prędkości, potem z normalną prędkością, potem z podwójną, i gdy my będziemy oglądać swoje plany emerytalne i

zastanawiać się, czy czas na kolejne badanie prostaty, oni przeprowadzą analizy spektrograficzne i prawdopodobnie przepuszczą taśmy, klatka po klatce, przez swój szpanerski cyfrowy procesor analizy obrazu, i wcale nie dlatego, że to konieczne. Zrobią to, żeby nam pokazać, że mogą to zrobić, bo przecież my jesteśmy komendą w Cedar Hill, dłubiemy w zębach cążkami do paznokci, czyścimy karabiny słoniną i wpatrujemy się w kurze podroby, żeby wywróżyć przełom w śledztwie. Patrząc dalej w naszą świetlaną przyszłość - gdy ksiądz udzieli jednemu z nas ostatniego namaszczenia, a dwóch pozostałych załadują w domu starców do furgonetki, żeby mogli pojechać na pogrzeb, laboratorium z Columbus prześle Facetom w Garniturach rachunek opiewający na sumę większą niż nasze wspólne roczne dochody, wraz z raportem, w którym będzie najwyżej to, co my trzej wiemy już w tej chwili. Bądźmy miłosierni... niech to wszystko zajmie laboratorium w Columbus trzydzieści godzin od otrzymania taśm do wysłania rachunku i raportu. Władze przeczytają raport, zobaczą rachunek i zesrają się w gacie, a cały ten czas odejmą od wyznaczonego nam terminu. Ale jeśli na razie nie wspomnimy o tych taśmach, możemy je wykorzystać, żeby zyskać na czasie, gdy termin będzie się zbliżał. Ciągle chce mnie pan wieszać za gacie za moją sugestię?

- Tak - odparł Goldstein. - Tylko że ja będę wisiał tuż obok. Czy ma pan zaufanie do tego policjanta, który tu przedtem był... jak on się nazywa?

- Cassell - powiedział Emerson. - Tak, mam. Dochowa tajemnicy. Prawdę mówiąc, już go o to prosiłem.

Goldstein skinął głową.

- A ja mu o tym przypomnę, gdy wróci z kawą i pączkami. - Kapitan szczypał się palcami u nasady nosa. - Powiedzmy sobie jasno. Prosi mnie pan, żebym zaakceptował kłamstwo, które może nas kosztować utratę pracy i emerytur, wie pan o tym?

- Nie - rzekł Emerson. - Proszę pana, by pan zaakceptował czasowe zrekonstruowanie faktów w celu stworzenia bardziej użytecznej prawdy.

- Będę o tym pamiętał, gdy postawią nas w stan oskarżenia. - Goldstein wziął kasety. - Macie, chłopcy, dobry pomysł. Jeśli się nie uda, wszyscy pójdziemy na dno.

- To bardzo męskie stwierdzenie, proszę pana.

- No, nie darmo przezywają mnie Kapitan Super - Żyd. - Goldstein spojrzał na Bena. - Wychodzę. Spotkamy się, gdy wy dwaj tu skończycie.

Emerson wydawał się zdziwiony.

- Skąd pan wiedział...?

- Dysponuję mocą, jakiej wy, zwykli śmiertelnicy nie możecie pojąć. Nie jestem taki tępy, Bill. - I wyszedł.

Ben spojrzał na swojego partnera.

- O co tu chodzi?

- O to, że nasz dobry kapitan jest bardziej spostrzegawczy nawet ode mnie, najbardziej spostrzegawczy z nas, to trzeba mu przyznać. Nie staraj się szukać dziur w tym rozumowaniu, bo znów opanuje cię migrena, z którą - choć myślisz, że tego nie zauważyłem - walczyłeś całą noc.

- Ta składnia naprawdę robi wrażenie.

- Dziękuję. - Emerson patrzył uważnie na Bena. - W zasadzie nie mieliśmy okazji tu porozmawiać.

Ben poklepał swoje kieszenie w poszukiwaniu papierosa, ale zaraz

sobie przypomniał, że to Goldstein miał paczkę, nie on.

- Ostatnie osiem godzin nie obfitowało w okazje do pogaduszek.

- Spytać partnera, jak się miewa tego akurat dnia, to według mnie nie jest pogaduszką. Dobrze się czujesz?

- Kapitan też się nad tym zastanawiał.

- No i?

- Do diabła, nie. Nie czuję się dobrze! Dokładnie trzy lata temu moja żona została zastrzelona przez jakichś pomyleńców, którzy zwiali, zabierając sto czterdzieści trzy dolary. Czuję się podle. Ale to nie będzie miało wpływu na prowadzenie śledztwa, rozumiesz? - Ben był zszokowany tym, jak donośnie brzmiał jego głos w ciasnym pomieszczeniu biura.

- A teraz czujesz się lepiej? Domyślam się, że tak. Bo przecież wrzeszczenie na mnie tylko dlatego, że się tobą przejmuję, poprawia samopoczucie, nieprawdaż?

Ben wystawił środkowy palec.

- Elokwentny jak zawsze.

- Przepraszam, Bill.

- Nie pytam cię, by sprawdzić, czy będę musiał przygotować plan B, na wypadek, gdybyś się załamał. Pytam, bo jesteś moim partnerem i przyjacielem, a taka sprawa jak tu, to ostatnia rzecz, jaką powinieneś się właśnie dziś zajmować.

Ben uśmiechnął się do Emersona.

- A ty, seksowne rączki modela? Zamierzasz tu siedzieć i przekonywać mnie, że masz się świetnie, a ta sprawa nie przywołuje żadnych wspo...

Emerson uniósł dłonie.

- Tylko żadnych nazwisk na „L”, Ben. Nie teraz. I nie, nie zamierzam cię przekonywać, ponieważ to byłaby bzdura i obaj o tym wiemy. Wiem, że Eunice to wyprowadzi z równowagi, a siostra... prawdopodobnie wpadnie w histerię, gdy usłyszy o tym w dzienniku. - Pokręcił głową. - Czuję się jak idiota. Przyznaję, zaczynałem już myśleć, że coś takiego nie może się wydarzyć w tym samym miejscu po raz drugi. Już takie moje szczęście, że i wtedy, i teraz musiałem być przy sprzątanii... a ty przynajmniej masz satysfakcję, że jednak czasami udaje ci się oderwać mnie od tych myśli. Nawiasem mówiąc, ty i Eunice jesteście jedynymi ludźmi, którzy to potrafią.

Ben wzruszył ramionami.

- To wrodzony dar.

- Zamknij się i uważaj, bo mamy przed sobą parę podłych dni i chcę to powiedzieć teraz. Jeśli dziś lub jutro, lub pojutrze, lub jakiegoś innego dnia... wiesz, o co mi chodzi... zechcesz pogadać ze mną o tym, co się dzieje w twojej duszy, oderwę się od bieżącej pracy i wysłucham cię. Obaj wiemy, że bez względu na postępy, jakich dokonamy w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin, gubernator zmusi burmistrza, by wezwała federalnych, ponieważ mamy rok wyborów, a policji z Cedar Hill i tak nikt nie szanuje. Jestem twoim przyjacielem i zawsze możesz na mnie liczyć. Brakuje mi Cheryl jak diabli, a Eunice czuje to samo.

- Wiem - szepnął Ben. - Dziękuję wam.

- Dobrze, w takim razie zostaw mnie tu, żebyś mógł naoliwić tryby naszej świeżo zawiązanej konspiracji, i idź do kapitana. Zjawię się za kwadrans.

Ben odchrząknął.

- Posłuchaj, Bill...

- Co tu jeszcze robisz? Powinieneś chyba czekać na dostawę cennych paczków i kawy.

Ben tylko pokręcił głową, ponownie pokazał partnerowi pięść z wyprostowanym środkowym palcem i wyszedł z biura. W sali restauracyjnej Goldstein odbierał od Cassella tacę z kubkami kawy i torebkę paczków, wymienili kilka sensownych zdań, osiągając szybko zgodę. Cassell cofnął się o krok i zsalutował kapitanowi, na co Goldstein również odpowiedział krótkim salutem, po czym uściśnął policjantowi dłoń i odesłał go przed budynek, do pomocy w opanowaniu tłumu. Goldstein zauważył Bena i, zapominając o kawie i paczkach, podszedł do niego.

- Posterunkowy Cassell chyba zrozumiał - stwierdził kapitan.

Ben już chciał mu odpowiedzieć, ale zauważył, że choć tłum odsunięto nieco dalej, kilku dziennikarzom udało się dostać w pobliże drzwi i okien.

- Niech to! Dlaczego ktoś nie... Goldstein położył mu dłoń na ramieniu.

- Niech pan się tym nie przejmuj. Skończę robotę tutaj i porozmawiam z dziennikarzami. Proszę mi dać swój dyktafon, polecę komuś na komendzie, żeby spisał pańskie notatki. Potem je przejrzymy. Teraz rozkazuję panu iść do domu, wziąć prysznic, coś przekąsić i odpocząć. Półtorej godziny. Proszę być w moim gabinecie o dziewiątej trzydzieści.

- Kapitanie, nikt z nas nie może sobie pozwolić na stratę nawet kilku minut, a co dopiero...

- Na pewno nie możemy sobie pozwolić na to, żeby jeden z naszych dwóch detektywów przegrał walkę z bólem głowy. A propos, coś pan

upuścił. - Goldstein podał mu pakiecik z trzema tabletkami imitrexu. - Ja tego nie mogę zażywać. Serce bije mi po tym dwa razy szybciej, a ciśnienie skacze pod sufit.

Ben wsunął proszki do kieszeni płaszcza. Wskazał głową odstawione pyszności.

- Miałem ochotę na kawę i pączki.

- To smutne. Niech pan mi spojrzy w oczy. Czy widzi pan, jak leją łzy. Tak mi smutno. Proszę iść do domu. Już panu mówiłem, że potrzebny mi pan w szczytowej formie, a nic z tego, jeśli się pan rozchoruje. Bill i ja dokończymy tu robotę. A pan - dom, prysznic, jedzenie, lekarstwa i krótka drzemka. W moim biurze o wpół do dziesiątej. Ben przekazał mu swój dyktafon i ruszył do wyjścia.

- Masakra na skalę big maca - rzucił Goldstein. Ben odwrócił się.

- Przepraszam?

Goldstein stukał się palcem po skroni.

- Właśnie mi się przypomniało. Taki był tytuł nad zdjęciem gliniarza z małym chłopcem. Masakra na skalę big maca.

Ben wpatrywał się w niego.

- I wie pan, co jeszcze sobie przypomniałem? - kontynuował kapitan.

- W dzień po masakrze Huberty'ego cztery McDonaldy w mieście zanotowały największe obroty w roku.

- I bądź tu mądry! - odparł Ben.

23

powiedz mi, mój oprawco, nigdy o to nie pytałem, ale dręczy mnie ciekawość: czy kiedykolwiek sądziłeś, że przetrwam tak długo?

.....

.....
oczywiście nie.

ciekawe, jak by zareagowali, gdyby znali prawdę.
.....
.....

no cóż. traditor papilio czeka, czas skończyć z żartami.

24

Niektórzy twierdzą, że nawet pory roku bały się wchodzić do Hrabstwa Trumien, ponieważ kiedy już weszły, trafiały w pułapkę, tak jak ludzie, którzy tu mieszkali. Choć listopadowy śnieg w Cedar Hill już stopniał, zostawiając po sobie rozmokłe trawniki i chłodne powietrze, gdy przeszło się na złą stronę mostu przecinającego Main, miało się wrażenie, że zima rozgościła się w mieście na dobre.

Jeszcze kilka dni temu zalegała tu piętnastocentymetrowa warstwa białego puchu, który pokrywał ziemię od początku miesiąca. Suche i zimne dni i noce postarzyły śnieg, nadając mu barwę wilgotnego popiołu, którego powierzchnię pstrzyły papierki od cukierków, pudełka po papierosach, złamane igły do strzykawek, ostre kawałki rozbitych butelek z brązowego szkła, zużyte prezerwatywy, pieluszki jednorazowe i niezliczone puszki po piwie. Jednak ostatnie deszcze i temperatura, która podniosła się do kilku stopni powyżej zera zmyły połowę śniegu, a pozostałe pryzmy wyglądały jak ciała pijaków, którzy pechowo stracili tu przytomność i nocą zamarзли na śmierć.

Taka pryzma, większa od innych, leżała na skraju zaśmieconej parceli naprzeciw Garfielda - jednego z czterech hoteli w mieście nazwanych na cześć amerykańskich prezydentów, który urodzili się w Ohio. James

Abram Garfield był dwudziestym prezydentem. Hotel - wybudowany niedaleko Fabryki Trumien Beaumonta - ucierpiał w pożarze w 1969 roku. Inny hotel, Harrison - nazwany na cześć Williama Henry'ego Harrisona, dziewiątego prezydenta - stał nieco dalej i choć również się wtedy zapalił, zniszczenia były mniejsze niż w przypadku Garfielda. Bez entuzjazmu podjęto odbudowę, ale szybko ją zarzucono. Większą część Harrisona zburzono, ale główny hol i piwnice zachowały się w przyzwoitym stanie i niewielkim nakładem miejskich środków budynek zmieniono w otwarte schronisko w Cedar Hill - prawdopodobnie jedyne w kraju schronisko dla bezdomnych, które mogło się poszczycić podłogą z włoskiego marmuru i klasycznym sufitem sali balowej, z którego zwisał zachowany w całości żyrandol.

Tego ranka, gdy obywatele stanu Ohio budzili się, słysząc wiadomości o strzelaninie w Cedar Hill, pięciu chłopców przeskoczyło pojedynczo przez śnieżną pryzmę naprzeciw Garfielda i pobiegło w kierunku dżungli śmieci. Poszli na wagary (gdyby ich rodzice o tym wiedzieli, wcale by się tym nie przejęli) i postanowili spędzić dzień, budując prowizoryczny fort z tego, co uda im się znaleźć na śmietniku. Zajęło im to trochę czasu, ale zgromadzili wspaniałe skarby: kilka dużych tekturowych pudeł, pięć pustych metalowych beczek, tuzin starych opon, zdezelowaną ogrodową huśtawkę, którą dało się jeszcze postawić pionowo, stos długich desek oraz - najbardziej fantastyczny skarb - drabinę przeciwpożarową, której przedźwignięcie na miejsce zajęło całej piątce dobre pół godziny. Wysilek się opłacił: ukończony fort stanowił olśniewający przykład najnowocześniejszej inżynierii w zakresie budowy śmieciowych fortów, z tajemnymi wejściami oraz imponującą wieżą

obserwacyjną, na której chłopcy mogli pełnić warty, czujnie wypatrując wroga.

- Hej, to wygląda jak zamek! - krzyknął jeden z nich. Rzeczywiście tak to wyglądało, przynajmniej w ich oczach. Zamek godny króla, a oni, szlachetni rycerze, pełnili tu sumienną straż, ponieważ świat był pełen mrocznych i złych stworzeń, które nocą wypełzały z zaczarowanego lasu, by siał spustoszenie w świecie, który się niczego nie spodziewał.

Gdy jeden z rycerzy czuwał na szczycie wieży, pozostali czterej zbierali kamienie i cegły. Potem będą nimi ciskać w szyby porzuconych, zardzewiałych samochodów stojących wzdłuż ulicy. Rycerze wiedzieli, że to wcale nie samochody, tylko przebiegłe demony i potwory w przebraniu. A ich zadaniem było trzymać je na dystans.

Jeden z rycerzy odchylił ramię, by cisnąć kawałkiem rury. Wyobrażał sobie, że to nie rura, lecz złota lanca, pobłogosławiona przez osobistego czarnoksiężnika królowej, a on dla swojej królowej wykaże się bohaterstwem, celując w prawdziwego przeciwnika, gdy nagle...

...zamarł, bo zobaczył twarz - mroczną, straszną twarz, zerkającą zza zasłon pokoju, jednego z nielicznych w Garfieldzie, w których się jeszcze zachowały. Twarz patrzyła na niego tylko przez chwilę, ale to zupełnie wystarczyło, żeby chłopiec nie tylko dostrzegł, ale i wyczuł coś niewidzialnego i okropnego, wyłaniającego się zza tych mrocznych i przerażających oczu, coś jak... jak wąski promień laserowego światła, jaki w komiksach superzłoczyńcy kierują przeciw herosom. Czuł, jak przenika szybko, mknie z wiatrem prosto do jego głowy, wwierca się między oczy i zatapia w mózgu. Chłopiec upuścił rurę i stał, wpatrując się w hotel. Mroczna, straszna twarz zniknęła, gdy zasłona opadła.

- Co robisz? - krzyknął jeden z pozostałych rycerzy.

Chłopiec stał bez ruchu. Z rozszerzonymi oczyma i otwartą buzią gapił się w okno Garfielda.

Wygląda jak dinozaur, pomyślał. Dinozaur tonący w dole smoły.

Chociaż nie był zbyt bystrym dzieckiem i nigdy nie będzie, chociaż nie potrafił wyobrazić sobie wyglądu czegoś, czego najpierw nie zobaczył na rysunku lub na ekranie telewizyjnym czy kinowym, chociaż pojęcia abstrakcyjne dla niego nie istniały, to jednak wiedział, że tonącego dinozaura nie wymyślił on sam, wiedział, że ten obraz przekazała do jego umysłu ta niewidoczna rzecz, skryta za mroczną i straszną twarzą w hotelu Garfield.

Patrzył, jak dinozaur zanurza się w smole, i wtedy obraz zaczął falować i zniknął, jak gdyby to był komiks, którego kartki przerzuca wiatr. A kiedy znów się zatrzymał, kiedy komiks się otwarł na kolejnym rysunku, zobaczył ojczyma, tak jak wyglądał tego wieczoru, gdy zabił psa należącego do chłopca.

Midnight dobrał się do kartonu papierosów i rozdarł jedno pudełko. Zdrętwiały z przerażenia chłopiec obserwował, jak ojczym chwytą psa za nogi i ciska nim o podłogę, wrzeszcząc:

- Nie będę więcej tracił pieniędzy przez tego cholernego psa!

- Nie! - szepnął chłopiec z czasu i miejsca, w którym się teraz znajdował. Czuł, jak serce znów mu pęka, ponieważ wiedział, co się za chwilę stanie. - „Proszę, proszę, nie rób mu...”

Ale błaganie zignorowano. Ojczym chwycił Midnighta za tylne nogi i z rozmachem walnął jego głową o ścianę, wybijając mu zęby i wyłamując szczękę. Zwierzę wydawało straszne dźwięki, skomlało i wyło

z bólu, ale ojczym znów się zamachnął, tym razem z większą siłą, i głowa psa okolicą oczu uderzyła o ścianę, a z jego uszu trysnęła krew. Jednak Midnight ciągle żył, ciągle próbował się uwolnić, lecz był zbyt słaby, zbyt obolały. Ojczym nadal tłukł zwierzęciem o ścianę, aż przestało wydawać dźwięki, a jego ciało zwisło bezwładnie z głową zmiażdżoną na krwawą kulę mięsa i ciemnego futra. Wtedy ojczym po raz ostami cisnął połamanym, martwym psem o ścianę, po czym rzucił go na podłogę. Ciało spadło ze strasznym, mokrym, głuchym odgłosem.

Teraz chłopiec, nieświadomy obecności kolegów, zwiesił brodę na piersi i łkał, tak jak to robił przez trzy dni po śmierci Midnighta; łkał, aż ojczym zbił go pasem, uderzając sprzączką.

Chłopiec nie mógł zrozumieć, dlaczego ojczym tak się wściekł z powodu utraconych papierosów; przecież nie zarabiał tych pieniędzy, nie pracował, tylko brał talony żywnościowe, które przychodziły pocztą każdego miesiąca, i sprzedawał je czarnemu facetowi, mieszkającemu kilka domów dalej. („Nie mów o nich Czarni czy Afroamerykanie, czy coś takiego. W moim domu to zabronione”, powtarzał ojczym. „To czarnuchy, chyba że dają mi trochę gotówki. Wtedy możesz na nich mówić „kolorowi”, ale nic więcej. A teraz, kobieto, rusz swoje tłuste, leniwe dupsko i przynieś mi piwo!”)

Te i inne obrazy przemknęły przez umysł chłopca, gdy pozostali rycerze krzyczeli, by się do nich odezwał, ale on tylko wpatrywał się w budynek hotelu i myślał, że tamta postać wyglądała jak zapadający się w smołę dinozaur.

Aż usłyszał głos, który brzmiał zbyt staro, by mógł należeć do któregoś z kolegów, głos tak mroczny i straszny jak tamta twarz za oknem.

„A gdzie jest teraz ta wielka i ociążała bestia, potężny dinozaur, który kiedyś królował na Ziemi? Zamienił się w zgniliznę, pył i ropę naftową. Jest teraz skamieliną, w jaką pewnego dnia zmienią się wszyscy i wszystko w twoim życiu”.

Gdyby chłopiec był starszy, gdyby miał silniejsze poczucie własnego ja czy choćby odrobinę wewnętrznej determinacji, która w dorosłym życiu przybiera postać cynizmu, być może lekceważąco odrzuciłby to zdanie jako wytwór własnej wyobraźni. Ale nie był starszy, nie miał determinacji, nie był przygotowany, więc ten przerażający głos z łatwością otworzył tylne drzwi do jego umysłu i uwolnił coś strasznego, co dotychczas było tam zamknięte na klucz.

Szeroki, niemal promienny uśmiech zagościł na twarzy chłopca, gdy słuchał tego, co mówiła mu ta okropna postać, gdy przywoływała wspomnienia, wyciągając je z ciemności, gdzie chłopiec je ukrył, zaprzeczając ich istnieniu. Teraz objawiły się w pełnym świetle i nie było już odwrotu. Postanowił opuścić śmietnisko. Rycerze usiłowali go powstrzymać, ale teraz był dla nich zbyt duży i zbyt silny. Był Sir Skamieliną, obrońcą i Mścicielem i nic mu nie mogło stanąć na drodze.

Ta straszna rzecz przypomniała chłopcu nie tylko postęпки ojczyma, lecz także zachowanie matki. Matki, która nie reagowała, gdy ojczym szedł do sypialni starszej siostry chłopca i zostawał tam przez kilka godzin, każąc jej robić rzeczy, jakich nie chciała, rzeczy ciepłe, wilgotne, nazywał ją różnymi imionami, a potem kazał się odwrócić i podnieść słodką dupkę w powietrze i, to były momenty na pieska, kazał jej jęczeć grzecznie i głośno, bo to mu dawało przyjemność, o tak, słodziutka, tak, kochanie, nie przestawaj, to może później dam ci possać coś miłego.

Mama zawsze wtedy nastawiała głośniej radio lub telewizor, czasami aż chłopca bolała głowa i wszystko wydawało się jarzyć i migotać, i czuł w brzuchu mdłości. Szedł wtedy do piwnicy i wciskał się pod schody, gdzie w plastikowej torbie zawsze trzymał dwie poduszki i koc. Owijał się w koc i wkładał głowę między poduszki, starając się odizolować od dźwięków i światła. To nieważne, że piwnica była wilgotna i prawie zupełnie ciemna, trochę światła dostawało się przez niskie okienko, a wszelkie światło sprawiało, że ból i mdłości stawały się dziesięć razy gorsze.

Po wizytach ojczyma siostra zawsze była bardzo cicha. Czasami miała sińce i rany, które mama pomagała jej oczyścić, mówiąc na przykład: „No, kochanie, wiesz, że nie chciał cię zranić” albo „Myślę, że przesadzasz, młoda kobieto, on by ci takich obrzydliwych rzeczy nie robił”, albo „On wcale taki nie jest, zobaczysz, bardzo nas wszystkich kocha i jak tylko znajdzie sobie pracę, na pewno przeniesiemy się do lepszej dzielnicy i wszystko będzie lepiej, tylko żebyś go nie denerwowała, wiesz, że sama bym poszukała jakiegoś zajęcia, ale on mi nie pozwala, więc chyba nie powinnaś się skarżyć, jeśli cię przytula i całuje bardziej, niż byś chciała. Niektórych dzieci rodzice nigdy nie przytulają ani nie całują, a ty masz szczęście...”

Chłopiec - teraz Dzielny Sir Skamielina - sprawi, że wszystko będzie lepiej, uśmierzy ból, otrze łzy, poprawi los siostry i Midnighta. Wszyscy zobaczą, jak Midnight wróci, jak wygrzebie się z ropy naftowej, zgnilizny i pyłu i ugryzie ojczyma w nogę... nie, w gardło, właśnie tak, Midnight rozerwie mu gardło, a potem zaciągnie jego ciało do dołu ze smołą, gdzie potężny dinozaur ryknie i dokończy dzieła, i wszyscy będą zachwyceni,

gdy staną się skamielinami, bo wszyscy i wszystko to właśnie skamieliny, przyszłe skamieliny, których jeszcze nie wessała smoła.

Dzielny Sir Skamielina - dziś Dzielny Sir Skamielina, Mściciel - zatrzymał się, by ze sterty śmieci przed jedną z wielu mijanych po drodze do domu ruder podnieść gruby, ostry, sierpowaty kawałek zbitej szyby. Parę przecznic dalej znalazł solidną tekturową rurkę, którą nasunął na jeden koniec sierpa, uzyskując w ten sposób prowizoryczną rękojeść i teraz już nie trzymał szkła i tektury, lecz wspaniały, magiczny, kryształowy miecz, którym szlachetny rycerz zgładzi swoich wrogów.

Chłopca tak przepełniało to, co mu przekazała niewidoczna postać, że musiał się tym z kimś podzielić natychmiast, żeby go to nie rozsadziło. Przed skrzyżowaniem ulic zwolnił kroku i zatrzymał się przed małym sklepem. Stał, wpatrując się przez okno w mężczyznę za kasą. Trochę to trwało, bo sprzedawca rozmawiał z jakimś klientem, ale w końcu podniósł wzrok i napotkał spojrzenie chłopca.

Sprawię, że wszystko zmieni się na lepsze, zlikwiduję to wszystko, pomyślał chłopiec i tak jak straszna twarz za oknem hotelu przesłała mu z wiatrem tę niewidoczną rzecz, która wkręciła się między jego oczy, tak teraz on przesłał ją ku mężczyźnie za kasą. Widział, że tamten czuje, jak myśl do niego wnika, i to sprawiło chłopcu radość, tak wielką radość, że gdy szedł ulicą do domu, cały czas podśpiewywał sobie o tym, że rezygnuje z imprezowania. Zabawna piosenka, chłopiec nigdy jej przedtem nie słyszał, aż tu pstryk! Pojawiła się w jego głowie, ale podobała mu się, bardzo mu się podobała.

Dwie przecznice przed swoim domem dostrzegł wśród innych śmieci częściowo zużyta rolka taśmy samoprzylepnej i uśmiechnął się jeszcze

szerzej. Wygrzebał ją spod cuchnących resztek zgniłego jedzenia i umocował rękojeść sierpa, a potem przekręcił taśmę warstwą klejącą do góry i przykleił ją do swojej dłoni - waleczny rycerz nie może upuścić miecza w ferworze walki, wrogów nie pokonasz, jeśli jesteś bezbronny, a dziś należało rozgromić wrogów - demony, które potrafią się przebrać nie tylko za samochody, lecz również za mężczyznę, który twierdzi, że kocha ciebie, twoją matkę i siostrę (zwłaszcza siostrę), ale zależy mu tylko na tym, by mieć osobę, na którą może wrzeszczeć, którą może bić, sprawiać, że będzie krwawić, i robić jej pośrodku nocy plugawe rzeczy.

Gdy zbliżał się do schodów prowadzących do jego domu - właściwie połowy domu, którą zajmowała jego rodzina - wsunął miecz pod płaszcz. Dzielny Sir Skamielina wkraczał do legowiska potwora. Nawet tu przy skrzynce pocztowej słyszał krzyki. To znaczyło, że ojczym jest trzeźwy. Gdy był pijany, z trudem wymawiał słowa. Wrzeszczał tylko na trzeźwo, jakby ten stan zbyt mu doskwierał.

Jedną ręką przytrzymując się drewnianej poręczy przy schodach na frontowy ganek, w drugiej ściskając rękojeść kryształowego miecza, Sir Skamielina wchodził na górę. Zastanawiał się, czy Midnight będzie szczęśliwy, że go znów zobaczy, i czy matce i siostrze spodoba się kąpiel w smole razem z dinozaurami. Czy spodoba się ojczymowi, nie obchodziło go wcale.

25

W środkowym pokoju na szóstym piętrze hotelu Garfield opadła stęchła zasłona przed smutnookim mężczyzną o długich siwych włosach związanych w kucyk. Znużony pokręcił głową i przysiadł na podłodze. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął półautomatyczny mauzer HSc Super

kaliber 32.

Spojrzał w dół na broń i kątem oka zauważył swoje odbicie w leżącym obok kawałku rozbitego lustra. Zaśmiał się na ten widok; w taki sposób mógłby się śmiać śmiertelnie chory na raka pacjent, usłyszawszy dowcip o guzach. Twarz, którą zobaczył, była jak patchwork - głębokie zmarszczki, ogorzała skóra, rany w różnych stadiach gojenia. To była twarz, którą wyhodował, by nią pogardzać.

Oparł głowę o ścianę, przypomniał sobie spojrzenie tamtego chłopca i rozmyślał: to mogłaby być prawda, że energia, podobnie jak materia, nie jest nieskończenie podzielna i może istnieć tylko w postaci kwantów - ale to nie znaczy, że nie można nią manipulować. Elektrony krążą w polu elektromagnetycznym jądra atomowego, planety krążą w polu grawitacyjnym Słońca i wszystko we wszechświecie da się zredukować do szeregu fal stojących - zwłaszcza myśl, która była najłatwiej dostępnym kwantem w widmie. Należało tylko ukierunkować własną energię i wiedzieć, jak nią sterować, by osiągnąć pożądany rezultat. Po prostu celujesz w wybrany wzorec fali myślowej i rozszczepiasz ją jak interferometr, przez który przechodzi wiązka promieniowania. A potem prowadzisz każdą z połówek po oddzielnej, lecz dokładnie określonej drodze, i w końcu je łączysz, by stworzyć wzorec interferencyjny. Ponieważ chłopiec był taki młody i pełen nieukierunkowanej energii, ciąg dalszy nastąpi wkrótce. Jak wielokrotnie rozgałęziająca się błyskawica, fale interferencyjne celują we wzorce myśli innej osoby, deformując jej świadomość; ta z kolei osoba przekazuje interferencję innej; a tamta - następnej, i tak dalej; trwa nieodwracalna reakcja łańcuchowa, która niszczy słabe struktury psychiczne każdej jednostki i zostawia za sobą szaleństwo.

Szaleństwo...

...potem konfuzja...

...przemoc...

...destrukcja...

...Chaos.

Mężczyzna westchnął przeciągle, z rozpaczą. W umyśle miał obraz skrzydeł motyla; nieruchomych, ciemnych motyli skrzydeł.

Wsunął lufę pistoletu do ust i nacisnął spust. Tył głowy rozwarł się jak rozkwitający kwiat. Szerokie plamy krwi, odłamki czaszki i poskręcane, zmoczone posoką kawałki tkanki przypominającej ślimaka rozprysły się na ścianie. Ciało upadło na bok, kończyny podrygiwały w ostatnim, groteskowym paroksyzmie. Dłoń trzymająca pistolet znieruchomiała, broń wysunęła się i z hałasem upadła na drewnianą podłogę. Przez kilka minut panowała gęsta, brudna cisza, gdy mężczyzna bez ciała, bez kości, bez komórek i krwi, i odruchów, bezwolnie wirował między niezliczonymi drobinami ludzkiej myśli, która kolektywnie i nieświadomie wprowadzała systematyczny porządek do wszechświata. Mężczyzna dryfował przez całą kosmiczną panoramę, zbierając zabłąkane drobiny zrozumiałych sygnałów - urywki starych rozmów, idee, które przekazywano sobie z umysłu do umysłu, ale nigdy ich nie zrealizowano, wspomnienia o mitach i same mity zakopane we wspólnej pamięci ludzkości - i ustawiał je w schludną, uporządkowaną całość ożywioną ludzką myślą; widział myśl eukariotyczną, osobliwości myśli, wielokomórkowe struktury i olbrzymie nawarstwione koralowce myśli, skrywające prawdziwą historię; aż w tym wzbierającym duchowym morzu nieustannie zapadających się fal prawdopodobieństwa znalazł jedną, która

stanowiła część jego własnej uświadomionej historii, i zanurzył się w nią...

...by przekonać się, że jego oprawca również tam na niego czeka. *ile jeszcze razy?* - zastanawiał się. *ile razy ty, ja i drogi brat musimy przez to przejść, żeby cię zadowolić, mój oprawco?*

Wspominał wszystkie twarze, jakie nosił, miejsca, które odwiedził.

I trupy, coraz więcej trupów, krzyki, krew, głosy błagają o zmiłowanie, dzieci chowają się po kątach, piętrzą się stosy ciał, śmierć zalega mu na języku i w duszy...

...tyle razy powracał...

...i tyle razy jeszcze powróci, ale na razie znów był tutaj, tym razem jako Cudotwórca, który wkroczył do knajpy w deszczową noc i wyciągnął spod kurtki teca - 9, który patrzył przez okno hotelu Garfield w Hrabstwie Trumien, który przesłał błyskawicę zakłóceń psychicznych do umysłu chłopca, a ten już zdążył przekazać ją innym, Cudotwórca, który władował sobie kulę w czaszkę i którego ciało leży teraz na brudnej podłodze, a nikczemna duszyczka czmycha przez ścianę...

...wtedy wróciła cisza...

...i stała się wierszem jak promień słońca, ożywiony tańczącym pyłem, przesianym przez rozdarcia w zasłonach i rzucającym łagodny, poranny blask na palec wskazujący ręki, która trzyma pistolet.

Palec drgnął; potem palec środkowy i kciuk; nadgarstek przechylił się, gdy ramię zadrżało. Oczy mrugnęły. Głęboki jęk wypełznął z głębi piersi. Mężczyzna przetoczył się do pozycji półsiedzącej. Kropla krwi kapnęła z nosa i zniknęła, nie docierając do podłogi. Potarł sobie szyję - jak gdyby kiedykolwiek mógł zapomnieć o tym szczególnym bólu, a potem sięgnął na tył głowy. Nie było tam już dziury po kuli, tylko miękkie

włosy związane w kucyk.

Podniósł się z podłogi, zaczerpnął głęboko powietrza i zakrztusił się fetorem swego odnowionego istnienia. Schwycił mauzera i schował go do kieszeni marynarki, potem podszedł do okna, odsunął zasłony i stał, kąpiąc się w brudnym, przygnębiającym świetle słonecznym.

- *Dum vita est, spes est* - szepnął. - Nie można mieć pretensji do faceta, że próbuje - dodał po chwili.

A moment później:

- Oh, dobrze... tak, można. Mój zły.

26

Krytykanci twierdzili, że komenda policji w Cedar Hill ma niewiele zalet. Większość wydziałów mieściła się w starym, brązowym, neoromańskim budynku przypominającym posępny, zapomniany dwór z gotyckiego filmu grozy. Gmach stał nadal tylko dlatego, że Towarzystwu Historycznemu Hrabstwa Licking udało się wywalczyć dla niego status zabytku i zapewnić fundusze od prywatnych darczyńców na modernizację instalacji elektrycznej i kanalizacyjnej. Budynek był dobrze utrzymany i zawsze znajdowano środki na bieżące naprawy. Niestety, tego samego nie można było powiedzieć o budżecie komendy, która obsadę miała szczupłą, wyposażenie przestarzałe, a zatrudnionym w niej ludziom płacono żałośnie mało. Szefa placówki najbardziej interesowała promocja własnej osoby, a dyrektor do spraw bezpieczeństwa w hrabstwie nie potrafiłby podjąć samodzielnej decyzji, nawet gdyby od tego zależało jego własne życie. Jednak - ratusz dał świadectwo wiary w komendę policji - bo mimo znacznych cięć budżetowych w ciągu ostatnich pięciu lat, znalazł fundusze na nowy budynek rady miejskiej, zamiast przeznaczyć środki na

zatrudnienie większej liczby wyszkolonych funkcjonariuszy. Nic więc dziwnego, że źle opłacani i poddawani nadmiernej krytyce pracownicy komendy nie byli skłonni tańczyć charlestona na głównym placu miasta.

Nawet sam Bóg wiedział, że niewiele przemawiało na korzyść komendy, ale niewątpliwie miała ona jeden atut: Stanleya Rotha. Nie tylko należał do najwybitniejszych ekspertów od daktyloskopii w regionie, ale prawdopodobnie był jednym z dziesięciu najlepszych w całym kraju. Gdy lokalne budżety hrabstw spadły poniżej kreski i mniejsze komendy w Ohio nie mogły sobie pozwolić na kupno wyposażenia niezbędnego do uruchomienia sieci AFIS (Automatycznego Systemu Identyfikacji Daktyloskopijnej), to właśnie dzięki reputacji Rotha Cedar Hill znalazło się na krótkiej liście FBI, jako jedno z miejsc, gdzie testowano eksperymentalny projekt EXCEL - system sprawdzania i katalogowania odbitek linii papilarnych, pobranych podczas śledztw. W dłuższej perspektywie celem projektu było zbudowanie ogólnokrajowej sieci identyfikacji odcisków palców. W teorii EXCEL miał umożliwić każdej komendzie policji w Stanach Zjednoczonych szybki dostęp do znacznej części - a w idealnym wariancie do całej - kryminalistycznej bazy danych FBI. To umożliwiałoby komendom, mającym odpowiednie pełnomocnictwa i sprzęt, przeszukanie wszystkich zgromadzonych odbitek palców w ciągu kilku dni, a może nawet kilkunastu godzin - jeśli kryterium przeszukiwania zawężono by do określonych rejonów kraju. Gdyby natomiast śledztwo prowadzono w ramach jednego stanu - powiedzmy, New Jersey szuka odcisków w bazie Utah - byłaby to kwestia minut.

Cedar Hill stanowiło idealne miejsce testowania nowego systemu FBI. Nie było wielkie (liczyło czterdzieści siedem tysięcy mieszkańców),

a policja dysponowała tylko najniezbędniejszym sprzętem. To było typowe, małe amerykańskie miasto szanujące flagę, prezydenta, mamę i tatę oraz szarlotkę. Komenda był dość mała - co spełniało kryteria FBI - a samo miasto, pogrążone w zapaści finansowej, miało wyższy współczynnik przestępczości niż bywa w podobnych lokalizacjach.

Sporo stanów wdrożyło własne moduły AFIS, a ponieważ każdy z nich był inny, nie potrafiły się komunikować między sobą ani podłączyć do głównego systemu FBI. Aby rozwiązać ten problem, stworzono więc bękartą AFIS - którego nazwano DIM (Moduł Interfejsu między Rozbieżnymi Systemami) i uznano - znowu w teorii - za świętego Graala elektronicznego wykrywania przestępstw.

Gdy na barki Stana Rotha spadł obowiązek wyjaśnienia działania systemów DIM i EXCEL, zajechał swoim wózkiem inwalidzkim przed Facetów w Garniturach i tak to przedstawił:

- Gdzieś w Waszyngtonie stoi sobie niczym niewyróżniający się dom czy budynek i gdzieś w tym nijakim budynku są drzwi, które można otworzyć tylko kartą magnetyczną. Za drzwiami jest winda. Zjeżdża kilkadziesiąt metrów pod powierzchnię i po otwarciu jej drzwi widać długi korytarz. Na końcu korytarza znajdują się kolejne drzwi, wymagające innej karty magnetycznej. W pomieszczeniu za tymi drzwiami jest skarbiec, w skarbcu - kaseca. W kasecie przegródka. W przegródce dwanaście mikroprocesorów. W centrum każdego z nich - układ scalony i ten układ scalony to legendarne „klucze do królestwa” - w tym wypadku królestwem jest każda sieć komputerowa z własnym systemem AFIS. Za pomocą tego układu możemy teoretycznie uzyskać dostęp do każdego innego systemu lub sieci, które nawet się nie zorientują, że to robimy, jeśli

okażemy się wystarczająco sprytni, choć oczywiście nie musi tak być. Krótko mówiąc, ten układ scalony X, jak go nazywają, jest w stanie w mgnieniu oka umożliwić dostęp do wszystkich kryminalistycznych baz danych w kraju oraz nawiązać „rozmowę” między systemami AFIS - czego nawet sam AFIS nie potrafi. Ponadto otrzymamy za darmo własną sieć AFIS, a kiedy użyjemy jej z systemem EXCEL czy interfejsem DIM, będziemy mogli zgromadzić i porównać dane daktyloskopijne w rekordowym czasie, co z kolei pozwoli nam na szybsze schwytanie przestępców. FBI chciałoby nam dać jeden z tych mikroprocesorów. Uważam, że powinniśmy przyjąć ich ofertę.

Tak też zrobiono. Nowy sprzęt został przywieziony, zainstalowany, sprawdzony, ponownie sprawdzony, sprawdzony po raz trzeci i zaczął łądować informacje oraz kody. Trwało to pięć dni. Przez cały czas Stan tkwił w swoim gabinecie, spał na starym wojskowym łóżku polowym i zamawiał jedzenie do pokoju.

To zdumiewające, ale wszystko działało. Często znacznie sprawniej niż przewidywano. Tego właśnie potrzebował do swej pracy jeden z dziesięciu najlepszych speców od daktyloskopii.

Tylko że w tej chwili Stan nie czuł się jak ekspert. Prawdę mówiąc, czuł się raczej jak głupek, gdy siedział na swoim wózku inwalidzkim, ssął prawy kciuk i wpatrywał się w drugi z trzech czterdziestocalowych płaskich monitorów, ustawionych na potężnej stacji roboczej.

- „Temu, kto wątpi w to, co widzi, nikt żadnej wiary nie uprosi”* - szepnął do siebie, nie odrywając wzroku od ekranu. Palcami lewej dłoni bębnił po krawędzi klawiatury. Po chwili przestał bębnić, podniósł rękę i dokładnie się jej przyjrzał. Ponownie spojrzął na monitor. Potem na dłoń.

Znów na monitor. Pomyślał, że może warto otworzyć zamkniętą na klucz szufladę, gdzie w tajemnicy przechowywał półlitrową butelkę Jacka Danielsa z zieloną etykietą.

- Nie wolno, bądź dobrym androidem - napomniał się na głos. Spojrzał na swoją dłoń. Potem na ekran. Znów na dłoń. (Tym razem zmienił kolejność, ponieważ nie chciał popaść w rutynę).

Zacisnął pięść i zaczął nią stukać w zarośnięty podbródek. A potem znów spojrzął w monitor. Bez wątplenia popadał w rutynę.

- „Gdyby zwątpiło słońce, księżyc? Przecież zagasłyby w ciemności”**. Powiedz mi, Stan, czy nie martwi cię to, że mówisz sam do siebie, cytując Williama Blake'a i jemu podobnych? Ależ owszem, martwi, martwi.

Jęknął sfrustrowany i nieco się odchylił do tyłu, zakrył twarz dłońmi i z irytacją wciągał przez nie powietrze. Potem przeczesał palcami włosy i poczochrął je trochę, by więcej krwi napłynęło do mózgu.

- Nie żenują cię te ożywione rozmowy z samym sobą? - usłyszał głos za plecami.

Odwrócił wózek i zobaczył Maureen Cahill, swoją osobistą asystentkę. Stała w drzwiach pokoju.

- Nie musisz pukać, wchodź od razu i czuj się jak u siebie w domu.

Maureen pchnięciem zamknęła drzwi i podeszła do Rotha. Spojrzała na monitor, potem położyła Stanowi dłonie na ramionach.

- Jezu, Stan! Na twoich ramionach można by rąbać mięso. Jesteśmy trochę spięci, co?

- Co ma znaczyć ta gówniana liczba mnoga? I proszę zabrać ręce z mojej osoby, bo pobiegnę na górę i złożę na ciebie skargę z powodu

molestowania seksualnego.

- Hola, hola. Nie wiem, czy przypadkiem ktoś ci ostatnio nie zwrócił uwagi na pewne fakty, ale formalnie jestem zatrudniona przez ciebie, a nie przez komendę, choć mam stanowisko „personelu pomocniczego”, bo nalegałeś na to, więc gdybyś wykonał groźbę i próbował wnieść przeciw mnie jakieś oskarżenia, ludzie na górze tylko by cię wyśmiali, ewentualnie zasugerowali, że powinieneś się cieszyć. Inna sprawa, że dni, gdy mogłeś gdzieś pobiec, należą do przeszłości.

Stan opuścił ręce, schwycił za koła i odwrócił się.

- Do tego doszło? Żarty z kaleki?

- Nie bądź przewrażliwiony i taki zadufany w sobie. Przysługują ci dobre miejsca parkingowe.

- Racja. - Stan pstryknął palcami. - Właśnie po to w Wietnamie wdepnąłem na „Podskakującą Betty”, żeby mieć dobre miejsca parkingowe! Nabyłem to tanim kosztem, tylko za cenę swoich nóg. Co ja bym bez ciebie zrobił? Ty jedna pilnujesz, żebym się nie puszył.

Maureen ziewnęła, zakrywając usta. Potem się uśmiechnęła.

- Przede wszystkim nie miałby cię kto podwozić o piątej rano.

- Już cię przeproszałem za telefon o nieprzyzwoitej godzinie.

- Wiem, ale lubię się cię czepiać.

Stan pokręcił głową i zaczął obracać wózek, ale zatrzymał się w pół drogi.

- Jesteś złą, bezwstydną, rozpustną ladacznicą.

- Twoje słowa chwytają mnie za serce i pętają mi skrzydła. A w zasadzie, co się dzieje?

Stan odwrócił się przodem do konsoli.

- To. - Wskazał na monitor.

Maureen nachyliła się bliżej, poprawiając okrągłe okulary w drucianych oprawkach.

- Ciągłe zajmujesz się odciskami kciuków?

- Do trzech razy sztuka.

Uderzyła go w ramię, ale niezbyt mocno.

- Nie bądź podły. Nozdrza ci się rozszerzają, a ja dostaję od tego gęsiej skórki.

Już zamierzał jej coś odpowiedzieć, ale się rozmyślił. Przez siedem lat, gdy Maureen z nim pracowała, nigdy nie potrafił dorównać jej w docinkach, ale między innymi dlatego tak bardzo ją lubił. Prawdopodobnie aż za bardzo, jeśli miał być wobec siebie szczery. Spędzali razem mnóstwo czasu, nie tylko w pracy, ale również poza nią. Zwykle rzeczy: kolacja w restauracji raz w tygodniu, kilka razy w miesiącu koncert czy kino, zakupy w centrum handlowym. Sztampa, nic specjalnego, po prostu para dobrych przyjaciół. Ale ostatnio Stan odkrył, że żywi do Maureen głębsze uczucia, i wpadł w popłoch. Była w istocie jedynym prawdziwym przyjacielem, jakiego miał w życiu, i nie chciał tego zniszczyć.

Uświadomił sobie, że patrzy jej w oczy i ciepły rumieniec zakłopotania oblał jego twarz. Maureen musiała to zauważyć, ponieważ na chwilę odwróciła wzrok i odchrząknęła, jakby się spodziewała, że ten dźwięk wygoni z pokoju niezręczną sytuację.

- To jak - przystawiła sobie taboret i usiadła obok Stana - zamierzasz mi o tym powiedzieć, czy mam złożyć zamówienie na wydanie książkowe?

Czyli wracamy do pracy.

Dzięki Bogu, pomyślał Stan.

Podał Maureen folię daktyloskopijną z odbitką kciuka.

- Gdy Ben zadzwonił dziś rano, dał mi jasno do zrozumienia, że wolałby, abym nie przepuszczał wstępnej serii przez DIM. Domyślam się, że on i Bill chcą jak najwięcej zrobić sami, zanim się wezwie federalnych. A federalni zjawiają się od razu, gdy tylko wpuszczę to w DIM, ponieważ wtedy... oho ho... zapalą się wszystkie możliwe czerwone sygnały ostrzegawcze!

- Wprowadź mnie w sprawę.

Wyjaśnił więc, jak zaczął pracę od sfotografowania linii papilarnych lewego kciuka, pobranych z szyby drzwi frontowych. Powiększył zdjęcie pięciokrotnie, wypełnił linie czarnym barwnikiem na białej kalce, potem to sfotografował, a na koniec zredukował obraz do rozmiarów naturalnych, zeskanował do komputera i ręcznie ustawił celownik krzyżowy na oś i rdzeń odcisku. Komputer obrócił odbitkę linii o piętnaście stopni w lewo i w prawo od osi, szukając wyraźnych cech charakterystycznych - szramy, bruzdy, kropki, wiry - a potem zaznaczył je jako elementy identyfikacyjne.

- Wydawało mi się, że nie będzie wielkiego problemu, ponieważ odbitka była incydentalna, rzadko spotykana i, uprzedzę twoje pytanie, nie mieściła się w żadnej zwykłej klasyfikacji. Wyciągnąłem pliki wszystkich odcisków incydentalnych dla Ohio, które zostały załadowane z bazy danych FBI, gdy montowano tutaj sprzęt. Odbitka jest właśnie z nimi porównywana. - Nacisnął klawisz i obraz się powiększył. Stan wycofał swój wózek, po czym przesunął go w bok, by nie zasłaniać Maureen widoku. Z kieszonki koszuli wyjął mały teleskopowy wskaźnik, rozsunał go na całą długość i pokazał obszary, o które mu chodziło.

- Jest tu dziesięć punktów identyfikacyjnych. Poruszając się zgodnie z ruchem wskazówek zegara od najbardziej zewnętrznej lewej delty - wskazał pierwszą pojedynczą, zaokrągloną bruzdę - do najbardziej zewnętrznej prawej delty, dostajemy wzór numer jeden, potem mamy odcinek, kropkę, a ten kształt odwróconego V, który zakłóca bieg linii, to rozwidlenie. Dalej delta numer dwa, rozwidlenie potrójne - to te trzy odgałęzienia - i wreszcie zakończenie bruzdy.

- Teraz tutaj - postukał w ekran końcem wskaźnika - właśnie z tego powodu odcisk jest incydentalny: delta numer trzy.

- Co? Chyba nigdy przedtem nie wiedziałam czegoś takiego. Nie twierdzę, że rozumiem w najdrobniejszych szczegółach to, czym się zajmujesz. Mam obraz całości i pewnych detali, ale gubię się w bardziej skomplikowanych rzeczach. Domyślałam się, że ta trzecia delta to rzadkość.

- I to jaka! Wiele odcisków nie ma nawet dwóch delt, co jest zresztą zupełnie normalne, ale to tutaj... zauważyłaś coś szczególnego?

Maureen przysunęła się do ekranu, badając odbitki. Boże, ależ ona ma niesamowite oczy.

- Chodzi o miejsce w pobliżu rdzenia, w wirze typu kieszeni centralnej - stwierdziła.

Stan był zadowolony, że zdołała to zidentyfikować. A więc czegoś się od niego nauczyła. Skinął głową i ścisnął jej dłoń.

- Słusznie. Możesz powiedzieć, co widzisz? Maureen wzruszyła ramionami.

- To połączenie typu styk. No i co z tego?

- Taki odcisk jest nadzwyczaj rzadki. Nie „unikatowy” w słownikowym sensie, ale prawie, prawie. Początkowo nie zwracałem na to

uwagi, sam w sobie taki wir nie jest niemożliwy. - Wskazał skrajne delty lewą i prawą. - Ale to jeszcze nie wszystko. Między nimi dwiema mamy tylko dwie linie...

- ...czyli jeszcze jedno połączenie typu styk - przerwała mu Maureen, która, sądząc po wyrazie jej twarzy, zaczynała to rozumieć.

- Właśnie! - zakrzyknął Stan nieco głośniejszym głosem, niż zamierzał. - A to znaczy, że delta numer trzy w wirze o kształcie kieszeni centralnej powinna być połączona albo wewnętrznie, albo zewnętrznie... ale tak nie jest. A to niemożliwe. Nie mogą występować dwa oddzielne połączenia typu styk i dwa różne typy wirów w tym samym pieprzonym odcisku palca.

- W takim razie to fałszerstwo. Ktoś wziął dwa różne odciski palców i nałożył je na siebie. Może technicy kryminalistyczni niechcący złączyli parę folii. Z tego co słyszałam, w knajpie było straszne pobojowisko.

- A oni mają wprawę w pracy na strasznych pobojowiskach. Nie, tego wyjaśnienia nie kupuję. Ci z Columbus, jak tylko mają okazję, lubią pokazać, że Cedar Hill to grajdoł, dlatego posyłają do nas najlepszych specjalistów. Dowody, jakie mi przysłano, były zebrane z najwyższą starannością i profesjonalizmem.

Maureen pokręciła głową.

- Więc dobrze. Jeśli to nie fałszerstwo i nie efekt ludzkiej pomyłki, w takim razie...?

Stan zataczał wskaźnikiem koła wokół odbitki.

- W takim razie chodzi sobie wśród nas jakiś inny gatunek człowieka, o którym nic nie wiemy.

Maureen wpatrywała się w niego.

Odwzajemnił to spojrzenie, a potem złożył wskaźnik i wsunął go do

kieszeni.

- Jeśli masz lepszy pomysł, zamieniam się w słuch.

- Nie mówisz chyba poważnie? Inny gatunek człowieka?

- To ty studiujesz antropologię sądową. Czy masz zamiar zaprzeczyć tej możliwości? Jeśli tak, to oświeć mnie i przedstaw alternatywę.

- Stan, nie żartuj ze mnie.

- Nie żartuję i nigdy nie będę, przysięgam... ale pewien szczegół mógł umknąć twojej uwadze.

- Mianowicie?

- Ten kciuk - wskazał na monitor - nie był samotny. Pochodzi z odcisku całej dłoni.

Oczy Maureen nieco się rozszerzyły.

- Racja. Analizowałeś inne odbitki pobrane z dłoni?

- Analizuję je indywidualnie oraz dłoni w całości. Korzystam tylko z danych, które pobrałem już wcześniej od naszego systemu. Mam nadzieję, że uda mi się coś dopasować. - Spojrzał na swoją prawą dłoń, zacisnął ją w pięść, a potem rozprostował. - Wiesz co, zawsze uważałem, że dłoń to najbardziej seksowna część ludzkiego ciała. Nie pytaj mnie dlaczego, ale ręka to takie zadziwiające urządzenie. Jedna z niewielu rzeczy, jaka się Bogu w człowieku udała. „Patrz, jak na dłoni smutnie wsparła liczko! O! gdybym mógł być tylko rękawiczką, co tę dłoń kryje”*. - Zaśmiał się krótko. - Nie cierpię zimy. Ludzie noszą w zimie rękawiczki. Rękawiczki to nieprzyzwoitość. Maureen chwyciła jego palce.

- „Po raz pierwszy całował mnie, a pocałował jedynie palce ręki, którą piszę, i odtąd”...

- ...stały się bielsze i czystsze”** - dokończył Stan.

- Dobry Boże. - Uśmiech pojawił się i na twarzy, i w głosie Maureen.

- Kto by pomyślał, że mieszka w tobie klasyczny romantyk.

Stan poczuł, że znów się czerwieni.

- Każdy szóstoklasista, który nie jest półgłupkiem, potrafi wyuczyć się na pamięć kawałków z Szekspira i Browning.

- Milcz moje serce.

- Teraz to ty robisz sobie ze mnie żarty.

- Wcale nie. A ty nawet nie próbuj zaprzeczać, że się mylę i że nie kryje się w tobie Donne czy Yeats. Pamiętaj... znam twój sekret.

Stan wzruszył ramionami i podjechał wózkiem bliżej monitora.

- Nie zrozum mnie źle... albo przeciwnie, zrozum... ale czy był jakiś szczególny powód, że tu zajrzałaś.

- Tak. Idę do Sparty kupić sobie coś do jedzenia. Chcesz coś?

- Weź dla mnie to samo co dla siebie.

Maureen ruszyła do wyjścia. Stan spojrzał przez ramię i zawołał do niej:

- Hej!

- Co takiego?

- Dziękuję, że mnie rano podwiozłaś i że zgodziłaś się dziś mi pomóc. Wiem, że miałaś mieć wolny dzień. I jestem ci naprawdę wdzięczny za wysłuchanie mojej paplaniny.

- Interesujący z ciebie facet, Stan. Można by pomyśleć, że jeśli pracuje się z tobą przez siedem lat, nie będzie już w tobie nic do odkrycia, ale na razie to odległa perspektywa. Cieszę się, że jestem twoją asystentką, ale jeszcze bardziej mnie cieszy, że się przyjaźnimy. Tylko czasami się niepokoję, że zbyt dużo czasu spędzasz, patrząc na ludzkie ręce, a nie dość

uwagi poświęcasz ludzkim twarzom. Wracam za kilka minut. - I wyszła. Pokój brzęczał jej nieobecnością.

Stan potarł czoło i znów po cichu wyrecytował urywek wiersza:

- „Raz pewna starsza pani z Nantucket...”

Odwrócił się w stronę komputera, który bipnął, a słowa „Dopasowanie znalezione” ukazały się na monitorze.

27

Dzielny Sir Skamielina wyciągnął kryształowy miecz z gardła ojczyrna, ale nie uskoczył dość szybko przed tryskającą krwią, która opryskała prawą stronę jego policzka i koszuli. Kilka metrów dalej, w kuchni, jego siostra i matka tworzyły czerwoną, moką kupę. Ich poderżnięte gardła rozwierały się połyskliwym, wilgotnym uśmiechem. Sir Skamielina wytarł sobie krew z prawego oka i wstał, mocno opierając stopę na piersi martwego, leżącego na podłodze mężczyzny. Uniósł miecz i patrzył, jak promień słońca przenika przez szybę i pada dokładnie na krawędź ostrza, uwalniając mozaikę barw tańczących na połyskującej posoce, która pełzła w dół ostrza, gromadziła się na rękojeści, a potem spływała po dłoni i nadgarstku.

Potwór został zgładzony, ale ten potwór, jak wszystkie smoki, olbrzymy i demony potrafi być oszustem. Prawdziwy rycerz musi się upewnić, czy jego wróg naprawdę został pokonany, ponieważ księżniczka będzie żądać dowodów zwycięstwa. Zatem Dzielny Sir Skamielina przeszedł przez ciało bestii, które miał pod butem, i ruszył do kuchni, omal nie poślizgnąwszy się na kałuży krwi, pełzającej po kafelkach. Podszedł do bufetu i przysunął sobie drewniany klocek - podstawkę na noże. Rączka każdego noża wystawała z drewna, jakby to był tuzin małych

Excaliburów, które sterczą z tuzina małych kowadeł, czekając na przybycie osoby dość szlachetnej, by uwolniła je wszystkie. Sir Skamielina chwycił rączkę największego noża do mięsa, a „ktokolwiek wyciągnie ten miecz z tego kamienia i kowadła jest prawowicie zrodzonym królem”, i słyszał tysiące wiwatów, gdy bez wysiłku go wysunął, a potem uniósł wysoko nad głowę. Ostrze było ładne, ale nie dość dobre do wykonania czekającego je zadania. Rycerz położył nóż na bufecie i zaczął przeszukiwać szuflady, aż znalazł sztucce i wyjął najpotężniejsze narzędzie: tasak.

Tasak miał swój ciężar, ale to, co należało zrobić, wymagało przecież ciężkiej broni. Rycerz przesunął kciukiem po ostrzu, z zadowoleniem poczuł ukłucie i zobaczył krew spływającą aż do rączki. Odwrócił się w stronę światła słonecznego, po czym wzniosł tasak nad głowę. W uszach miał ryk i owacje tysięcy ludzi, którzy cisnęli się wokół niego, śpiewali pieśni wdzięczności i uznania, głosili jego triumf, podczas gdy on maszerował w chwale z kuchni do salonu. Tam uklęknął przy trupie zgładzonego potwora - który wcześniej występował w postaci ojczyma - i schwycił go za długie włosy, ponieważ prawdziwy rycerz zawsze przynosił królowi i księżniczce odcięte głowy wrogów, dzięki temu dinozaur powstanie ze smoły historii, a Midnight powróci do kochającego pana, który bardzo tęskni za swoim najlepszym przyjacielem, swoim psem, dobrym psem, dobrym psiakiem. Trzeba tylko odchylić głowę, by uśmiechnięta szyja była naprężona, i ciachnąć tasakiem, jak to robiła mama, oprawiając świeże kurczaki z targu, więc zaczerpnij głęboko powietrza i uderz z całą mocą, i Dzielny Sir Skamielina zebrał się w sobie i gdy zanurzył ostrze, poczuł, jak przedziera się przez tkanę i kości, i

znów krew tryska na wszystkie strony, ale pierwsze uderzenie...

„...trzyma Midnighta za tylne nogi i wali jego głową o ścianę, i znów wali, i jest tyle krwi, i z psa leci siusiu i kupka, i pies krzyczy z bólu...”

...nie wystarczyło, potrzebne następne, więc rycerz uwolnił tasak z czegoś, co tkwiło głęboko w szyi potwora, i gdy wyciągnął ostrze, wstał, ujął rękojeść obiema dłońmi, głęboko odetchnął, podskoczył i runął na potwora z nieokiełznaną furją, siekąc przez mięso i kości, aż zobaczył, że głowa oddzieliła się od ciała, a gdy tego dokonał, gdy miał dowód, że jego wróg naprawdę został rozgromiony, zebrał w garść włosy ojczyma i związał w długi kucyk, żeby mógł kołysać głową, i od razu tak zrobił. Wstał, trzymając kucyk obiema dłońmi, zamachnął się odciętą głową o ścianę, o tę samą ścianę, przy której został zabity Midnight, i usłyszał, jak trzaskają kości w głowie ojczyma, jak z mięsa na twarzy potwora robi się miazga, i z radością poczuł, jak odłamki czaszki i kawałki mokrej tkanki bryzgają mu na ręce, i słyszał skomlenie o litość, które zostało zagłuszone, ponieważ...

„...jeszcze raz będziesz ryczał za tym przeklętym psem, ty pomylony gnojku, jeśli myślisz, że teraz ci źle, to nie wiesz jeszcze, co to znaczy źle, ty mały chuju, ty pedale, ty małe gówno wypnij tyłek, a krzyknij chociaż raz, to ci wpakuję ten pas w gardło...”

...krew łomotała mu w uszach, gdy śmiał się i tańczył, i śpiewał pieśń radości, i gdy okręcił się jeden raz, drugi i trzeci, by nabrać odpowiedniego rozpędu i walnąć głową potwora o ścianę, i znowu, i jeszcze raz, plamy na ścianie tak ładnie rosły, rozszerzały się, upstrzone kawałkami ludzkiego mięsa, i Sir Skamielina miał wrażenie, że ktoś rozgniótł na ścianie największy pomidor na świecie, ale nie ustawał, ponownie cisnął

głową i dopiero wtedy pozwolił jej opaść na podłogę; plasnęła z przyjemnym, mokrym odgłosem.

Dzielny Sir Skamielina zanurzył palce we krwi potwora i dla przyjemności pograł przez chwilę w kółko i krzyżyk na czystej powierzchni przeciwległej ściany. Potem wszedł do pokoju, gdzie potwór spał z matką rycerza, i tasakiem rozwalił zamkniętą na klucz drewnianą szufladę szafki nocnej. Wsunął rękę do środka i wyciągnął jedyny przedmiot, jaki tam leżał: pistolet potwora, Heckler & Koch 9 mm Parabellum. Magazynek był pełny, ale Sir Skamielina pamiętał, że jest jeszcze dodatkowy, więc sięgnął głębiej i uderzając dłonią jak ryba wyciągnięta z wody na pokład łodzi, wreszcie zlokalizował magazynek w samym końcu szuflady. Włożył go do kieszeni spodni, pistolet zatknął z przodu za pasek, wziął tasak i poszedł do kuchni.

Z matką i siostrą poszło mu szybciej niż z potworem i po kilku minutach włosy na obu głowach były skręcone w ciasne końskie ogony, które przeciągnął przez pas i mocno zawiązał. Głowa matki wisiała z prawej strony, głowa siostry - z lewej, a pośrodku aż do krocza sięgał mu zmasakrowany łeb potwora.

Poklepał z góry czaszkę ojczyrna, uśmiechając się, gdy wydała dźwięk przypominający odgłos bębna.

- Jeśli będziesz grzeczny - powiedział do łba - to może później dam ci possać coś miłego. Pamiętasz, jak jej to mówiłeś?

Potwór nie odpowiedział. Rycerz chwycił kryształowy miecz i ruszył do drzwi frontowych. Chichocząc, gdy głowy odbijały mu się od bioder. Dobry i szczery uśmiech zagościł na przystojnej twarzy Skamieliny. Nim wyszedł na ganek, usłyszał szept mroczny i straszny jak twarz, którą

widział w oknie hotelu Garfield. „Trzy tygodnie, pięć dni, dwadzieścia jeden godzin, pięćdziesiąt osiem minut, trzystaście sekund”.

Sir Skamielina wślizgnął się w świat zewnętrzny, zamykając za sobą drzwi, nieświadomy, że zamiast kólek i krzyżyków gryzmolił na ścianie raz po raz to samo słowo: pałączydło pałączydło pałączydło pałączydło pałączydło pałączydło pałączydło pałączydło.

Mroczny i straszny głos powiedział mu, co trzeba robić dalej. Sir Skamielina wspiął się na metrową barierkę, dzielącą ganek na dwie części (uważał przy tym, by głowy nie obijały się za bardzo), zeskoczył na drugą stronę, podszedł do drzwi sąsiadów z bliźniaka, zapukał i cierpliwie czekał, aż ktoś podejdzie.

Drzwi otworzyła kobieta pod czterdziestkę, spojrzała na to, co dyndało u pasa rycerza, nabrała powietrza i miała je wypuścić z płuc w postaci przeraźliwego wrzasku, lecz zanim wydała z siebie jakikolwiek dźwięk, kryształowy miecz zanurzył się aż po rękojeść w jej gardle. Sir Skamielina wepchnął krwawiące ciało z powrotem do wnętrza domu, a potem wszedł i zamknął drzwi za sobą. Po paru sekundach ciężki łoskot wstrząsnął małą platformą ganku. Ktoś stęknął. Krew rozbryzgnęła się na szybie frontowych drzwi od wewnętrznej strony. W chwilę później dziecięca dłoń zasunęła żaluzje.

Nad gankiem, na skraju rynny, przysiadł duży, czarny motyl; trzepotał skrzydłami, ale nie odlatywał.

28

Zamiast pójść do domu - to już nie był jego dom, gdy zabrakło Cheryl; to było tylko miejsce, gdzie spał i jadł - Ben poszedł na dawny cmentarz przy starej siedzibie władz hrabstwa. Chciał rozjaśnić sobie w

głowie. Było to smutne, żalosne miejsce, ale Ben czuł się z nim związany, od czasu gdy w szkole średniej pracował tu na pół etatu jako pomocnik dozorca. Pomagał porządkować teren i grzebać mieszkańców miasta oraz bezdomnych, których ciała zwożono z całego hrabstwa. Było tu kiedyś ładnie. Ben próbował to sobie przypomnieć.

Siedziba władz spłonęła w 1969 roku, a cmentarz popadł w ruinę. Teraz zmarłych identyfikowały tylko liczby wyryte niestarannie na obłazących, potrzaskanych kamieniach nagrobnych: 107, 122, 135 i tak dalej. Ben wiedział, że jego wyprawa w to miejsce świadczy o niezdro- wych zainteresowaniach, ale jednak przyszedł, choćby po to, by przy- pomnieć sobie, że są na świecie gorsze rzeczy niż być trzydziestosześcioletnim wdowcem i tkwić po uszy w długach. Kilka samotnych chwil z bezimiennymi zmarłymi i nagle pusty dom i jeszcze bardziej puste łóżko przestają się wydawać aż taką katastrofą.

Szedł przez chaszczę, między zużytymi prezerwatywami i potłuczonymi butelkami, wpatrując się w znaki na kamieniach.

76... 85... 93...

Nie musiał nawet patrzeć - na pamięć znał rozkład cmentarza i mógłby prawdopodobnie wymienić kolejne numery nawet wyrwany ze snu. Gdyby mógł spać.

Zatrzymał się i spojrzął na kamień tak stary, pokruszony i zwietrzały, że cyfr nie dało się już odczytać.

Pewnego dnia wszystkich nas to czeka, pomyślał. Oczywiście, na końcu pożegnają cię żałobnicy - przyjaciele, rodzina, dawni ukochani, którzy, jak sądziłeś, już o tobie zapomnieli, może sympatia z dziewiątej klasy, zgromadzą się i zapłaczą, a po wszystkim będą gadać i wspominać:

„Pamiętam, jak on...”. Twoje rzeczy trafią między ludzi lub w ogień, twoje zdjęcie zostanie przesunięte na ostatnią stronę zakurzonego albumu, a w końcu ci, których pozostawiłeś, również umrą i nie będzie nikogo, kto by pamiętał twoją twarz, twoje drugie imię czy choćby miejsce, gdzie znajduje się twój grób. Pory roku będą się zmieniały, żywioły wezmą się do pracy, deszcz, upał, mróz i śnieg wygładzą napisy na nagrobku, aż staną się nieczytelne, a później po dniach, tygodniach, dekadach ktoś przypadkiem spojrzy w dół i zobaczy niewyraźne słowa i daty i powie po cichu: „Ciekawe, kto tu jest pochowany”, po czym wróci do swoich spraw, usiłując zapomnieć, że sam stanowi część tego przygnębiającego cyklu i że jego byt zakończy się podobnie. Nie zostanie nikt, kto mógłby powiedzieć: ten mężczyzna był ważny, ta kobieta była miła, to, do czego dążyli, było szlachetne. A potem co się stanie? Jaki sens, jaki cel ma to wszystko? Marzyłeś, kochałeś, walczyłeś z przeciwnościami, płakałeś, ciężko pracowałeś, okazywałeś współczucie, a na końcu czekają cię tylko piach, zgnilizna, ciemność.

Pomyślał o Cheryl i o pięknym miejscu na miejskim cmentarzu w Cedar Hill, gdzie był jej grób. Przełknął głośno dwa razy, nie chcąc wspominać nocy, kiedy umarła wraz z nienarodzonym synem.

(Wyraz twarzy Billa i Goldsteina, gdy Ben otworzył im drzwi; wydawało się, że oczy Billa aż się zapadły, gdy mówił: „Chcemy wejść, Ben. Coś się stało i... Boże, nie wiem, jak to powiedzieć”).

Ben miał wtedy trzydzieści trzy lata i właśnie awansował na detektywa. Spodziewali się pierwszego dziecka po trzech nieudanych próbach zakończonych poronieniami. To miał być dla nich początek lepszego życia. Powinien być. Zastanawiał się, ilu z tych zapomnianych

zmarłych budowało swoje życie na niepewnych fundamentach tego, co powinno być.

Podniósł wzrok, słysząc odgłos kroków, i przez chwilę wydało mu się, że dostrzegł postać, która mogła być Rasputinem, Jezusem Chrystusem lub Charlesem Mansonem. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył koloratkę i uświadomił sobie, że to tylko Wielebny ze schroniska.

- Witaj, Wielebny.

- Witaj, Ben - odparł duchowny. - A mnie się wydawało, że tylko ja tu przychodzę, by podnieść się na duchu.

Ben wpatrywał się w niego.

- Czy to żart?

- Niezbyt dobry, ale tak. Jak ci się wiedzie? Ben pokręcił głową.

- To była długa noc.

- Tak też myślałem, oglądając poranne wiadomości. Nie to miałem na myśli. Chodziło mi o to, jak się czujesz akurat dzisiejszego dnia.

Ben przechylił na bok głowę i badawczo spojrział na twarz rozmówcy.

- Chodzi o...?

- Chodzi mi o rocznicę śmierci Cheryl.

Ben zastanawiał się przez chwilę, lecz nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek mówił o tym Wielebnemu. Ale oczywiście pisały o tym gazety, więc pewnie czytał o tej sprawie i mógł zapamiętać datę. Znany był z tego, że ma doskonałą pamięć.

- Prawdę mówiąc, czuję się podle, ale dziś jest tyle roboty. Kapitan dał mi półtorej godziny na odpoczynek, a potem muszę wracać do pracy.

- Ile czasu ci zostało? Ben spojrział na zegarek.

- Jakieś czterdzieści minut. Wielebny się rozejrzał.

- Więc żeby rozjaśnić sobie w głowie, przychodzisz tutaj?

- To lepsze niż upić się do nieprzytomności.

- Prawda. Posłuchaj, Ben, wiem, że nie jesteś szczególnie religijny, ale jeśli kiedyś odczujesz potrzebę porozmawiania z kimś, kto nie będzie próbował cię nawracać czy coś w tym stylu, wystarczy, że zajrzysz do schroniska. Nie musisz się wcześniej umawiać.

- Dziękuję, Wielebny, ale nie... a właściwie, jak o tym teraz myślę, to może kiedyś skorzystam z tej propozycji.

Wielebny uściskał mu dłoń.

- Już się cieszę na to spotkanie.

Ben puścił dłoń duchownego i wtedy przyszło mu coś do głowy.

- A co Wielebny tu robi?

- Odmawiam modlitwy za to miejsce i za tych, którzy są tu pochowani. Ich imion nikt nigdy nie pozna i to łamie mi tę resztę serca, jaka mi pozostała. Ciągle rozmyślam o tym, co powiedział grecki filozof Symonides: „Umieramy po raz drugi, gdy ludzie o nas zapominają”.

- Szerokim gestem wskazał na nieoznaczone groby. - Jeśli się nad tym zastanowić, te biedne dusze tu pogrzebane umarły nie tylko dwa razy - brak imion na nagrobkach to trzecia forma śmierci. Załamuje mnie to, gdy zbyt długo o tym myślę. - Przez kilka chwil patrzył w dal na coś, co tylko on był w stanie zobaczyć, ale nagle się otrząsnął z melancholijnej zadumy i uśmiechnął się. - Zostawię cię własnym myślom.

- Jak Wielebny się tu dostał? To przecież daleko - zapytał Ben.

- Podjechałem schroniskowym mikrobusem. Zaparkowałem po drugiej stronie cmentarza. No, muszę już wracać. - Położył Benowi dłoń

na ramieniu. - Aż trudno mi sobie wyobrazić ten horror, jaki zastałeś w restauracji, ale, jak mówiłem, jeśli musiałbyś z kimś nieoficjalnie porozmawiać, z kimś, kto potrafi dochować tajemnicy, wpadnij, dobrze?

- Dziękuję, Wielebny. Doceniam ten gest.

Duchowny odwrócił się i odszedł. Ben obserwował go przez mniej więcej minutę, nim postać Wielebnego stała się tylko odległą plamą. Spotkanie z Wielebnym zawsze wytrącało z równowagi. Miał długie do ramion, falujące czarne włosy, ciemną brodę, upstrzoną gdzieś siwizną, i przenikliwe oczy - wyglądem przypominał Rasputina, Chrystusa czy Mansona. Podczas rozmowy trudno było utrzymać z nim kontakt wzrokowy - miało się wrażenie, że jeśli przez dłuższy czas będzie ci patrzył w oczy, zdoła zajrzeć w najgłębsze, najbardziej intymne rejony twojej duszy. Może dlatego burmistrz i rada miasta nigdy nie odmawiali mu, gdy o coś prosił - bali się w te oczy spojrzeć.

Ben prawie się uśmiechnął; chciałby, żeby komenda policji w Cedar Hill wzbudzała tyle strachu i szacunku.

I wtedy to zobaczył.

Parę metrów od niego na wyszczerbionej płycie nagrobnej przysiadł czarny motyl. Nie jego kolor przyciągnął wzrok Bena, lecz jego bezruch. Skrzydła nawet nie drgnęły. Gdy Ben przyklęknął, by mu się bliżej przyjrzeć (Cheryl uwielbiała motyle), zauważył, że motyl nie jest całkiem czarny - cienki biały pasek okręzał jego ciało tuż pod czułkami. Wyglądało to niemal tak, jakby zwierzę miało cieniutką obrozę. Ben zachichotał pod nosem na absurdalność tego porównania.

Znieruchomiał na chwilę. Lewe oko mu drgało. Przycisnął je palcem. Uspokoilo się. Zbliżył do motyla twarz i dmuchnął mu w skrzydła...

...ale nie poruszyły się. Ani o milimetr.

Spojrzał na nagrobek:

„Emily Sue Modine

Ukochana żona Henry'ego Modine'a

Matka Williama i Patricii

Urodzona 13 lipca 1960, odeszła 3 września 1993”

- Skąd się to wzięło? - szepnął. Poczł zimno. - Nie było cię tu ostatnio.

Patrzył i nie dowierzał. Mrugał, by się przekonać, że to nie przywidzenie, a potem znów przeszedł przez cały cmentarz.

29

Stan Roth wyłamywał sobie palce, patrząc to na monitor komputera, to na stosy wydruków, rozrzuconych po całym biurku.

- Pieprzyć to, i tak zamierzam spróbować - postanowił.

Wywołał Ostatnią Deskę Ratunku, program, który sam stworzył kilka lat temu. Z ODR korzystał w ostateczności. Do programu wprowadzało się całą dostępną informację, w tym wypadku odbitki kciuka z okna i te pobrane z teca - 9, a otrzymywało hipotetyczny obraz całej dłoni. Dwuczęściowy program zrodził się z rozpacz przed pięcioma laty, gdy w czasie prawie spartaczonego śledztwa w sprawie morderstwa, z ciała ofiary pobrano tylko dwa fragmenty odcisków palców. System, jakim Stan wtedy dysponował, za cholere nie potrafił uporać się z takimi niepełnymi danymi. Więc Stan, wykorzystując swoje własne modyfikacje zbiorów z Narodowego Centrum Informacji Kryminalnej, wymyślił dwanaście początkowych równań kombinacyjnych i wprowadził obie częściowe odbitki, uwzględniając wszystkie zmienne, jak kąt przyłożenia palca,

punkty identyfikacyjne i tak dalej. Bardzo się przy tym stresował, kilkakrotnie zabrnął w ślepią uliczkę, a mnóstwo rezultatów zaprowadziło go na manowce. W końcu jednak skonstruował trzy przyzwoite aproksymacje dłoni podejrzanego. Wykonał ich trasowanie, potem to sfotografował, przeprowadził redukcję i skonfrontował z bazą danych. Dostał dwunastu podejrzanych. Przekazał informacje policjantom. Zgarnęli podejrzanych, a numer cztery okazał się mordercą.

Przez następne miesiące Stan chodził bardzo dumny z siebie, choć nie na tyle, by zaniedbać dalszą pracę nad programem.

- Nie możesz mnie teraz zawieść - szepnął do siebie i zachichotał.

Wprowadzał punkty identyfikacyjne, zaznaczone na pierwotnej odbitce. Wraz z każdym punktem pojawiał się jego kod w systemie: P - dla zwykłego wiru, PI - dla wiru z ze złączeniem wewnętrznym, X - dla wiru złożonego, XO - dla wiru ze złączeniem zewnętrznym, D - dla wiru dwupętlicowego, DI - dla wiru dwupętlicowego ze złączeniem wewnętrznym, AA - dla łuku, a TT - dla łuku namiotowego. Potem doszła klasyfikacja promieniowa i łokciowa: łokciowa 12 (ze względu na dwanaście bruzd); promieniowa 63 (trzydzieści bruzd plus pięćdziesiąt).

Zanim po raz pierwszy uruchomił program, z dwunastu równań usunął dziewięć - te odpowiadały przede wszystkim za wzorce linearne. Pozostałe trzy miały modelować zależności między elementami nieliniowymi i nieproporcjonalnymi, takimi jak osiem różnych wzorców linii papilarnych istniejących jakoby na tej samej dłoni. Te równania zostały specjalnie stworzone po to, by poddać obróbce cechy, które podczas wstępnej, pobieżnej analizy zwykle się pomijało. Program pomagał wprowadzić pewien ład, jeśli strumień danych był bardzo nieuporząd-

kowany. Roth miał nadzieję, że tak będzie i tym razem.

Gdy wszystko załadował do systemu i dla pewności dwukrotnie sprawdził wzorce kodowe, przydzielił do każdego z dziewięciu odcisków główne punkty identyfikacyjne. W wypadku kciuka był to wir w postaci kieszeni centralnej. To miało dać komputerowi punkt odniesienia dla każdej odbitki i umożliwić tej pierwszej sekwencji wygenerowanie serii punktów na hipotetycznej ciągłej krzywej. Na wydruku cyfry i litery miały reprezentować wszystkie krzywe z każdego odczytu:

Pierwsze przeszukanie przy zastosowaniu pierwszego równania - wynik 0 - CM.

Pierwsze przeszukanie przy zastosowaniu drugiego równania - wynik 10 - X.

Pierwsze przeszukanie przy zastosowaniu trzeciego równania - wynik 0 - DI.

- No cóż, przynajmniej próbujesz - powiedział Stan. Usiadł wygodniej, gdy komputer analizował wszystkie możliwe kombinacje odcisków i kodów, szukając podobieństw nawet bardzo słabych, które mogły się kryć w danych.

Kody pojawiły się zadziwiająco szybko. 0 - CM, 10 - X, 0 - DI; 4 - P, 12 - AA, 0 - PI; 9 - XO, 20 - TT, 0 - CM; 16 - XO, 36 - P, 2 - D; 30 - PI, 66 - C, 7 - AA; 54 - D, 115 - X; 93 - TT, 192 - DI, 74 - CM...

Dwadzieścia minut później otrzymał oznaczenia kodowe ponad tysiąc kombinacji; dokładniej: tysiąc sto piętnaście.

Bułka z masłem.

Kazał komputerowi nałożyć i przeanalizować wszystkie wtórne punkty identyfikacyjne, które nie pokrywały się ze strumieniem tamtych

trzech równań. Procesorowi zajęło to około sześciu minut. Gdy program zakończył działanie, liczba możliwych kombinacji została zredukowana do czterystu czterdziestu dziewięciu. Hurra!

Teraz sama przyjemność.

Dodał ostatnią porcję danych. Jeśli coś miało pochrzanić wyniki, to właśnie to.

Przypomniał sobie grafikę Eschera *Wodospad*, gdy polecił komputerowi działać przy założeniu, że nie mogą powstać żadne punkty nieciągłości w nieprzystających wzorach na dłoni, ponieważ nie było przerwy w liniach między dwoma nieprzystającymi wzorami na kciuku.

Potem kazał komputerowi, żeby po pierwsze: paliczek przy nasadzie palca wskazującego (Wzgórek Jowisza, symbolizujący pewność siebie) był bardziej wydatny od innych, a po drugie: żeby Wzgórek Księżyca u nasady dłoni (agresja) oraz Wzgórek Marsa (beztroska, bo to arogancki skurwiel z manią wielkości) też były wydatne.

Stan wyłamywał sobie palce, a potem przygryzł dolną wargę, wstrzymał oddech i nacisnął „Enter”.

30

Arliss Hamilton doszedł później do wniosku, że to musiało się zacząć - tak jak wszystko - od nasion.

Około dziewiątej rano do sklepu wszedł mężczyzna z dużą torbą z brązowego papieru. Przez chwilę tracił pieniądze na fliperze i zagadywał paru grających klientów. Arliss stał za kasą i obserwował ich wszystkich.

Od wpół do dwunastej wieczór do wpół do dziesiątej rano Arliss Hamilton był ich dozorcą, obserwatorem, wartownikiem. Mieli zmęczone, nabiegłe krwią oczy, nałogowo palili papierosy bez filtra i nigdy na siebie

nie patrzyli. Umarli duchem zachodzili do tego sklepu po batoniki, piwo, zimne przekąski, a czasem tylko po to, żeby pograć na fliperze. Nigdy się nie uśmiechali, nigdy nie stali wyprostowani, bez względu na płeć. Powłócząc nogami, wynurzali się z ciemności w ten dom światła, robili zakupy i znów wchodzili w mrok, który był dla nich swojski jak ganek własnego domu. Arliss często im współczuł i marzył, by mógł w jakiś sposób im pomóc.

- Nie chciałby pan kupić nasion kwiatów?

Arliss wyrwany z zadumy, spojrzął na mężczyznę, który stanął przy kasie. Spodziewał się, że poczuje od niego alkohol, ale zaskoczył go zapach talku. Ubranie miał znoszone, ale zadbane, policzki zapadnięte i właściwie powinien się ogolić, ale Arliss wiedział, że facet nie ma na to czasu, bo cały dzień jest zajęty.

- Dla kogo pan to sprzedaje?

- Dla swojej córki - odparł (wymawiając „sorki”). - Należy do skautów i, rozumi pan, organizują zawody, kto więcej sprzeda, ten wygra hulajnogę.

- Hulajnogę?

Mężczyzna wyraźnie się zaniepokoił pytaniem Arlissa.

- Wiem, psze pana, że to wygląda jakoś dziwacznie, że tu przychodzę teraz, coby sprzedać nasiona kwiatów, ale ona ostatnio dużo chorowała i... no, nie wychodzi jej tak dobrze, jak przedtem, a ja nie chcę, żeby znowu przegrała, rozumi pan?

Arliss rozumiał. Uwierzył mężczyźnie. Przekonało go to „znowu”. Nie: „Nie chcę, żeby przegrała”, ale: „znowu” - to Arlissowi wszystko wyjaśniło. Stał przed nim człowiek, który prawdopodobnie strasznie

ciężko pracował przez całe życie, żeby utrzymać rodzinę, ale nigdy mu się nie udało dać swoim bliskim tego, czego pragnęli. Zaspokajał tylko najniezbędniejsze potrzeby, a czasami może nawet i one wymagały cię z powodu skąpych zarobków. Arliss pojął to wszystko, widząc spojrzenie mężczyzny. Gdy w człowieku jest rozpacz, w oczach pojawia się pewien szczególny błysk i widział go u sprzedawcy nasion.

- Ile? - Arliss sięgnął do portmonetki.

- Siedemdziesiąt pięć centów za torebkę. Wiem, że to może się wydawać sporo, ale...

- To w szlachetnym celu, rozumiem. - Arliss wyjął portmonetkę z tylnej kieszeni i wtedy właśnie poczuł, że ktoś go obserwuje. Jednak nie sprzedawca nasion, który zbyt się starał, by zachować resztki godności.

Arliss podniósł wzrok i zobaczył małego chłopca trzymającego coś, co przypominało zakrzywiony kawałek stłuczonej szyby. Chłopiec stał przed sklepem i patrzył prosto na niego. Przenikliwe spojrzenie przygwoździło Arlissa do podłogi. Niemal fizycznie czuł żar, który bił z oczu chłopca, przechodził przez okno, łapał prądy powietrzne i leciał w stronę Arlissa, okrążał go, skręcał się jak nawijana coraz ciasniej sprężyna i wtem, gdy nagle się rozwinęła, wkręciła się Arlissowi prosto między oczy, przez czaszkę, a gdy wlała mu się do mózgu, znów stała się płynnym żarem. Wrażenie było tak niesamowite, że omal nie stracił równowagi. Oparł się o kasę i głęboko zaczerpnął powietrza, na ułamek sekundy zamykając oczy. Gdy je znowu otworzył, chłopiec z zakrzywionym kawałkiem szkła zniknął, ale echo jego obecności pozostało.

- Dobrze się pan czuje? - spytał sprzedawca nasion.

- Co? Tak, tak, wszystko w porządku. Miałem długą nocną zmianę. -

Arliss przetarł oczy. - Chyba jestem bardziej zmęczony, niż sądziłem. Dziękuję za zainteresowanie. Proszę mi opowiedzieć o swojej córce, dobrze? - Naprawdę chciał tego posłuchać.

Sprzedawca nasion uśmiechnął się pełen dumy.

- Ma na imię Pamela.

Pamela. Jakie ładne imię. Łagodny, liryczny, nieco aksamitny śmiech, przez co wydaje się starsza, niż naprawdę jest. Może nosi okulary, jest mała, chuda, ale nie słabowita...

- Ma dziesięć lat i zapisała się do skautów po śmierci matki cztery lata temu. - Głos mężczyzny był miękki i melodyjny, jakiego nie spodziewałbyś się u kogoś o tak szorstkim wyglądzie. Arliss pomyślał, że gdyby atlas potrafił mówić, brzmiałoby to tak jak człowiek rozprowadzający nasiona w imieniu „sórki”.

Sprzedawca nasion mówił tak, jakby układał poemat dla potomności. Była tam rodzina, która często jeździ na ryby, gdy żona jeszcze żyje, matka mężczyzny, która kładzie sobie dłoń na podołku, gdy się śmieje, Pamela z zabawną minką, gdy opowiada jakąś zmyśloną historyjkę... I nowa strofa poematu z atlasu i nasion - żona umiera na raka płuc, choć nigdy w życiu nie paliła papierosów, i nowy skomponowany wers o skrywanych przez ludzi drwinach, gdy mężczyzna próbował im sprzedać skarby ze swej torby, i dźwięki, jakie wydawała sóreczka jako niemowlę... Arliss słuchał oczarowany, gdy sprzedawca nasion, starannie dobierając słowa, kończył wiersz, zamykając metrum swego życia. Jeszcze ostatnia linijka i składa słodkie, złociste, smutne, gorzkie, triumfalne wspomnienia w idealny, papierowy diament, i przekazuje Arlissowi na przechowanie.

Spojrzał na ścienny zegar.

- Przepraszam, nie chciałem zabrać panu aż tyle czasu. Ile torebek pan weźmie?

- A ile panu zostało?

- Pięćdziesiąt osiem.

- Biorę wszystkie.

Sprzedawca nasion spytał, czy mówi poważnie i Arliss zapewnił go, że jak najpoważniej, po czym wręczył pieniądze. Mężczyzna podał mu torebki, uśmiechnął się, uścisnął Arlissowi rękę i podziękował kilka razy w imieniu Pameli.

- Będzie ze mnie taka dumna.

Powinna być, pomyślał Arliss. Ze wszystkich widoków na tym świecie - dolin, świątyń, lasów, piramid czy gór - nie ma niczego równie przejmującego jak widok ludzkiej istoty, która robi coś z miłości.

Arliss pomachał wychodzącemu sprzedawcy nasion...

...odczekał, aż mężczyzna całkowicie się odwróci...

...i zwinął dłoń w pięść, wysunął palec wskazujący, podniósł kciuk, wycelował i zgiął kciuk w dół.

- Paf! - szepnął. Właśnie. Nigdy już nie doświadczysz bólu, poniżenia, nigdy nie poczujesz się przegranym. Kocham cię. Twoja sórka będzie dumna.

I wtedy z głębi jego czaszki dobiegło echo głosu, ale nie jego własnego: *Anima Christ i, sanctifica me. Corpus Christi, saha me. Sanguis Christ i, inebria me. Aqua lateris Christ i, lava me.*

Rozejrzał się, szukając wzrokiem ludzi zagubionych w ciasnych przejściach między półkami sklepu, dostrzegł ciemne półksiężyce pod ich oczami i pomyślał, jak wszyscy muszą być zmęczeni i przygnębieni, a

potem przypomniał sobie, że pod ladą ma schowane magnum kaliber 375. Wiedział, że te dwie myśli coś łączy, ale nie potrafił tego sprecyzować i wydobyć na światło dzienne. Może, gdy będzie wracał do domu...

31

Budynek głównej siedziby komendy policji w Cedar Hill naprawdę wyglądał jak dom ze starego filmu grozy. Fasada z brązowej cegły i nieużywana wieża oraz komnata na wieży skłaniały niejednego podejrzanego do przypuszczenia, że aresztanci trafiają do laboratorium szalonego uczonego, gdzie przeprowadza się na nich doświadczenia, albo - tak mogli sądzić przestępcy z wykształceniem średnim - że to londyńska Tower, gdzie kat na usługach Ryszarda III z twarzą ukrytą pod czarnym kapturem czeka przy pieńku z toporem gotowym do ciosu. W tych obawach utwierdzały solidne żelazne kraty w większości okien na górnych piętrach, wewnętrzny plan budynku z labiryntem korytarzy, porysowane drewniane podłogi, drzwi z soczewkowatymi szybami - na pewno po to, by coś za nimi ukrywać. Dodajmy do tego bardzo intensywną cytrynową woń politory, słodkawą, zatechły zapach dymu papierosowego i gorącej kawy, zbyt długo stojącej w dzbanku, oraz naprawdę nieprzyjemny fetor, o którym wszyscy mówili, że pochodzi z przestarzałych rur kanalizacyjnych. Zanim podejrzany dotarł do pokoju przesłuchań na trzecim piętrze, gotów był przyznać się do wszystkiego od drobnej kradzieży po samodzielne wywołanie dziury ozonowej - wszystko, byle go zabrano z tej przerażającej, cuchnącej budowli i przeniesiono do sąsiedniego budynku więzienia.

Ben doskonale rozumiał, dlaczego wielu skazanych na dożywotnie siedzenie w tym budynku funkcjonariuszy komendy chciało odejść na

wcześniejszą emeryturę. Jeśli ktoś spędzał codziennie dziewięć do dwunastu godzin zamknięty w tym gmachu albo w jednej z przereklamowanych wnęk, mających uchodzić za pokój biurowy, to aż dziw, że większość urzędasów czy policjantów jeszcze nie zwariowała. W tym miejscu najbardziej zrównoważony, zdrowy i pozbawiony lęków człowiek dostawał klaustrofobii. A jeszcze wszędzie te kamery - i paranoja gotowa. To nie było kojące środowisko pracy. Przebywając tu, Ben czuł się zwykle osaczony. A już na pewno czuł się tak teraz.

Goldstein podniósł wzrok znad transkryptu notatek głosowych Bena.

- Niech pan powtórzy.

- Na dawnym cmentarzu przy starej siedzibie władz hrabstwa pojawiło się piętnaście nowiuteńkich nagrobków. Znam to miejsce na pamięć, często tam zaglądam, i mówię panu, przysięgam, kapitanie, tydzień temu ich nie było. Na tym cmentarzu nikogo nie grzebie się od sześćdziesiątego dziewiątego roku, kiedy spłonął budynek.

- Sześćdziesiąty dziewiąty to dla miasta zły rok, jeśli chodzi o pożary. - Goldstein oddał Benowi dyktafon. Potem zdjął okulary i pomasażował sobie zmarszczkę między brwiami. - Czy nazwiska z nagrobków pasują do którejś z ofiar masakry?

- Nie.

- A więc jest o sześć nagrobków więcej niż ciał i... niech pan na mnie nie patrzy w ten sposób, dobrze? Zgadza się, że to wygląda na coś więcej niż zbieg okoliczności, ale burmistrz i szef będą chcieli solidniejszych dowodów, nie wspominając o woźnych z ratusza. Cholerna stuknięta banda.

- A co ustalił Roth?

- Ciągłe analizuje ślady z monet i teca - 9, ale badanie samej broni jest bezcelowe. Ani numeru seryjnego, ani fragmentów skóry, ani krwi, ani śliny, nic.

- A lekarz sądowy?

- Powiedziano mi, że wyniki będą przed dziesiątą. - Goldstein potarł dłońmi twarz, potem oparł się łokciami o biurko. - Niech pan będzie łaskaw zamknąć te cholerne drzwi.

Ben spełnił życzenie szefa.

- Gdzie Bill?

- Kończy pracę na miejscu zbrodni. Powinien tu wkrótce być. Mam nadzieję.

Usiadł na krześle w pobliżu biurka Goldsteina. Po dłuższej chwili milczenia kapitan podniósł twarz znad dłoni i spojrzał na Bena.

- Co takiego? - spytał.

- Dobrze się pan czuje?

- Czemu pan pyta? Chce mi pan powiedzieć coś przygnębiającego?

- Ja...

- Proszę na to nie zwracać uwagi. Co takiego?

- Nie chodzi o nazwiska na nagrobkach... choć to i tak mnie nieźle zdenerwowało. Ale o ich liczbę.

- Sprawdził pan nazwiska?

- Wpuściłem do systemu, zanim tu przyszedłem. Przy odrobinie szczęścia powinienem coś dostać w ciągu godziny.

- Zakładając, że to nazwiska prawdziwych ludzi, a nie coś, co nam podrzucił, żebyśmy tracili czas.

- Przyszło mi to do głowy... tylko że napisy wyryte w kamieniu są

zniszczone. To znaczy wyglądają tak, jakby tam były od dawna. Proszę pana, mógłbym spytać, czy nasz termin uległ zmianie?

- Jeszcze nie, ale próbują znaleźć wymówkę. Coś pan mówił na temat liczby nagrobków.

Ben wziął głęboki oddech, wstrzymał przez chwilę powietrze, po czym je wypuścił.

- Gdyby było tylko trzynaście nagrobków, to by odpowiadało liczbie ciał, z jaką mamy do czynienia. Ale jest piętnaście, a to... mnie martwi.

Goldstein siadł głębiej na krześle.

- Myśli pan, że on mógł zabić jeszcze dwie osoby, o których na razie nie wiemy?

Ben skinął głową.

- Albo to, albo chce nam w ten sposób powiedzieć, że zamierza je zabić.

Przez chwilę Goldstein obgryzał sobie paznokieć kciuka - chyba wszyscy, którzy pracowali w komendzie nabrali tego zwyczaju. Potem odsunął rękę od ust i zapalił papierosa.

- Mogę zrozumieć, w jaki sposób doszedł pan do tego wniosku. Trudno uznać za zbieg okoliczności, że coś takiego wydarzyło się akurat teraz. Więc powiedzmy, że to nie wybryk licealistów ani nie jakieś otrzęsiny braci studenckiej z Uniwersytetu Denisona, która usiłuje być dowcipna. Załóżmy, że ma pan rację. Załóżmy, że zabójca jest rzeczywiście odpowiedzialny za nagłe pojawienie się tych nagrobków... od razu panu mówię, że Faceci w Garniturach ani przez sekundę w to nie uwierzą... ale tu, między nami umówmy się, że to prawda, że zabójca chce nas poinformować o planowanym morderstwie kolejnych dwu osób. Co

możemy zrobić poza czekaniem na pojawienie się trupów?

- Nie cierpię tego.

- Widzi pan uśmiech na mojej twarzy? Nie znoszę myśli, że jedyne, co możemy zrobić, to wysłać wszystkich policjantów i ludzi z biura szeryfa, żeby jeździli w kółko i wypatrywali podejrzanych sytuacji. Nie szukamy igły w stogu siana, szukamy cholernego ducha w domu, w którym straszy.

Odezwał się telefon komórkowy Goldsteina. Kapitan sprawdził, kto dzwoni i odebrał połączenie.

- Stan, miło cię słyszeć. Właśnie... tak, wiem, wiem, ale... proszę, nie krzycz na mnie, tylko mi powiedz... - Przygryzł dolną wargę i zamknął oczy. Nawet ze swojego miejsca Ben słyszał wściekły i podniecony głos Rotha.

Goldstein otworzył oczy i westchnął. Górna warga drżała mu nieco.

- Skończyłeś swoją tyradę? Co? Nie, Ben jest tutaj, Emerson nadal na miejscu zbrodni. Nie, czytamy sobie na głos *Wichrowe Wzgórze* i popijamy szampana... a co myślisz? Och, mógłbym? Tak, też przyjdzie, właśnie mówił, jak bardzo mu brakuje twojego dziwnego poczucia humoru i uroczego... - Odsunął słuchawkę od ucha. - Rozłączył się. Niech pan sobie wyobrazi. - Spojrzał z niedowierzaniem na telefon, włożył go do wewnętrznej kieszeni marynarki i wstał. - Serdecznie nas zaproszono, byśmy dołączyli do Charlesa Fostera Kane'a w Xanadau. Proszę powstrzymać radosne podniecenie. Sądząc po jego głosie o sile trzystu siedemdziesięciu siedmiu decybeli, coś jest nie tak. Każdy weźmie swój wóz na wypadek, gdyby jeden z nas musiał pośpiesznie stamtąd wyjechać.

Gdy tylko weszli do laboratorium, powitała ich Maureen Cahill. - Macie ze sobą ząbki czosnku i krucyfiks? Goldstein uśmiechnął się do niej.

- O, nie.

- O, tak - powiedziała Maureen. - Uważajcie na siebie. Znów ma te swoje humory.

- Który humorek? „Nie jestem już w tym tak dobry” czy: „Jestem w tym tak cholernie dobry, że aż sam się boję?”

- Coś pomiędzy. - Wskazała przez ramię na zamknięte drzwi gabinetu Stana. - Lepiej już wchodźcie. Niepokoi się.

Przechodząc, Goldstein położył jej dłoń na ramieniu.

- Maureen, on na panią nie zasługuje.

- Jak prawie żaden śmiertelnik.

- Musimy coś zrobić z tym pani nadmiernym poczuciem własnej wartości.

Ben już miał ruszyć za kapitanem, ale Maureen go powstrzymała.

- Ach, posłuchaj, ja... - Wahala się przez chwilę, przyłożyła sobie dłoń do policzka, potem do czoła.

- Dobrze się czujesz?

- Dobrze. To była długa noc. Stan wyrwał mnie z łóżka za kwadrans piąta.

Ben spojrział na zegarek.

- Chryste. A jadłaś przynajmniej śniadanie?

- Zaszłam do Sparty. Robią tam dobre śniadania i mieli świeże pączki. Wróciłabym wcześniej, ale facet, który stał ze mną w kolejce

nalegał, żebym wysłuchała dowcipu, jaki mu opowiedziała jedna z kel-
nerek. - Wsłuchiwała się w siebie przez chwilę, patrząc na wszystko i na
nic konkretnego. - Ech, nie mogę sobie teraz przypomnieć. Coś o Jezusie
na plaży. - Wzruszyła ramionami. - Muszę być zmęczona. Głowa mnie
rozbolała i w uszach mi szumi.

Ben spojrział na drzwi gabinetu Stana - stał tam kapitan ze skrzyżo-
wanymi na piersiach rękoma i niecierpliwie tupał stopą.

- Hm, i co mógłbym dla ciebie zrobić? Muszę... - popatrzył w kie-
runku Goldsteina.

- Wybacz, Ben. Chciałam was ostrzec, że on coś znalazł. - Zerknęła
na drzwi biura, potem na Bena. - Chodzi o kilka dopasowań. Byłam u
niego, kiedy znalazł...

W tym momencie gwałtownie otworzyły się drzwi i ze swojego po-
koju częściowo wytoczył się Stan na wózku.

- Macie jakiś cholerny powód, żeby się tu kotłować?

- My również życzymy ci miłego dnia - powiedział Goldstein.

- Daruj sobie te cięte riposty, dobrze? - Ruszył trochę do przodu i
omal nie najechał kapitanowi na nogę. - Wybacz, Mały Johnie. Może
odłożyłbyś tę naradę z Lady Marion na później? Dziękuję. - Schwycił za
koła i z powrotem wjechał do gabinetu. Gonił go Goldstein, a tuż za nim
szedł Ben, uśmiechając się przepraszająco do Maureen, z miną „Powiesz
mi później”. Gdy tylko znaleźli się w środku, zamknął za sobą drzwi.

Stan siedział plecami do nich, wściekle klepiąc polecenia na klawia-
turze. Nie odwracając się, powiedział:

- Siadajcie i przez sekundę bądźcie cicho. To nie jest ani niesu-
bordynacja, ani brak szacunku, to panika, więc z góry przyjmijcie prze-

prosiny.

Przez kilka sekund Ben i Goldstein patrzyli bezradnie na stos wydruków, książek, teczek, pustych styropianowych pudełek po jedzeniu i puszek po coli. Było tam nawet kilka części garderoby, których Stan nie wyniósł do pralni. W końcu odgrzebali dwa składane krzesła. Usiedli jak najbliżej monitora, zostawiając koledze miejsce na manewry wózkiem.

Po paru chwilach Stan odwrócił się i stwierdził:

- Zacznę od rzeczy tylko dziwnych, potem przejdę do dziwacznych, a wreszcie do niesamowitych.

Goldstein sapnął i spojrział na zegarek.

- Nie mógłbyś od razu przejść do rzeczy? Właściwie nie mamy zbyt wiele czasu.

Stan pokręcił głową.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy nie wzięli was pod lupę, że tak powiem?

- Owszem, Faceci w Garniturach mają na nas oko.

- Więc na pewno zależy wam na tym, żeby się przygotować na ich pytania. I chyba bardzo się przyda znajomość właściwych odpowiedzi, więc wykażcie się cierpliwością. - Wskazał na lewą część monitora, gdzie widniały odbitki palców podejrzanego, i krok po kroku wyjaśnił im pierwszy problem odbitek, który wcześniej omówił z Maureen, podkreślając niespójność wzorów wirowych i delt. Zakończył wysuniętym przez siebie i Maureen wnioskiem, że odbitka to fałszerstwo.

Goldstein spojrział na Stana i pokręcił głową.

- Nie chcę okazać się ignorantem, ale szkolenie z daktyloskopii miałem dawno temu. Przypomnij mi, w jaki sposób fałszuje się odciski

palców?

- Za pomocą fotokopii - wtrącił Ben, nim Stan zdążył odpowiedzieć.

Mężczyzna na wózku przechylił głowę na bok i prawie się uśmiechnął.

- Jestem niemal pod wrażeniem. Mów dalej.

- Robisz fotokopię odcisków jakiegoś podejrzanego i gdy jeszcze jest ciepła, nakładasz na nią taśmę z drukarki, a po chwili odrywasz ją. Ponieważ w wielu sytuacjach toner fotokopiarki używany jest jako proszek daktyloskopijny, nikt nie zakwestionuje wyniku. Następnie przenosisz taśmę z liniami papilarnymi i przykładasz ją do dowolnego przedmiotu, gdzie chcesz, żeby znaleziono odciski. Jeśli ktoś spyta, dlaczego go oklejasz, powiesz, że chciałeś zabezpieczyć odciski.

- Bardzo dobrze, Ben. Naprawdę bardzo dobrze.

- Chwila - odezwał się Goldstein. - Nie tak szybko. Może nie pamiętam zbyt wielu szczegółów, ale wiem, że jeśli to zrobisz, ryzykujesz, że cię nakryją, gdy odciski zostaną przeniesione na folię daktyloskopijną, a potem skonfrontowane z bazą danych. To znaczy - żeby zrobić odbitkę, musisz mieć pewne punkty identyfikacyjne, ale nie mogą pasować zbyt dokładnie.

- Widzisz, pamiętasz więcej, niż ci się wydawało - stwierdził Stan. - Dlatego właśnie tak marnie ci płacą. Racja, trzeba mieć określoną liczbę punktów podobieństwa, ale nie każdy z nich musi idealnie pasować do odbitki z bazy danych. Występują różne czynniki - kąt nacisku, gdy odbitka jest pobierana od podejrzanego, położenie palca i jak gładko obraca się na powierzchni folii... Więc jak dotychczas rozumiecie?

Ben skinął głową.

- Jeden odcisk kciuka, dwa wzory wirowe, żadnego widocznego śladu niespójności, możliwe fałszerstwo.

Stan przysunął się do klawiatury.

- Tak mi się przynajmniej początkowo wydawało, aż dzięki swej nieprzeciętnej inteligencji uświadomiłem sobie, że zostało to pobrane z odcisku całej dłoni.

- Daj spokój - wtrącił Ben. - Wiesz równie dobrze jak ja, że można sfalszować także fragment odblaski dłoni, jeśli ma się odpowiednie narzędzia.

- Ba! Chyba raczej bym to jakoś zauważył.

- Wybacz, bez sensu to powiedziałem.

- Co racja to racja. Zabrałem się do tego i porównałem odciski z kartotekami w bazie danych. Nie spodziewałem się, że znajdę jakichś kandydatów, ale wyrzuciło mi dziesięciu.

Ben i Goldstein wymienili zdumione spojrzenia.

- Ile punktów identyfikacyjnych pasowało? - spytał kapitan.

- Obserwujcie uważnie. Niczego nie chowam w rękawie. - Stan nacisnął klawisz. - Hokus - pokus!

Na monitorze, po prawej stronie, pojawiło się dziesięć pasujących odblaski, zmniejszonych do wymiaru rzeczywistego palca.

- Interesujące, nieprawdaż? - Stan nacisnął kolejny klawisz. Pierwsza z odblaski została powiększona do tego samego rozmiaru co odcisk podejrzanego. - Teraz wyszliśmy z rzeczy dziwnych i wkraczamy do dziwacznych. - Nacisnął inny klawisz i dwie odblaski szybko nałożyły się na siebie pośrodku ekranu.

Goldstein zrobił wielkie oczy.

- O mój... Dopasowanie było idealne.

- Czy wiecie, jakie jest prawdopodobieństwo znalezienia czegoś takiego przy pierwszej próbie? - spytał Stan.

Ben powoli pokręcił głową wpatrując się intensywnie w obie odbitki.

- We wszechświecie nie ma chyba tylu zer. Stan uśmiechnął się ponuro.

- W takim razie to się wam bardzo spodoba. - Wprowadził ciąg poleceń, a potem odchylił się i sprawdzał reakcję gości, gdy po kolei każda odbitka była powiększana i nakładana na poprzednie. Odciski podejrzanego pozostawały z boku.

Ben aż krzyknął. Stana to nie dziwiło - wcześniej on sam tak zareagował.

Wszyscy kandydaci idealnie pasowali do siebie aż do najmniejszego szczegółu i punktu odniesienia.

Doskonale naśladowując Roda Serlinga, Stan powiedział:

- Właśnie wkroczyliście w *Strefę mroku*.

Goldstein zbliżył twarz do ekranu, przygryzając dolną wargę.

- Coś jest nie w porządku. Gdzieś tu musi być błąd. Komputer miał usterkę i po prostu wyświetlił te same odbitki, to wszystko.

Stan uniósł brwi.

- Wyciągnij kartę pierwszego kandydata - powiedział.

Goldstein szybko wpisał polecenie.

Po paru sekundach na monitorze pojawiły się dane.

Goldstein, milcząc, wpatrywał się w ekran.

- A skąd się to tu wzięło - spytał bardzo cichym szeptem. Stan przysunął się do niego, a Ben stanął za nimi dwoma.

- Gdy po raz pierwszy zainstalowano DIM i AFIS, wszedłem od razu do bazy FBI i załadowałem wszystko, co tam mieli. Jednym ze speców od daktyloskopii jest u nich niejaki Ryan Fosse. Ma nieco upiorne poczucie humoru, ale to się nierzadko zdarza wśród... osób naszego pokroju.

W każdym razie to on mi powiedział o czymś, co chłopaki i babki z FBI zestawili dla nas, tych nielicznych szczęśliwców, którzy uczestniczyli w projekcie EXCEL i mogliby się tym zainteresować.

Nazwali to „albumem rodzinnym”. Właśnie patrzycie na jedno ze zdjęć z tego albumu.

We trzech wpatrywali się w obraz i wydrukowane w prawym górnym rogu nazwisko.

„Huberty, James Oliver”

Stan znów się zaśmiał.

- Może przypominacie sobie tego faceta z San Ysidro, który urządził strzelaninę w McDonalddie.

- „Będę polował na ludziki” - szepnął Ben do siebie.

- A inni? - spytał Goldstein, głośno przełykając.

- Chcecie, żeby ich przedstawić alfabetycznie czy według liczby ofiar od największej do najmniejszej.

Goldstein przetarł oczy i ciężko westchnął.

- Dawaj.

- Cała dziesiątka pasujących odbitek pochodzi z „albumu rodzinnego”. Poza panem Big Makiem mamy Randolpha Gene'a Simmonsa, który między dwudziestym drugim a dwudziestym siódmym grudnia 1987 roku zamordował szesnaście osób i ranił cztery w Russellville w Arkansas. Potem idzie Marc Lepine, który zastrzelił czternaście kobiet i ranił

dwanaście innych na Uniwersytecie w Montrealu szóstego grudnia 1989 roku. Również z 1989 roku mamy Patricka Edwarda Purdy'ego, który zabił pięcioro dzieci i ranił dwadzieścioro ośmiu na szkolnym podwórku w Stockton w Kalifornii, dalej...

- Skończ z tą cholerną tabelą wyników, dobrze? - przerwał mu Goldstein.

- Zgoda. Za pierwszą czwórką idą: Howard Unruh, James Rupert, Theodore Bundy, Charles Whitman, ulubiony listonosz wszystkich Patrick Sherrill i ten król kłownów - John Wayne Gacy.

- I oni wszyscy... czy ty...

- Żebyście mieli pewność, przelecimy to jeszcze raz. - Stan nacisnął ostatni klawisz.

Dziesięć odbitek zostało powiększonych, przesuniętych, znowu nałożonych jedna na drugą, a wszystkie na oryginalne odciski podejrzanego.

Patrzyli na te same linie papilarne, punkt po punkcie, bez żadnych odchyień.

- Człowieku - szepnął Ben. - Masz rację, to niesamowite. Stan machnął dłonią.

- O, nie, to nie jest jeszcze część niesamowita.

- Chyba żartujesz - powiedział Goldstein.

- Oczywiście, że żartuję. Jestem znany z osobliwego poczucia humoru. - Stan pochylił się, schwycił Goldsteina za nadgarstki i popatrzył mu prosto w twarz.

- Mówimy tu o pieprzonym psycholcu, który w moim rodzinnym mieście zamordował dziewięć dorosłych osób i dziecko! Czy uważasz, że jestem tak aspołeczny, że robię sobie dowcipy z czegoś takiego? Raz w

miesiącu zabieram rodziców na obiad do Knajpy Dawnych Indian. Mogliśmy tam być, kiedy to się zdarzyło. Każdy z nas mógł tam być.

- Uspokój się. - Ben łagodnie uwolnił nadgarstki Goldsteina z rąk Stana. - Wiesz równie dobrze jak ja, że kapitan nie miał niczego złego na myśli. Gdybyś był w tej restauracji, to byś zrozumiał.

Roth gwałtownie się cofnął i głęboko zaczerpnął powietrza. Przetarł sobie oko.

- Wybacz, Al.

- Bez sensu to powiedziałem. Zapomnijmy o tym. Czy mógłbyś... kontynuować?

Stan wydobyl spod stosu papierów plastikowy pistolet na wodę o kształcie teca - 9 i podał go Benowi.

- Trzymaj go tak, jakby był prawdziwy i jakbyś chciał strzelać. Ben zrobił, jak mu kazano.

Stan wziął ołówek i wskazał na rękę Bena.

- Zobaczmy, gdzie są palce. Palec wskazujący prawej ręki jest na spuście, trzeci, czwarty i piąty - wokół rękojeści, a kłęb kciuka, czyli jego dolna część, jest mocno przyciśnięty z drugiej strony. To daje cztery wyraźne odciski i częściowy odcisk kłębu z dolnego fragmentu broni.

Teraz górny fragment - nie ruszaj palcami, dobrze? - Ten kawałek daje to samo, cztery całe palce i częściowo kłęb, tylko że dla lewej dłoni. Możesz to teraz odłożyć.

Spójrzcie na moją dłoń. Kość biegnąca do małego palca nazywa się łokciowa, a do kciuka - promieniowa. Pętlice promieniowe na odciskach palców to te, które są skierowane w stronę kciuka, a łokciowe - w stronę palca małego. Ta zasada obowiązuje bez względu na to, o której dłoni

mowa. Pętlice łokciowe występują częściej niż promieniowe; promieniowe znajdujemy najczęściej tylko na palcu wskazującym i środkowym. Wzory w postaci wiru pojawiają się na kciuku, pętlice pojawiają się wszędzie. Kierunek linii mówi nam, której ręki używał ten drań i jak trzymał broń podczas strzelania. Nadażacie za mną?

Dobrze. Wziąłem dziesięć odbitek z teca - 9, które mi przesłaliście z restauracji, i przeszukałem wszystkie bazy, jakie mam w systemie. W minutę dostaję dopasowania. Rzecz polega na tym - i dość szybko staje się to oczywiste - że gdy patrzymy na całość, odciski na pistolecie to... patchworkowe urojenie. Proszę, Al, nic jeszcze nie mów. Dzięki. Istnieje tylko osiem rodzajów wzorów odcisków, prawda? Łuk prosty, łuk namiotowy, pętlicowy lewy, pętlicowy prawy, wir prosty, wir w postaci kieszeni centralnej, wir dwupętlicowy i wir skomplikowany. Spójrzcie na te folie daktyloskopijne. Przygotowałem je, zanim do ciebie zadzwoniłem. To odciski moich obu dłoni. Jak widzicie, mam wir prosty na obu kciukach, lewy pętlicowy na palcach lewej ręki, prawy pętlicowy na palcach prawej. Tak przeciętne jak tylko może być. Istnieje mnóstwo kombinacji... ale odbiegam od tematu. Nie tylko że żaden odcisk z pistoletu nie pasuje - choć cała ósemka istniejących wzorów jest obecna - ale wydaje się, że wasz zabójca ma kciuki tam, gdzie powinien mieć palce środkowe, a do tego prawy środkowy ma na lewej dłoni, zaś lewy środkowy na prawej. Ale to i tak nie ma znaczenia, ponieważ oba środkowe palce mają różne wzorce - prawy to łuk namiotowy, a lewy to podwójna pętlica. Nawet nie próbuję wymyślić scenariusza, jak on mógł tego dokonać. Wszystko to sprowadza się do jednego: pobrane odciski, które dotychczas zbadałem, są niemożliwe. Nie możesz mieć

nieprzystających wzorów na tym samym palcu, nie możesz mieć ośmiu różnych wzorów na tej samej parze dłoni, nie możesz mieć dziesięciu różnych osób z tymi samymi skomplikowanymi wirami na kciukach i jest diabelnie pewne - chyba że pijany w pestkę doktor Frankenstein przeprowadzi szaloną operację - że nie możesz mieć kciuków, palców środkowych, pętlic i wszystkich innych cholerstw tam, gdzie ich nie powinno być. Jednak najbardziej pioruńsko gryzie mnie to, że te wszystkie rozbieżności są tak precyzyjnie odmienne. To bałagan, ale bałagan celowy, jak geometria na obrazach Eschera. - Spojrzał na monitor i znów pokręcił głową.

- A dopasowania? - spytał Ben.

Stan nabrał powietrza i w szybkim tempie wyrecytował nazwiska:

- Odciski na pistolecie zostawili Juan Corona, Albert Desalvo, Dennis Nilsen, Ed Gein, Christine Falling, Henry Lee Lucas, Joachim Kroll, i... - Odchrząknął i zabębnił palcami po nodze.

- I kto jeszcze? - spytał Goldstein. - To tylko siedem.

Gdy Stan znów się odezwał, głos miał niski, stłumiony strachem. Odwrócił się do Goldsteina i Bena.

- Zrozumcie, lubię i szanuję was obu i nigdy bym nie zrobił celowo niczego, co by mogło wam zaszkodzić w sprawach zawodowych lub osobistych. Wiem, że nie należę do najbardziej przyjaznych czy najbardziej profesjonalnych osób i że moje maniery w najlepszym razie są nieco lepsze od neandertalczyka, ale ważne, żebyście obaj wiedzieli, że was lubię i uważam za swoich przyjaciół, choć rzadko to okazuję.

- Jezu Chryste, czy w końcu odpowiesz na pytanie? - krzyknął kapitan.

Ben skinął Stanowi i przelotnie położył mu dłoń na ramieniu. Stan spojrzał na Goldsteina.

- Twój ojciec zmienił nazwisko po dotarciu na wyspę Ellis Island, tak? - spytał.

Goldstein pokiwał głową.

- On... hm... poręczało za niego małżeństwo, które mieszkało w Queens. Nazywali się Goldstein. Tamtego dnia urzędnik emigracyjny wszystko pomieszał. Tato często opowiadał, że na statkach było bardzo dużo ludzi... W każdym razie ten urzędnik się pomylił i wpisał ojca jako Dozela Goldsteina, a on zachował to nazwisko, bo jego własne było dla Amerykanów za trudne do wymówienia.

- Czy wiesz, jak brzmiało tamto drugie nazwisko? Goldstein patrzył na swoje dłonie.

- No... nie. Muszę to przyznać ze wstydem. - Spojrzał na Bena. - Nie oczekuję, że któryś z was to zrozumie, ale nie chciałem mieć nic wspólnego z tym, co w przeszłości rodziny wiązało się z pieprzonymi Niemcami. - Znow przeniół wzrok na Stana. Przez chwilę obaj mężczyźni wpatrywali się w siebie w milczeniu i każdy z nich bez słów rozumiał tego drugiego. Wreszcie Goldstein powiedział:

- Twierdzisz, że jeden z tych odcisków należał do mojego ojca?

- Czwarty palec, lewa dłoń, góra pistoletu.

Ben poczuł się tak, jakby w kiszki miał zwój drutu kolczastego, i uświadomił sobie teraz, że właśnie o tej sprawie Maureen chciała go uprzedzić.

- Inny odcisk należy do Cheryl Denise Powell - oznajmił Stan.

- To było panięskie nazwisko twojej żony, prawda Ben?

- Tak. - Zgarbił się nieco.

- Prawy palec wskazujący. Na spuście.

- Boże wszechmogący...

- Przykro mi, chłopaki. Naprawdę. Ale ich odciski były w systemie i pasują. Nie tak dokładnie jak pozostałe, ale występuje dostatecznie wiele zgodnych elementów, żeby to stwierdzić. - Zwrócił się do Ala.

- Odciski twojego ojca przeniesiono z urzędu imigracyjnego, gdy po złożeniu przysięgi obywatelskiej poślubił twoją matkę i przeprowadził się do Ohio. - Potem przeniósł wzrok na Bena. - Odciski Cheryl pobrano, gdy miała jedenaście lat i z grupą skautów zwiedzała komendę policji w Columbus.

- Nadal mam jej mundurek i odznaki za sprawności. - Ben czuł, że coś ścisną go w gardle. Spojrzał na kapitana. - To tyle jeśli chodzi o oddzielenie sprawy od mojego życia osobistego.

- Czy sądzisz, że skaczę z radości?

- Nie, proszę pana. Przepraszam.

- Tak. Ja też. - Goldstein spojrział na zegarek, potem na Stana. - Teraz musisz to przepuścić przez całą sieć?

- Muszę. Taka była umowa z naszej strony, kiedy instalowano nam system. FBI musi być informowane o wszystkich takich sytuacjach, gdy tylko wyniki są dostępne. Czy to oznacza, że federalni tu ściągają i będą wam deptać po piętach?

- Tak.

Stan nawet nie mrugnął, tylko strzelił palcami i oznajmił rzeczowym, monotonnym głosem:

- Niech to szlag! Zapomniałem sprawdzić odnośniki w bazach są-

siednich stanów. Ciągle jestem w systemie Ohio. O rany! To może potrwać całe godziny albo i jeszcze jeden dzień. Kto to przewidzi, skoro przy klawiaturze siedzi taki barwny typ jak ja.

- To ty taki jesteś?

- Taa. Dwadzieścia lat na wózku inwalidzkim wpatruję się w wydruki, objadam się żarciem na wynos, więc nic dziwnego, że taki jestem.

- Zbierz to razem i zapakuj do zaszyfowanego pliku. Czy ktoś poza Maureen i nami trzema wie o tym?

- Nie.

- I niech tak jeszcze przez pewien czas zostanie. Musimy zbierać nasze tyłki na spotkanie z panią burmistrz. Wyświadczysz mi jedną przysługę? Sporządź fotokopie oryginalnych odbitek palców i jakichś sześciu z tych pasujących, oprócz mojego ojca i żony Bena. Potem przefaksuj je do biura burmistrza. Powinny tam dotrzeć mniej więcej w tym samym czasie, co my.

Gdy Ben i Goldstein wstali i ruszyli do wyjścia, drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł jeden z funkcjonariuszy obsługujących centralę łączności.

- Przepraszam, kapitanie, ale właśnie odebraliśmy telefon. Postrzelono dwóch policjantów.

- Jezu, kogo?

- Zespół dziewiętnasty. Sanderson i Wagner.

Ben zobaczył, jak kapitan blednie, ale gdy przemówił, głos miał mocny i opanowany.

- Wyślijcie tam wszystkie dostępne jednostki.

- Ale...

- Natychmiast.
- Tak jest, ale dzwoniący...
- Natychmiast, do cholery!
- Dzwoniący powiedział, że oni nie żyją.

33

Gardła mieli rozszarpane, oczy wyrwane, powieki wywinięte do góry, w krwawiących oczodołach tkwiły srebrne monety.

Tułów Sandersona, w jakiś sposób wypchnięty przez przednią szybę, leżał na masce. Wagner został szarpnięty od tyłu z taką siłą, że jego fotel wypadł z prowadnic. W tylnym siedzeniu widniała wielka dziura, zrobiona od strony bagażnika, i przez nią Ben mógł zobaczyć, że bagażnik jest pusty.

- O Chryste - szepnął Ben. - Pies.

- Co? - krzyknął Goldstein, nadzorujący rozmieszczenie blokad drogowych i zapór. Wydawało się, że zjechali tu wszyscy gliniarze z miasta. Zszokowani, wściekli, wrzeszczeli na wszystkich i na wszystko. Ostatni wypadek zabójstwa policjanta na służbie w Cedar Hill wydarzył się dziesięć, może dwanaście lat temu.

- Pies - powtórzył.

- Więc gdzie on jest, do diabła? - krzyknął Goldstein.

Gdy sanitariusze zabierali ciała, Ben zatrzymał jednego z policjantów i spytał go, czy przez ostatnie pół godziny on lub ktoś inny nie widział dużego, czarnego psa. Oficer pokręcił głową.

Goldstein odciągnął Bena na bok.

- Czy to możliwe, że pies nie był martwy tylko ranny? Może...

- Nie, proszę pana. Był zdecydowanie martwy. Dostał pięć kul: trzy

w brzuch i dwie między oczy. Widziałem ciało. Był martwy.

Goldstein zajrzał na tył radiowozu.

- Wygląda, jakby się tu rozpieprzyła jakaś bomba.

- Kapitanie! Tutaj! - krzyknęła sanitariuszka. Podbiegli do ambulansu i wspięli się na jego tył.

- O co chodzi? - spytał Goldstein.

Sanitariuszka włożyła nowe lateksowe rękawiczki i gestem zachęciła ich, żeby zrobili to samo. Odsunęła prześcieradło i wskazała na kulę poharatanego mięsa i chrząstki w miejscu, gdzie przedtem było gardło Sandersona.

- W środku coś było.

- Mogłaby nas pani zostawić samych na parę minut? - Sanitariuszka skinęła głową, wyszła z karetki i zamknęła za sobą drzwi.

Ben wyjął pęsetę z kieszeni (czyżbyś oczekiwał, że znajdziesz tu odciski palców? - pomyślał) i ostrożnie wydobyl zwiniętą karteczkę z plastikowej torebki.

- I co? - spytał Goldstein. Ben zaczerpnął powietrza.

- Tu jest napisane: „Myślę, że pytanie o Hannibala jest dla ciebie nieco za trudne, więc spróbuj odpowiedzieć na to: Dlaczego dereń ma trzy czerwone plamy? Możesz spytać Emily Modine lub nawet Mozarta, jeśli potrafisz znaleźć jego grób. W Wiedniu szukają go od ponad dwóch wieków”.

Goldstein pochylił się i ukrył twarz w dłoniach.

- A po drugiej stronie?

- Słowa piosenki Johna Lennona *Imagine*. I podpis „Wasz Pałączydło”.

Goldstein wypuścił powietrze i usiadł prosto - jego postawa mogła niemal przestraszyć.

- Jestem policjantem od dwudziestu lat i przez cały ten czas najgorszą rzeczą jaką musiałem się zajmować, to tamte zabójstwa z broni kaliber 45, kilka lat temu. Pan wtedy jeszcze nie był detektywem, ale przypuszczam, że pan o tym słyszał. Dwa tygodnie zajęło nam wytropienie tych szaleńców. Wojna gangów. Szef był rozczarowany. Myślał, że złapiemy prawdziwego seryjnego mordercę. Już widział nagłówki w gazetach i swoje zdjęcie na pierwszej stronie. - Na twarzy kapitana zagościł przez chwilę szyderczy uśmiezek, ale zaraz zniknął. - Chyba właśnie coś takiego mamy teraz. - Przetarł oczy. - Sanderson miał wkrótce zostać ojcem. Za dwa miesiące, może trochę wcześniej. Przypuszczam, że nie zgłosi się pan na ochotnika, by zawiadomić jego żonę, że została wdową? Nie musi pan odpowiadać, to retoryczne pytanie.

Ben zamknął oczy i myślał: „...będziemy mieli dziecko... dziecko... będziemy mieli dziecko, Ben! Boże, kocham cię...”

Wsunął z powrotem karteczkę do plastikowej torebki.

- Dobrze. - Goldstein wziął od niego torebkę. - To pierwszy konkretny dowód na istnienie związku między zabójstwami a nagrobkami na cmentarzu. Mamy coś istotnego, więc jeśli o mnie chodzi, taśmy nadal nie istnieją.

- Ciągłe brakuje nam czterech ciał z tej knajpy.

- Potrafię dodawać i odejmować. Wracam do komendy, sprawdzić, czy już przysłyły wyniki autopsji. Wyślę dwie jednostki, żeby przeszukały teren cmentarza. Niech pan tam jedzie i czeka na nich. Niech pan tam zasuwa. Poślę tam też Emersona i zespół laborantów, jak tylko skończą w

knajpie. Proszę ich oprowadzić po cmentarzu. Niech pan spróbuje przypomnieć sobie trasę, jaką pan szedł dziś rano. Chcę, żeby postępowano jak na miejscu zbrodni: dowody, zdjęcia, odlewy gipsowe wszystkiego, co wygląda na odcisk buta, ślady opon. Zna pan procedury. - Pochylił się i gestem poprosił Bena, żeby zrobił to samo. - Jeśli pana o to później spytają, to niech pan mówi, że wysłano pana do zadania o tymczasowym kodzie pięć, jasne?

- Obserwacja z ukrycia?

- Faceci w Garniturach będą chcieli dostać wykaz wszystkiego, co robiliśmy od czasu zabójstwa w restauracji. Na szefie i pani burmistrz zawsze robi wrażenie kod pięć. Nie proszę, żeby pan kłamał. Proszę o zrekonstruowanie faktów w celu stworzenia bardziej użytecznej prawdy.

- Zrozumiałem.

- Poza wykopaniem ciał chcę, żeby pan zabrał z tego cmentarza wszystko, co się da, jasne? Proszę sprawdzić, czy ten drań postawił nowe nagrobki. Chcę mieć jego głowę jako osobisty nocnik... ale oczywiście nigdy czegoś takiego nie mówiłem.

- Czego pan nie mówił?

- Dobry chłopak.

Ben sięgnął ręką za głowę i pomasaował sobie kark.

34

znów myśli o swoim śnie. wiem. ja posłałem mu ten sen. to zapowiada się interesująco, ale przeczułem to, gdy go po raz pierwszy zobaczyłem.

szkoda, jego żona miała taką ładną twarz, nic dziwnego, że tak bardzo za nią tęskni.

.....
.....
*tak, mój oprawco, znalazłem następnego.
i zupełnie nic nie możesz z tym zrobić.
a może jednak?
musiałbyś wpierw okazać miłosierdzie mnie i mojemu bratu.
a ty się na to nie zgodzisz, prawda?*

.....
.....

nie. nie sądzę, żeby to coś załatwiało.

35

Po drodze do domu Arliss postanowił zajść na śniadanie do Sparty. Kelnerka uśmiechnęła się do niego znużonymi oczami - zawsze te zmęczone oczy - i podała mu posiłek. Jej bladą cerę pokrywała gruba warstwa makijażu i Arliss wywnioskował, że kobieta bardzo chciała być piękna, choć trochę piękna, choćby odrobinę. Dolewając mu kawy, opowiedziała mu dowcip, całkiem niezły, i Arliss się zaśmiał, i kelnerka również się zaśmiała, i być może w tym momencie coś między nimi zaiskrzyło, ale Arliss nie potrafił tego stwierdzić. Zbyt często śmiech błędnie uchodzi za oznakę szczęścia.

Gdy wychodził z lokalu, kelnerka życzyła mu dobrego dnia, a on jej tego samego. Na zewnątrz złożył dłoń w pięść, wysunął palec wskazujący i uniósł kciuk, celując w kobietę przez okno, ale ona tego nie widziała.

Paf!

Proszę bardzo!

Myślał: Już nigdy nie będziesz samotnie spędzała nocy, tęskniąc za

ciepłym ciałem kochanka, który by cię dotykał, leżąc obok. Już nigdy nie będziesz się musiała uśmiechać, gdy czujesz, że nie masz na to ochoty. Kocham cię. Dziękuję, że opowiedziałaś mi dowcip. Był dobry. Może opowiem go komuś, gdy będę wracał do siebie.

I mroczny, straszny głos w jego głowie zaczął mu szeptać słowa, których nie rozumiał, ale wiedział, że miały go poprowadzić: *Passio Christi, conforta me. O bone Jesu, exaudi me. Intra tua vulnere absconde me. Ne permittas me separari a te.*

Wetknął pod pachę torbę z nasionami i ruszył w daleką drogę do domu. Potrzebował dziś spaceru. Musiał zrobić plany. Miał tylko nadzieję, że mama, tato i siostra nie będą się niepokoić, że tak długo nie wraca.

Zanim doszedł do kościoła św. Franciszka przy ulicy Granville, rozsypał kilkanaście torebek z nasionami. Przy kościele zobaczył starego księdza, który przykucnął, porządkując mały ogródek przed posągiem Marii Dziewicy. Arliss przystanął, by podziwiać kwiaty.

- Są piękne - powiedział, bo były piękne. Ksiądz podziękował mu za tę uprzejmą uwagę, Arliss odparł, że to nie była z jego strony uprzejmość i że piękno jest nagrodą samą w sobie.

- To miły sposób patrzenia na sprawy - rzekł ksiądz, wracając do swojej pracy.

- Ojczy?

- Jestem monsinior.

- Czy chciałby ksiądz trochę dodatkowych nasion do swego ogródka?

Duchowny machnął ręką.

- Nie mam pieniędzy.

Arliss postawił obok niego papierową torbę.

- Nie chcę niczego sprzedawać. Chcę księdzu podarować nasiona do tego ogródka.

- W takim razie proszę wybaczyć, że wyciągnąłem pochopne wnioski, i dziękuję panu uprzejmie.

- Proszę tylko, żeby ksiądz wysłuchał mojej opowieści. Monsinior zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

- Posieję te rośliny i chyba uda mi się tu stworzyć miły ogródek - powiedział, przeglądając różne rodzaje nasion. - W takim razie proszę opowiadać.

Arliss przyklęknął obok niego i zaczął:

- Pewnego popołudnia na plaży na Florydzie, gdy wszyscy się opalali, pływali albo grali w siatkówkę, z nieba zeszła postać w powiewnej, białej szacie. Powiedziała, że jest Jezusem. Plażowicze mu nie uwierzyli i prosili, żeby im dał dowód. „Napój nas wszystkich tą butelką wody mineralnej i nakarm tymi dwoma paluszkami rybnymi!” - powiedziała jedna dziewczyna. Więc Jezus pobłogosławił te produkty i wkrótce wszyscy radośnie pałaszowali. Mimo to tłum domagał się dalszych dowodów. „Nie mogę pływać, bo kuleję na lewą nogę. Proszę, ulecz mnie” - powiedział mały chłopiec. Więc Jezus dotknął jego nogi i przywrócił jej sprawność. Ale tłum chciał więcej. „Przejdź po wodzie!” - krzyknął ktoś. Więc Jezus wsiadł do łodzi wiosłowej i odpłynął kilkaset metrów od brzegu, gdzie woda była głęboka. Wszyscy z zapartym tchem obserwowali, jak staje w łodzi i dużym palcem stopy dotyka powierzchni wody. „Robię to, by przywrócić wam wiarę” - oznajmił. „Robię to, by głód i smutek, i samotność, i ból, i rozpacz już nigdy nie plamiły waszych dusz”. Po czym

wyszedł z łodzi i natychmiast zniknął pod wodą. Gdy przyплыł w końcu do brzegu i wyszedł na plażę, wszyscy się z niego śmiali. Jezus patrzył na nich przez kilka chwil, potem zaczął się wznosić do nieba. Nim zupełnie zniknął im z oczu, spojrział w dół na tłum i powiedział: „Odczepcie się. Kiedy ostatni raz to robiłem, nie miałem dziur w stopach”.

Monsinior przygwoździł Arlissa zimnym wzrokiem.

- Nie wydaje mi się to zbyt zabawne, młody człowieku.

- Mnie też, ojcie. Sądzę, że to dość smutne. - Arliss wstał. - Może pewnego dnia ksiądz to zrozumie.

- Co mam zrozumieć?

- Że nawet największe porażki są zrodzone z miłości.

To powiedziawszy, zostawił duchownego z jego ogródkiem.

36

Monsinior przez minutę patrzył w ślad za oddalającym się Arlissem, a potem powrócił do kopania ziemi u stóp Dziewicy. Miał nadzieję, że nie dozna już więcej zawrotów głowy jak przed chwilą, gdy młody mężczyzna opowiadał mu ten obraźliwy dowcip. To dziwne, że skupione spojrzenie tego człowieka wywołało w duchownym lekką dezorientację.

Monsinior powędrował myślami do rodzin osób zabitych tej nocy w okropnej strzelaninie. Przestał zajmować się ogródkiem, przeżegnał się i zaczął odmawiać modlitwę za dusze ofiar i tych, których pozostawili.

Z wnętrza kościoła dobiegł głośny krzyk.

Monsinior błyskawicznie podjął decyzję, zerwał się na nogi, pomknął przez podwórko, potem wbiegł po cementowych schodach i przez otwartą część dwuskrzydłowych dębowych drzwi dostał się do wnętrza świątyni.

Arliss nie wiedział, jak długo idzie, do kogo się uśmiecha, komu macha ręką, z kim rozmawia. Widział tylko błysk w oczach ludzi - tę iskrę uczysz się rozpoznawać, jeśli pracujesz na nocnych zmianach. Wszyscy czegoś potrzebowali: pociechy, poczucia przynależności, świadomości, że jest się kochanym i kocha z taką samą siłą.

Arliss celował w nich. Paf! Zabierał im cierpienie, dawał pokój.

W którymś momencie przechodził obok domu, gdzie na podwórku bawiła się lalką opóźniona w rozwoju dziewczynka. Wydawała się całkowicie szczęśliwa. W jej życiu nie było bólu, który Arliss mógłby zabrać, i od razu poczuł z nią duchowe pokrewieństwo, szczególną miłość. Chciał ją objąć, ucałować w policzek, opowiedzieć jej o wszystkim, czego się dowiedział. Tylko ona mogłaby to zrozumieć, będąc znacznie bliżej Boga niż inni.

Pomachał do niej z drugiej strony ulicy, a ona się uśmiechnęła.

- Lalunia - powiedziała, unosząc w górę swój skarb. - Lalunia ma ubranko.

- Kocham cię, Laluniu - szepnął Arliss. I szedł dalej do domu.

Ojca zastał na podwórku - kuśtykał na metalowych kulach, próbując rozpalić pod grillem. Lubił szykować jedzenie na powietrzu i uważał się za wytrawnego podwórkowego szefa kuchni. Arliss stanął przy rozwalonym płocie i obserwował, jak ojciec usypuje węgiel drzewny w piramidkę, jak odmierza płynną rozpałkę, jak precyzyjnie rzuca zapałkę. Wszystkie te czynności to dla niego wielkie wyzwanie od czasu wypadku w fabryce. Sprawne ręce zmarnują się, przyczepione do kalekiego ciała, które nigdy w pełni nie wyzdrowieje. Dostrzegł Arlissa i uśmiechnął się z dumą.

- Spodziewam się, że jesteś głodny, człowieku pracy - powiedział. -
Wiem, że na dworze jest trochę zimno, ale mam dziś ochotę na grillowanie.

- Może być - odparł Arliss.

Siostra rozkładała papierowe talerze na starym stoliku do gry w karty i próbowała tak rozmieścić krzesła ogrodowe, by wszyscy mieli dość miejsca na łokcie. Ostatnio w szkole wyrzucili ją z zespołu cheerleaderek. Arliss widział, że ciągle to przeżywa.

Czy łkasz po nocach? - zastanawiał się. Czy płaczesz do poduszki, bo przecież słuchasz najnowszej muzyki, czytasz odpowiednie magazyny ilustrowane, przeglądasz książeczki w stylu *Jak zyskać sympatię kolegów*, ale weekendy ciągle spędzasz przed telewizorem z najbliższą rodziną? Czy leżąc w łóżku, marzysz, by zadzwonił do ciebie chłopak, który zauważył wszystkie twoje wysiłki i chciałby się z tobą zaprzyjaźnić?

Dziewczynka spojrzała na brata i pokazała mu język, a potem się roześmiała. Arliss zawsze potrafił ją rozśmieszyć, choć nie wiedział, jak to robi i dlaczego.

W domu matka siedziała przed telewizorem i składała świeżo upraną pościel. Przez ostatnie dwadzieścia lat całymi dniami pracowała jako prasowaczka w jedynej pralni chemicznej w Cedar Hill, a dziś miała wolne i w zasadzie robiła to samo. Wyglądała na bardzo zmęczoną, wyczerpaną i smutną, ale przynajmniej czekał na nią ulubiony program.

I co, mamó? - pomyślał Arliss. Czy masz marzenia? Tak? Wyobrażasz sobie, że pewnego dnia dopisze ci szczęście i wygrasz na loterii? Czy dlatego każdego tygodnia udaje ci się wskrobać dziesięć dolarów, by kupić los? A w twoich marzeniach, czy rodzina jest szczęśliwa? Czy

wszyscy się uśmiechamy, obejmujemy cię i mówimy ci, że pieniądze są nieważne, bo ty jesteś dla nas zawsze taka dobra? Czy o tym marzysz, prasując ubrania i wdychając parę? Czy to ci pomaga, gdy dopada cię zabójczy ból w krzyżu? Czy to cię pociesza, gdy idziesz do sklepu spożywczego, wiedząc, że twoja rodzina znów musi jeść kluski z serem trzy razy w tygodniu?

Nie wiedział, co czuł, gdy tak stał i ją obserwował. Miał nadzieję, że to nie litość. Pochylił się i pocałował matkę w policzek. Była pochłonięta programem telewizyjnym.

- Co oglądasz?

- Co? - Zerknęła na niego, potem na ekran. - Nie wiem, jakieś widowisko. - Spojrzała na swoje dłonie, wyłamała sobie palce i westchnęła. - Pamiętałeś, żeby kupić tę nową aspirynę dla taty? Wiesz, te kapsułki z flagą na etykiecie. Biodro bardzo mu dokucza i chyba tylko te pigułki mu pomagają.

Arliss wyjął lekarstwo z kieszeni i matka się uśmiechnęła.

- Och, jesteś taki troskliwy. W nocy tata mówił, jaki jest z ciebie dumny. Nigdy nie odmawiasz, jeśli cię o coś prosimy. To wspaniałe, co zrobiłeś dla nas, że rzuciłeś college, żeby pójść do pracy i pomóc nam utrzymać dom.

- Kocham cię, mamo.

- Ja też cię kocham, skarbie. A gdzie ty się właściwie podziewałeś? Zaczynaliśmy się o ciebie martwić.

- Szedłem spacerkiem. Przyjemna pogoda.

- No chyba. Składałam ubrania, odkąd wstałam. Czy to nie wkurzające? Mam jeden dzień wolny w tygodniu i spędzam go... - Pokręciła

głową i zaśmiała się, ale dość słabo. - Nie powinnam narzekać. Szczęście, że mam pracę.

Jak dziękować osobie, która się o ciebie troszczy? - spytał Arliss mrocznego głosu w swej głowie. - Nie chodzi mi o to, że cię kocha, ale że robi te drobne rzeczy - pierze, gotuje, dba, by zawsze był papier toaletowy i trochę drobnych, gdy krucho u ciebie z gotówką. Czy słowa „dziękuję ci” zdołają wytrzeć ból bezustannej pracy, która - twoim zdaniem - do niczego nie prowadzi?

Wchodził po schodach. Na ścianie na półpiętrze wisiał węglowy szkic Chrystusa. Od tak dawna był w rodzinie Arlissa, że nikt już nie pamiętał, ani skąd się wziął, ani kto go kupił. Oczy postaci ze szkicu cały czas szły za tobą i póki Arliss nie skończył piętnastu lat, starał się nie zbliżać do rysunku.

Teraz stał bezpośrednio przed nim. Nie znosił tego spokoju na twarzy Zbawiciela.

- Dlaczego? - spytał go. Powiedz mi.

Starają się, naprawdę się starają myślał. Wszyscy staramy się przeżyć i zachować wiarę w coś większego, że w końcu to wszystko do czegoś prowadzi, a gdzieś w głębi kryje się nadzieja, że pewnego dnia wygrasz na loterii może nie główną wygraną, skądże, ale tyle, by wyjść na prostą. Pierzesz ubrania, układasz węgiel drzewny, sprzedajesz nasiona dla swojej „sórki” i próbujesz wierzyć. Ale za każdym razem, gdy pogrążasz się w przyjemnych marzeniach, coś się przydarza i przywołuje cię do porządku, i okazuje się, że siedzisz w pokoju wśród mebli wymagających wymiany, ale nie możesz sobie na to pozwolić, bo, do diabła, niektóre nie zostały jeszcze splecione, podobnie jak telewizor i dom, i wszystko, co cię otacza, i

dochodzisz do wniosku, że twoje dokonania są chwilowe, ale, na Boga, powinien być jakiś cel...

- Czekam - powiedział Arliss.

Węglowe oczy wpatrywały się w niego. Rysunek nie udzielił żadnej odpowiedzi.

Lalunia nie dostanie hulajnogi, bo miłość jest porażką...

...pracować całe życie, by zapewnić byt rym, których kochasz, robić tę pozornie nieistotną, lecz w najwyższym stopniu bezinteresowną i niezwykłą rzecz. Robić to i nie prosić o nic w zamian, pracować bez narzekania, bez większej nadziei, że następna wypłata pozwoli ruszyć do przodu, w nocy odmawiać modlitwy z nadzieją, że gdzieś ktoś ich słucha, gdy prosisz o odwagę i siłę, ponieważ twoje dzieci zrezygnowały z nauki, abyś mógł wiązać koniec z końcem, a chciałbyś, żeby miały to wszystko, czego ty nigdy mieć nie mogłeś, ale teraz musi im wystarczyć coś znacznie skromniejszego, ponieważ związki zawodowe odwracają się od ciebie, gdy masz wypadek, a ludzie dalej cierpią i mają poczucie samotności, i jedyna osoba, która potrafi cię zrozumieć, rozczuła się nad swoją lalunią, więc siedzisz przed pudłem osiemnaście na dwadzieścia cali, spodziewając się, że coś dobrego pojawi się na ekranie i rozśmieszy cię, i skłoni do myślenia, że może życie nie jest takim śmietnikiem, jakim się wydaje, choć przecież jest i ty to wiesz, bo Bóg, Zbawiciel, WielkiZbawiciel, wielkizbawiciel, który cię kocha i daje ci ogrody i lalki, i broń, i telewizję, i związki zawodowe, ten wielkizbawi ciel jest również sadystą, ale nawet o tym nie wie.

Arliss wszedł do pokoju ojca i otworzył szafkę z bronią. Kiedyś ojciec co roku chadzał na polowania ze swoim bratem, ale drogi brat już tu

nie zaglądał. Ojciec zawsze dbał o strzelby, czyścił je, oliwił - w nadziei, że pewnego dnia znów zapoluje. Arliss wyjął cały arsenał - strzelby, śrutówki, pistolety, naboje - i wszystko to zaniósł do swojego pokoju.

Rozłożył broń, tak jak nakazał mu mroczny głos.

Ab hoste maligno defende me.

Załadował strzelby i pistolety.

In hora mortis meae voca me.

Ustawił naboje przy ścianie.

Et iube venire ad te...

Potem podniósł jedną ze strzelb i otworzył okno swej sypialni.

Matka wyszła na podwórko do ojca i siostry.

Arliss poczuł, jak łzy wzbierają mu w oczach.

Chciałem zabrać to wszystko i sprawić, by było lepiej. Chciałem wymazać wasz smutek i samotność. Żebyście zapomnieli o wszystkich swoich porażkach. By dać wam coś cennego i prawdziwego.

Głęboko nabrał powietrza i namierzył matkę przez lunetę.

(...tak dumny z siebie...)

Wybaczcie mi wszyscy.

Ut cum Sanctis tuis laudem te...

Chciałem was zbawić.

(...nie odmawiasz, jeśli cię o coś poprosimy...)

„Wstrzymaj oddech, tak, wyceluj, spokojnie, spokojnie, dalej...”

Tyle dla ciebie chciałem.

In saecula saeculorum...

Ale mam dziury w stopach.

Amen.

Pierwszy strzał był łatwy, wystarczyło szarpnąć spust do tyłu i odrzut uderzył mocno jak klepięcie podczas bierzmowania, broń plunęła dymem, przesłała pocałunek wielkiegozbawiciela i Arliss zobaczył wyraz twarzy matki, przez chwilę wyglądała jak...

...jak...

...jak wtedy, gdy zgubiła dwadzieścia dolarów z czeku, który zamieniła na gotówkę, żeby kupić coś w sklepie spożywczym i pamiętam, mammo, jak płakałaś, ponieważ tak bardzo bolały cię stopy w tamtym tygodniu, ale żeby zarobić te pieniądze, prasowałaś, stojąc przez trzy godziny, a teraz musiałaś z powrotem odłożyć zakupy na półkę, choć już stałaś w kolejce do kasy, i trzy godziny twojej pracy i bólu poszły na marne, ponieważ twoja rodzina nie dostała smakołyków, które chciałaś przynieść do domu, i choć byłem mały, płakałem tak mocno jak ty, mammo, i twoje łzy były nasionami, i jedno zachowałem dla ciebie...

Kula trafiła ją nieco poniżej podstawy czaszki, pocałunek od Arlissa, i padła na stół, z jej ust wypłynęło wino, ciemne wino, chodźcie tu wszyscy i pijcie z mojej czary, czara mojej krwi, która zostanie rozlana za wasze grzechy, ale siostra Arlissa krzyczała, więc...

...więc...

...więc co, jeśli na zabawie klasowej nikt cię nie zaprosi do tańca? Możesz pójść sama, wiele osób tak robi, ja zawsze chodzę sam, chcę mieć wielu przyjaciół, choćby jednego, ale ty nigdy ich nie miałaś, siostrzyczko, bo jesteś pospolita, jak ja, a świat nie przytula ludzi pospolitych do swej piersi, musimy się obejść mlekiem w proszku ludzkiej uprzejmości, więc daję ci...

...dym dwunastu czarnoczerwonych róż. Przytuliła je do siebie i

kurczowo ścisnęła - pierwsze róże, jakie kiedykolwiek dostała, krzyknęła, jej usta otwierały się i zamykały, ale dźwięk nie był przyjemny, bo nagle ojciec Arlissa - w jego głosie nie było strachu, dzielny kaleki mężczyzna - pokusił się do niej, gdy Arliss głęboko zaczerpnął powietrza i posłał...

...posłał...

...posłał mnie do sklepu w dniu moich urodzin. Wiedziałaś, jak bardzo lubię przypiekać przy ognisku ciągutki piankowe, więc poszedłem, bo czułem, że szykujesz dla mnie coś specjalnego, i kupiłem ciągutki, ale zaskoczony zobaczyłem, że wyszedłeś mi na spotkanie, i wracaliśmy do domu razem, i otoczyłeś mnie ramieniem, taki dumny ze swego syna, i wiedziałem, że będzie na mnie czekał wielki, huczący ogień, gdy przejdziemy przez drzwi, ale gdy doszliśmy do domu, z twojego ognia nic nie zostało tylko tłący się popiół i byłeś tak zawstydzony, ponieważ próbowałeś zrobić coś specjalnego i znów nie wyszło, i spojrzałeś na mnie, i powiedziałaś, moim pragnieniem...

...moim pragnieniem...

...i Arliss posłał mu to pragnienie, posłał je prosto w twarz, na całą twarz i przez twarz aż na drugą stronę, a potem pojawił się dym i żar ze strzelb, i już nic więcej, tylko spokój i cisza, i Arliss wiedział, że będzie mu wybaczone, ponieważ nawet w gorzkim dymie porażki jest piękno i spełnienie zwycięskiej miłości.

Padł na plecy. Pocił się.

Zrobił tak, jak mu nakazał mroczny, straszny głos.

Arliss ich zbawił.

Usiadł, zdjął buty i ściągnął skarpetki.

Dwie dziury były czerwone i wilgotne i doskonale wiedział, gdzie

przez stopy przybito gwoździe. Spojrzał na swoje dłonie: one również miały krwawe ślady. Z uśmiechem obserwował, jak dziury podlegają transformacji, stają się grubsze, pełniejsze, wyciągają jęzory na zewnątrz, i zrozumiał, że patrzy na coś naprawdę cudownego, że ten cud pojawił się znikąd, ponieważ dwie dziury stały się ustami i te usta szeptały do niego, ale słowa pochodziły z języka, którego nie rozumiał, więc podniósł mówiące dłonie i zakrył nimi uszy, może na tym polegała tajemnica, by zrozumieć przekazywaną wiadomość, i na wszelki wypadek złączył stopy, by usta się zetknęły i bardzo szybko ich niezrozumiałe głosy zlały się w jeden głos, mroczny i straszny, i ten głos powiedział Arlissdwi, że postąpił właściwie, ale została ostatnia rzecz, którą musi zrobić, i to natychmiast.

Sąsiedzi krzyczeli, ktoś się dobijał do frontowych drzwi. Na podwórku gromadzili się ludzie, więc Arliss schwycił najbliższą strzelbę i posłał im pokój i róże, i całusy. Z dala dobiegał wrzask samochodowych syren, a po łomocie przy frontowych drzwiach nastąpił huk i odgłos wielu kroków na schodach do jego pokoju...

...zblizali się, byli coraz bliżej, za sekundę tu będą, więc po raz ostatni odwrócił się w stronę podwórka, przesłał rodzinie pocałunek, załadował kulę w ulubiony pistolet ojca i skierował broń w stronę własnej twarzy...

...krzyczą, wołają, są coraz bliżej...

...Arliss czekał na nich, aż wejdą; musiał to idealnie zgrać... ...wziął głęboki oddech... ...drzwi otworzyły się gwałtownie...

...i Arliss ozdobił ścianę różowym kwiatem, który zawsze był w jego głowie.

In saecula saeculorum. Amen...

Z krwawej rany wylotowej na potylicy Arlissa wysunęło się ciemne skrzydło, a za nim drugie i po chwili wyłonił się czarny motyl, który wypełził przez otwarte okno.

Gdy tylko Ben wszedł do samochodu, wywołano go przez radio.

- D - 19, D - 19, masz 10 - 21, około jedenastej czterdzieści osiem. Pilne. Powtarzam, pilne.

Ben połączył się przez radio z dyspozytorem i dostał od niego numer. Wyjął swój telefon komórkowy i, przeklinając, wystukał podane cyfry.

Po pierwszym sygnale usłyszał:

- Ben? Tu monsinior Maddingly z kościoła Świętego Franciszka de Sales przy ulicy Granville. - Ben znał go od zawsze. Maddingly go ochrzcił, udzielił mu ślubu z Cheryl oraz celebrował jej pogrzeb. - Czy mógłbyś tu natychmiast podjechać? Wiem, że masz teraz pełne ręce roboty, ale... proszę, Ben. Wierz mi, to pilne. I nie włączaj syreny. Lepiej, żebyś akurat teraz nie przyciągał niczyjej uwagi.

Ben rozłączył się, ale zaraz zadzwonił do Billa Emersona i poprosił go, żeby jak najszybciej podjechał pod kościół Świętego Franciszka. Potem opuścił okno samochodu, zawołał jednego z oficerów, znajdujących się na miejscu zbrodni, i powiedział mu, żeby zebrano mundurowych i obstawiono dawny cmentarz, a on postara się do nich dołączyć tak szybko, jak tylko będzie mógł.

- Niech przy każdej z trzech bram stoi wóz policyjny - polecił. - Nikogo nie wpuszczać, nikogo nie wypuszczać, jasne?

- Tak jest.

Ben włączył silnik, zameldował się przez radio, nacisnął gaz i odjechał.

40

Stan Roth wpatrywał się w monitor. Od wyjścia Bena i Goldsteina wielokrotnie uruchamiał Ostatnią Deskę Ratunku, starając się upewnić, że nic nie sknocił. Te wyniki po prostu nie mogły tak wyglądać.

- Sukinsyn - szepnął, podjeżdżając bliżej na wózku. Ekran zgasł na chwilę, a potem w prawym górnym rogu pojawił się kod: J - 30. Oznaczało to, że komputer odbuduje odcisk kawałek po kawałku, rozpoczynając od środka dłoni. W centrum ekranu wyświetlił się kwadrat o rozmiarach rzeczywistych, a w nim wir dwupętlicowy.

- Chyba mnie cholernie nabierasz - powiedział głośno Stan i wpisał polecenie powiększenia kwadratu. To rzeczywiście był wir z podwójną pętlą. Cholerstwo wyglądało jak oczy sowy.

Sprawdził jeszcze raz kod źródłowy. To miało być pośrodku dłoni? Wywołał następny kwadrat, 1 - 29, na którym powinien znaleźć się palec wskazujący z wydatnym Wzgórkiem Jowisza.

Ale otrzymał następną sówią maskę.

Spróbował jeszcze trzykrotnie, wywołując trzy różne sekcje odbitki dłoni, i zobaczył trzy następne sowie oczy z wiru o podwójnej pętli.

Świetnie.

- W porządku, mądralo. - Nacisnął klawisz „Kontynuuj”. - Zbierz mi to wszystko do kupy, a może zdołam się zorientować, kiedy zjechałeś z szosy.

Poczynając od oryginalnego środkowego kwadratu J - 30, program rozpoczął, centymetr po centymetrze, rekonstrukcję dłoni; jeden wir

dwupętlicowy, potem następny i jeszcze następny, pierwsze trzy złożone w bezkształtną gromadę.

Następny wir dwupętlicowy automatycznie obrócił się wokół swej osi o trzydzieści stopni, a potem został umieszczony obok grupy, kolejny obrócił o trzydzieści sześć i również dołączył do pozostałych. Trwało to kilka minut, każda trójka podwójnych pętli pojawiała się na ekranie, program zmniejszał ją do rozmiarów rzeczywistych, a potem umieszczał obok poprzedniej grupy i powiększał całość, by zademonstrować, jak skupiska kumulatywnie tworzą wielką sówią maskę.

Stan zorientował się, co ogląda, dopiero gdy „dłoń” została niemal ukończona, a nawet wtedy musiał podjechać do regału, znaleźć odpowiednią książkę i przerzucić stronicę, by zyskać całkowitą pewność. Spojrzał do książki, potem na własną dłoń, a następnie na obraz na ekranie, gdzie program nadal obracał i nakładał wiry z podwójnej pętli do wcześniejszych o takim samym kształcie.

- Fraktale? - krzyknął w stronę monitora. - Pokazujesz mi pieprzone fraktale?

Komputer bipnął. Skończył pracę.

Stan gapił się w ekran, dezorientowany, odrętwiały i niemal z poczuciem klęski.

Nawet nie spostrzegł, że z tyłu podeszła Maureen. Stała za nim i patrzyła mu przez ramię.

- Cieszę się, że tak intensywnie wykorzystujesz czas - powiedziała. Stan tylko pokręcił głową.

- Więc właśnie tym się zajmujesz? - powiedziała Maureen. - Wykorzystujesz komputer do rysowania wielkiego motyla?

- Nie wiem, do cholery, co to jest, Maureen. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Wzruszyła ramionami.

- To fatalnie się składa, Stan. Tego wzorca nikt nie powinien rozpoznać jeszcze przez kilka godzin.

Schyliła się i pocałowała go, a jednocześnie wetknęła mu w tors lufę pistoletu z tłumikiem i nacisnęła spust.

Siła wystrzału odrzuciła wózek inwalidzki w tył o pół metra. Stan nadal żył, ale ledwo ledwo.

Maureen spojrzała na niego oczyma pełnymi łez.

- Też cię kochałam, ty zrzędlawy stary ośle. Przykro mi. Próbowałam. Ale porobiły mi się dziury w stopach.

Wepchnęła pistolet do ust i nacisnęła spust.

Oboje - Stan i ona - umarli w tej samej sekundzie. Stan, gdyby się chwilę nad tym zastanowił, uznałby to za poniekąd romantyczne.

Gdyż przynajmniej umarli razem.

41

Monsinior Maddingly czekał przed kościołem. Ben zaparkował samochód i z rozmachem otworzył drzwiczki, niemal uderzając Maddingly'ego w jądra.

- Jezu, monsinior, niech ksiądz uważa.

- Przepraszam, Ben, ja tylko... och, pieprzyć to! Chodź ze mną szybko, proszę.

Wbiegli po schodach, a potem przez duże, podwójne dębowe drzwi weszli do środka kościoła.

Nawet z miejsca gdzie stał, z odległości jakichś trzydziestu metrów,

Ben widział dwa ciała zwisające za szyje z belek nad ołtarzem, niczym podpórki unoszącego się między nimi złotego krucyfiksu.

Ben i Maddingly podchodzili powoli, echo ich kroków odbijało się od witraży przedstawiających świętych i proroków, pogrążonych w uroczystych, wielobarwnych medytacjach.

Oba obnażone ciała opróżniły zawartość swych kiszek na ołtarz. Zapach moczu, kału i kadzidła wywracał żołądek Bena. Spojrzał w górę na ciała i zobaczył na szyjach głębokie, krwawe zadrapania. Zadrapania zrobione w desperacji, świadczące o strachu, jakby wiszący próbowali...

- O Boże! - szepnął. - Oni nadal żyli.

Miękki snop światła słonecznego przemieniony w solidny promień przez witrażowe oczy Marii Dziewicy odbił się od srebrnych monet, którymi zastąpiono oczy obydwu trupów.

Kula nasączonych moczem odchodów odpadła z nogi jednego z ciał i rozprysnęła się z cichym „plask!” o krawędź złotego kielicha stojącego pośrodku ołtarza. Kielich wypełniony był po brzegi ludzkimi oczami.

- Czy czegoś ksiądz dotykał? - spytał Ben.

- Oczywiście, że nie - odparł Maddingly. - Poczekaj... Dotknąłem telefonu w zakrystii i lewej klamki w środkowych drzwiach - dodał po chwili.

Ben zakrył usta i podszedł do ołtarza. W gównie pokrywającym biały, jedwabny obrus, leżący na marmurze, zobaczył nabazgrane cztery litery: „Dama”

- Czy wie ksiądz, co to oznacza - spytał Maddingly'ego. - Czy to część czegoś po łacinie?

- Z niczym mi się nie kojarzy. Ale sprawdzę to, obiecuję.

Opanowanie monsiniora robiło wrażenie. Ben zszedł z ołtarza i poprowadził Maddingly'ego ku zakrystii.

- Musi ksiądz zamknąć na klucz wszystkie drzwi.
- Są już zamknięte, z wyjątkiem tych, przez które weszliśmy.
- Dobrze. Gdzie jest telefon?

Maddingly wskazał go, a Ben wezwał dyspozytornię. Nie wchodząc w szczegóły, oznajmił, że potrzebuje Billa Emersona i techników kryminalistycznych natychmiast, gdy tylko skończą pracę w knajpie. Kiedy odłożył słuchawkę, zwrócił się do Maddingly'ego:

- Z przykrością księdzu to mówię, ale musi ksiądz zawiesić wszystkie msze przynajmniej na parę dni.

- Już sam do tego doszedłem. Pozwól mi tylko zmówić pacierze nad ciałami, zanim tu wkroczycie.

Ben skinął głową i z jakiegoś powodu poczuł się zmuszony, by zapytać:

- Czy pomodli się ksiądz także za duszę zabójcy?
- Owszem. Ale gdybym mógł wybierać, wolałbym strzaskać mu kolana kijem bejsbolowym.

- W takim razie jest nas dwóch. - Ben uściśnął dłoń Maddingly'ego. - Dziękuję za telefon, monsiniorze. Na czterdzieści osiem godzin wyznaczymy jednostkę obserwacyjną na wypadek gdyby próbował zaatakować księdza lub sprzątaczkę. Będę musiał z nią pomówić, zanim przybędą inni.

- Zabrano ją do klasztoru.
- O której godzinie odkryła ciała? Maddingly spojrzał na zegarek.
- Ze dwadzieścia minut temu. Dopiero przyszła do pracy.

- Którędy weszła?

Maddingly wskazał boczne drzwi w północnej stronie kościoła, prowadzące do zakrystii.

- Ma własny komplet kluczy.

- Mówiła może, że kogoś widziała?

- Nie, nie widziała nikogo. Spytałem o to. Ja natomiast widziałem kogoś.

Maddingly opisał niedawne spotkanie z młodzieńcem, który wręczył mu torbę nasion. Ben spytał, czy pamięta, jak wyglądał młodzieniec, i ku swemu zdziwieniu odkrył, że monsinior był w stanie podać dość szczegółowy rysopis. Ale gdy powtarzał dowcip zasłyszany u młodzieńca, coś się w Maddinglym zmieniło. Tak jakby na chwilę mózg duchownego rozdzielił się na połowy: jedna opowiadała dowcip, druga przypominała sobie - albo próbowała przypomnieć - coś, co przemknęło przez jego myśli, kiedy słyszał go po raz pierwszy.

Kiedy Maddingly skończył, przyłożył dłoń do czoła i lekko się zakłósał. Ben chwycił go za ramiona.

- Dobrze się ksiądz czuje?

- Ja, hm... przepraszam. Przepraszam, chyba jestem trochę zmęczony.

Ben poprowadził go do brązowego skórzanego fotela. Obok stała szafa z rozsuwanymi drzwiami, w której przechowywano sutanny i komże. Pomógł duchownemu usiąść, a potem poszedł do toalety i nalał wody do jednorazowego kubka, który stał na półce. Gdy podał go Maddingly'emu, ksiądz wypił wszystko duszkiem.

- Dzięki. - Maddingly oddał kubek Benowi. - Nie wiem, co mnie naszło. To samo mi się przydarzyło zaraz po tym, jak tamten młody

człowiek opowiedział mi ten dowcip. Poczułem... poczułem...

- Mdłości? - spytał Ben.

- Och, nie, nie... wcale nie. Raczej... zawroty głowy i dezorientację.

Ja...

Zamknął na chwilę oczy, potem wypuścił powietrze i pokręcił głową.

- O co chodzi? - spytał Ben.

- O nic. To nie ma nic wspólnego z...

- Zaraz - przerwał mu Ben. - Z całym należnym szacunkiem, w tej chwili jest ksiądz świadkiem i muszę tak księdza traktować. A to oznacza, że nie pozwalam księdzu decydować, co jest w tej sprawie istotne, a co nie. Proszę nie zatajać niczego, bez względu na to, jak błahe czy może nawet głupie może się wydawać. Chcę wiedzieć wszystko, łącznie z tym, co ksiądz myślał podczas spotkania. Zaskoczyłoby księdza, jak często zabłąkana, na pozór niezwiązana z tematem myśl przywołuje wspomnienie o jakimś zapomnianym szczególe.

Maddingly podniósł na niego wzrok i nagle Ben ujrzał w oczach starca tę samą dezorientację, odrazę i smutek, jakie dostrzegł w nim owego ranka, gdy chowali Cheryl.

Nie myśl teraz o tym, powiedział do siebie. Po prostu... po prostu nie myśl.

- Posłuchaj, Ben, nie wiem czy...

- Czy co? Proszę, monsinior, niech ksiądz powie.

- No cóż, od kilku tygodni nie cieszę się zbyt dużą sympatią w tej parafii. Czy pamiętasz tego kapłana z Zanesville, którego oskarżono o molestowanie trzech małych chłopców?

Ben skinął głową.

- Owszem. Chłopcy przyznali później, że kłamali, i zarzuty wycofano.

- Jednak nie w tym rzecz. Chodzi o to, że przyjaźniłem się z ojcem Reynoldsem od czasu, gdy ponad dziesięć lat temu służył w tej parafii. Wiedziałem, że jest niezdolny do popełnienia czynów, o które go oskarżano, choć nie zaprzeczam, że w Kościele katolickim istnieją tacy... tacy kapłani. Wiem jednak również, że Jim Reynolds nie jest jednym z nich. Biskup, rada parafialna i większość naszej kongregacji dała mi aż nazbyt wyraźnie do zrozumienia, żebym nie zeznawał na jego korzyść, jeśli zostanę o to poproszony.

- Pamiętam - powiedział Ben. - Zgłosił się ksiądz jako osoba mająca zaświadczyć o jego charakterze.

- Tak. I chociaż ci chłopcy przyznali się do kłamstwa, jeszcze zanim Jima zdążono przesłuchać w sądzie, fakt, że zgłosiłem się na ochotnika, jakby wymalował mi tarczę na czole, przynajmniej dla co bardziej wpływowych tutejszych parafian. Nie jestem naiwniakiem. Dobrze wiem, że są tu ludzie, którzy tylko czekają, aż coś schrzanię, by mogli wnieść petycję o moje przeniesienie. Mam sześćdziesiąt siedem lat i jestem w tej parafii od lat trzydziestu. Kiedy za rok czy dwa przejdę na emeryturę, wolałbym to zrobić z własnego wyboru, a nie dlatego, że ludzie mają mnie za niekompetentnego umysłowo. Nie dbam o te bzdury związane z pozycją i Bóg mi świadkiem, że ścierałem się już wcześniej z radą, ale to by mnie... zabiło, gdybym w ten sposób stracił parafię.

- Czy to aż tak poważne, że może zaszkodzić?

- Wystarczająco poważne. I nie chciałbym, aby z tego, co muszę powiedzieć, zostały jakieś nagrania czy zapiski.

Ben wyciągnął przed siebie obie dłonie.

- Czy widzi ksiądz notatnik albo dyktafon?

- Muszę mieć twoje słowo, że to, co powiem, pozostanie w tym pokoju.

- Nie mogę tego obiecać, monsiniorze. Nie, jeśli to będzie coś, co pomoże nam złapać tego faceta. Ale obiecuję księdzu, że nie będę robił żadnych notatek ani nagrywał głosu księdza. Jeżeli się okaże, że usłyszę coś ważnego dla śledztwa, przypiszę to anonimowym źródłom.

Maddingly skinął głową.

- Dziękuję.

- Co się wydarzyło, kiedy chłopak opowiedział księdzu ten kawał?

Duchowny pochylił się do przodu i położył łokcie na kolanach.

- Jak mówiłem, przez kilka chwil czułem się niewiarygodnie zdezorientowany. Oderwany od otoczenia, jakbym nie znajdował się już całkowicie wewnątrz ciała. Myślałem, że zaraz zemdleję. Ale kiedy przyszedłem do siebie - a stało się to może po pięciu, dziesięciu sekundach - zamrugalem, popatrzyłem na młodego człowieka i... Mogę to przyrównać jedynie do czegoś, co widziałem w telewizji kilka lat temu. Oglądałem specjalny program stacji PBS o tym, jak w przeszłości pracowali twórcy filmów rysunkowych. Rozmawiano między innymi z dżentelmenem w bardzo podeszłym wieku, który pracował przy filmach *Fantazja* oraz *Królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków*. Mówił o rzeczach nazywanych „celuloidami”. Pokazywał, jak część tła może zostać narysowana na jednej przezroczystej kartce, potem na wierzchu kładzie się następny celuloide z inną częścią tła, a potem kolejny, aż mamy kilkanaście warstw celuloide, każda z nieco innym rysunkiem, a wszystkie warstwy

nałożone na siebie tworzą obrazek na ekranie.

Tak właśnie wszystko widziałem, gdy przyszedłem do siebie. Wyglądało to tak, jakby jakaś niewidzialna ręka zdierała celuloidy warstwa po warstwie, bym mógł zobaczyć, co naprawdę leży pod powierzchnią codziennego świata. Uważam się za człowieka mocnej wiary, ale gdzieś tam wewnątrz drzemie we mnie pragmatyk i sceptyk. Osobiście nie przykładam wielkiej wagi do tak zwanych „wizji” i kwestionuję prawdomówność osób, które twierdzą, że takie wizje miały - ile osób spotkało Elvisa Presleya już po jego śmierci albo ile zarzeka się, że widziało twarz Chrystusa na kartoflu. Cieszę się także, mimo podeszłego wieku, dobrym zdrowiem i nie dręczą mnie napady demencji... ale nie mogę znaleźć innego terminu niż wizja na to, co zobaczyłem w tamtej chwili. Warstwy celuloidu odwinęto, a to, co leżało pod spodem, nie wyglądało ładnie. Ani miło. Ani współczująco. Co więcej, nie wyglądało nawet ludzko. Nie mogę tego melodramatycznie nazwać „złym”, ale powiadam, że czułem taki... taki mrok poprzednio tylko raz w życiu. Ben patrzył przez chwilę na Maddingly'ego, a potem odchrząknął.

- Monsiniorze, nie chciałbym, by brzmiało to... Maddingly uniósł dłoń, uciszając Bena.

- Widzę z wyrazu twojej twarzy, że chciałbyś, bym mówił bardziej konkretnie, prawda? Doskonale.

- Kiedy zacząłem się uczyć w seminarium, w osiedlu domów na kółkach, jakieś półtora kilometra stąd, mieszkały dwie stare kobiety. Siostry Knox, Emily i Flora. W ramach naszego wstępnego szkolenia towarzyszyliśmy jednemu z księży, gdy je co tydzień odwiedzał, i asystowaliśmy w udzielaniu komunii. Emily i Flora miały samochód, ale

żadna z nich nie lubiła prowadzić, więc nie chodziły do miasta na regularne nabożeństwa, robiły to tylko podczas świąt. Były osobami żarliwie wierzącymi - wiara je określała. Czasami, gdy zbliżałem się do przyczepy, wydawało mi się, że naprawdę czuję unoszący się na wietrze żar ich religijnego zapamiętania.

Flora Knox, która miała tylko pięćdziesiąt lat, zgodziła się zaopiekować maleńkim dzieckiem swojej córki, kiedy ta odbywała trzymiesięczną karę więzienia za... zapomniałem, co to było, ale to nie ma znaczenia. To nie było zdrowe dziecko. W ciągu kilku tygodni, gdy przebywało pod opieką sióstr, przechodziło nawracającą infekcją ucha, miało ostrzegawcze symptomy astmy i dwa ataki kolki. Trzeba to przyznać, Flora i Emily robiły dla niego, co mogły i dbały o dziecko najlepiej, jak umiały. Nigdy ani przez chwilę nie wątpiłem, że je kochają i pragną jedynie jego dobra.

Nikt nie wiedział dlaczego, ale nagle siostry przestały się kontaktować ze światem zewnętrznym. Założyły nowe zamki w drzwiach i oknach, które zawsze były zamknięte, z zaciągniętymi zasłonami, a kiedy ktoś podchodził do drzwi, odprowadzały go. Pewnego dnia do seminarium zaszedł szeryf i spytał ojca Spense'a, czy mógłby z nim pójść do przyczepy sióstr. Szeryf uważał, że Flora i Emily mogą się poddać, jeśli i ksiądz, i stróż prawa zażądają spotkania z nimi.

Ojciec Spense poprosił mnie, żebym im towarzyszył. „Jedyny sposób, by nauczyć się właściwej interwencji kryzysowej, to wziąć w niej bezpośredni udział”, stwierdził. Poszedłem zatem z nimi.

Kiedy wysiadłem z samochodu szeryfa i zacząłem iść w stronę przyczepy... wiedziałem już, że cała trójka nie żyje. Ewangeliczny żar, jaki zawsze czułem tam w pobliżu, zniknął, zastąpiony przez coś... Nie wiem,

jak to opisać, wiem tylko, że mnie to przerażało. Żałosne srebrne cygaro, które nazywały domem, otaczała jakaś aura bardziej tragiczna niż zła, ale równie destrukcyjna - czy to ma sens? I wszędzie panowała taka cisza. Mógłbym przysiąc, że słyszałem nie tylko pulsowanie krwi w swoich żyłach, ale również w żyłach szeryfa i ojca Spense'a. Rzadko w swym życiu lękałem się czegoś tak bardzo, jak wejścia do tej przyczepy - ale jednocześnie nigdy nie czułem się równie żywy, równie zespoleony ze wszystkim, co mnie otaczało. To było niewiarygodnie intymne, niemal zmysłowe. Czułem robaki ryjące w glebie pod moimi stopami. Słyszałem każdy pojedynczy liść szumiący na wietrze. Spojrzałem na szeryfa i na ojca Spense'a i wiedziałem, że odczuwają wszystko w ten sam sposób. Myślę, że mógłbym złapać półmrok w dłonie i wypić go jak wodę. Przez chwilę wszystko było tak zestrojone z tą istotą tragedii, że nie zaskoczyłoby mnie, gdyby cały świat pochylił głowę i zapłakał.

Szeryf musiał wyłamać drzwi. Weszliśmy do środka.

Panował tam niewiarygodny smród. Emily i Flora najwidoczniej wmówiły sobie, że dziecko cierpiało wskutek demonicznego opętania, a nie z powodu kolki czy infekcji ucha i płakało, gdy demon zadawał mu ból. By pozbyć się złego ducha, próbowały ochrzcić niemowlę w gotującej się wodzie. Poparzone na śmierć, nadal pływało w wielkim garnku na kuchence. Kawałki skóry, jeszcze nie splukane z ciała, pokryły się pęcherzami niczym bekon przetrzymany na gorącej blasze.

A potem Flora i Emily - tak domyślałem się w owym czasie - musiały uznać, że demon opuścił dziecko w chwili jego śmierci i wszedł w nie obie. Chcąc wypędzić go ze swych ciał, wypily płyn do czyszczenia kanalizacji. Wnętrznosci bańkami wyszły im przez usta i nos - albo przynaj-

mniej tak to dla mnie wyglądało. Ich ciała były nienaturalnie napuchnięte. Pamiętam, że myślałem wtedy, że wyglądają jak para obzartych pijawek.

Mimo smrodu żadnego z nas nie zemdlilo. Przez parę minut płakaliśmy. To, co wiedzieliśmy, było straszne, żalosne, odrażające i smutne. Wywoływało smutek wszechogarniający, głęboki i niemiłosierny, rzekłbym... nieskończony.

To samo czułem, gdy spojrzałem w oczy tamtego młodego człowieka; odwijały się warstwy i zobaczyłem smutek. Pod przelotnymi migawkami brzydoty, przerażenia, agresji, zdeprawowania i ohydy odkrywałem nieskończony smutek, milion razy bardziej dojmujący od tego, jaki wzbudzały siostry Knox.

Tak to było. I wtedy młody człowiek powiedział coś do mnie o porażce i miłości, a potem odszedł. Woreczek z nasionami znajduje się dokładnie tam, gdzie go zostawił, u stóp figury Marii Dziewicy.

A teraz, Benie Littlejohn, czy mógłbyś mi powiedzieć, w jaki sposób znajomość tych faktów pomoże ci w śledztwie?

Ben pokręcił głową.

- Wybacz, monsiniorze. Moja praca polega na zadawaniu pytań.

- Rozumiem. - Ksiądz wyciągnął rękę i mocno, szczerze uściśnął dłoń Bena. - Czy mogę ci jeszcze w czymś pomóc?

- Owszem.

- A mianowicie?

Ben ponownie odchrząknął, a potem potarł sobie szyję.

- Czy mógłby mi ksiądz opowiedzieć legendę o dereniu? Maddingly przez chwilę wpatrywał się w niego.

- Dla śledztwa? Mówisz poważnie?

- Jak najpoważniej. Maddingly wzruszył ramionami.

- Właściwie istnieją dwie wersje tej legendy - zaczął. - Ta, którą opowiadam dzieciom, brzmi następująco. Kiedy ukrzyżowano Jezusa, trochę Jego krwi spadło na płatki białego kwiatu, rosnącego u stóp krzyża. Kwiat był tak zasmucony Jego cierpieniem, że zatrzymał krew na swych płatkach, by przypominać ludziom, że On próbował uchronić świat od cierpienia. Właśnie dlatego kwitnący dereń ma czerwoną plamkę na każdym ze swych płatków. Symbolizują ślady po gwoździach, które przebiły dłonie i stopy Chrystusa. Druga wersja nie jest aż tak sentymentalna, dlatego prawdopodobnie jest mniej znana.

- Dziękuję. Mam zamiar... Przerwało mu warczenie.

Niskie, gardłowe, świszczące. Spoza zakrystii, z okolic ołtarza. A potem rozległ się znajomy głos, obijający się echem od ścian głównej części kościoła.

- Ben? Ben rusz tutaj swój tyłek. Natychmiast. Głos Billa Emersona.

Ben wyciągnął czterdziestkę piątkę i wyszedł z zakrystii do nawy głównej.

Pies, znaleziony przed knajpą, siedział na ołtarzu i patrzył w górę na wiszące ciała. Kiedy usłyszał, że Ben wprowadził nabój z magazynka do komory, opuścił gwałtownie łeb i spojrzał na niego z wściekłością, a jego ciemne oczy zamgliła srebrna poświata. Ben widział wszystkie pięć wielkich, broczących krwią otworów po kulach, tam gdzie psa postrzelono, i wiedział, że pies już był martwy, kiedy przedarł się przez tył bagażnika i zaatakował Sandersona i Wagnera. Wiedział również, że pies nadal jest martwy...

...więc jak to możliwe? - zadawał sobie pytanie.

Pies odsłonił zęby i sprężył się do skoku, a Ben gotował się do strzału...

...Wtem zwierzę przywarło nisko, odrzuciło głowę w tył i wydało z siebie najdłuższy i najbardziej żalosny skowyt, jaki Ben kiedykolwiek słyszał. Był to skumulowany lament miliona zrozpaczonych ludzi, wyrzaskujących swe cierpienia w obojętną noc, sprzęgnięte z krzykami milionów niemowląt oblanych benzyną i podpalonych. Wściekła, urywana kakofonia gniewu i rozpacz z taką siłą wstrząsnęła belkami sklepienia, że złoty krucyfiks urwał się z uwięzi i z łoskotem spadł na ołtarz. Lament przybierał na sile: na witrażach pojawiła się pajęczna siatka pęknięć, na ziemię posypały się fragmenty Marii, Jana Chrzciciela, świętego Franciszka, a nawet Jezusa Chrystusa.

Maddingly, który wyszedł z zakrystii za Benem, zatkał uszy dłońmi.

Bill Emerson klęczał na kolanie i starannie celował w głowę psa.

- Daj tylko rozkaz, partnerze.

Ben czuł, jakby jego kości luźno grzechotały, gdy również uniósł pistolet i wycelował w psa...

...który przestał wyć, przełknął porcję oczu z kielicha, zeskoczył z ołtarza i zniknął między ławkami. Bill Emerson wystrzelił trzy naboje, rzucił się za psem, kiedy ten przebiegał obok niego, a potem znów wystrzelił dwa razy. Trafił bezpośrednio w psa, ale to cholerstwo nadal biegło.

Ben odwrócił się, by sprawdzić, czy z księdzem wszystko w porządku.

Organy na galerii nad głównym wejściem nagle zaczęły grać *I Don't Get Around Much Anymore*.

- Co, do...? - spytał Ben. On, Bill Emerson i Maddingly spojrzeli w górę i akurat zdążyli dostrzec, jak przez galerię przesuwa się cień tak szybko, że gdyby któryś z nich mrugnął, nie zauważyłby go.

Maddingly przekrzykiwał ogłuszającą muzykę:

- W pamięci organów zapisano dwadzieścia pięć hymnów - i to nie jest żaden z nich.

Muzyka nagle ucichła...

...niewidoczny teraz pies znowu zawył...

...a gdy tylko Bill Emerson wszedł w przejście między ławkami, z galerii wytrysnął ogień karabinu maszynowego i rozłupał jedną z belek nad ołtarzem. Złamała się na pół i oba ciała z łomotem zleciały na dół.

Bill Emerson również upadł na ziemię.

Ben wpakował trzy strzały w galerię, ale ogień karabinu nie ustawał. Ciała uderzyły o marmurową podstawę ołtarza i grad kul podrzucał nimi - wyglądały jak zwariowane lalki podrygujące w rytm muzyki.

Maddingly przywarł do drzwi zakrystii. Zrobił znak krzyża.

- Niech ksiądz wraca do zakrystii! - krzyknął Ben, kiedy ostrzał skierował się w bok i zaczął rozbijać figury świętych.

Biegiem przeskoczył niskie, wyłożone dywanem stopnie prowadzące od przejścia do ołtarza i opadł z poślizgiem na kolana obok leżącego bezwładnie nieprzytomnego partnera. Sprawdził mu puls i z ulgą stwierdził, że Bill żyje, choć został dwa razy postrzelony: w ramię i niżej, przy podstawie kręgosłupa.

Dobry Boże, spraw, żeby to nie było śmiertelne trafienie, modlił się.

- Dzwon pod 911 - wrzasnął. - Potrzebna karetka! Natychmiast! Miał nadzieję, że Maddingly usłyszy go ponad zgiełkiem.

Wziął głęboki oddech, zmówił cichy pacierz (po prostu pozwól mi dotrzeć do wyjścia), zostawił Billa i pobiegł w stronę chóru z organami, strzelając raz po raz ku błyskom broni maszynowej.

Ogień karabinu nagle ustał, a przy poręczy pojawił się ciemny kształt.

- Czy trzepot skrzydeł motyla w Brazylii wywołuje tornada w Teksasie? - krzyknął kształt...

...a potem ostatnimi nabojami z magazynku rozbił wielki witraż przy organach i rzucił się na zewnątrz.

Ben gwałtownie skoczył do dębowych drzwi i wypadł w jaskrawe słońce.

Nie przebył nawet pół drogi do chodnika, gdy na podwórzu klasztoru zobaczył dwa ukrzyżowane ciała przybite do krzyży szyniakami - jeden gwóźdź w każdej dłoni i trzeci przez stopy. Oba ciała były prawie nagie, za wyjątkiem strzępów porwanej i skrwawionej tkaniny wokół bioder.

Ben obrócił się w lewo, potem w prawo. Wokół leżało stłuczone szkło z okna galerii organowej, ale po człowieku, który przez nie wyskoczył, nie było nawet śladu.

Trzymając czterdziestkę piątkę w pogotowiu, powoli podszedł ku ukrzyżowanym ciałom, nieświadom krzyków przechodniów i pisku opon, gdy zszokowani kierowcy wciskali hamulce i niekiedy wpadali na siebie. Rozlegał się zgrzyt giętego metalu, brzęk rozbijanych szyb przednich, okrzyki paniki, odrazy i grozy.

Ben czuł łzy na twarzy, ale nawet nie próbował ich zetrzeć.

Nad głową każdego trupa przybito kawałek drewna z wypalonymi literami.

Napis nad trupem z lewej - „El”.

Nad trupem z prawej - „Hac”.

Ben spojrział w górę: w oczach martwych ciał pobłyskiwały srebrne monety. Czuł, jak świat ogarnia szaleństwo. Był bezradny. Bezużyteczny. To działo się tak szybko, cholernie szybko i niczemu nie mógł zaradzić, więc, do licha, do czego w ogóle się nadawał...

...i Ben Littlejohn tylko stał i krzyczał w duchu.

42

a teraz, mój oprawco, w pewnym sensie jest świadomy, z czym ma do czynienia.

.....

.....

nie byłem pewien, czy się nada.

ale to ty próbowałeś mnie po prostu zdezorientować, nieprawdaż?

.....

.....

nada się doskonale.

nada się doskonale, naprawdę.

43

Kiedy Ben i Goldstein zjawili się przed gabinetem pani burmistrz, sekretarz podniósł wzrok znad biurka, zwolnił zamek elektryczny w drzwiach i ze współczuciem pokręcił głową.

Weszli.

Rachel S. Moore siedziała za biurkiem. Jedną ręką podpierała pochyloną głowę, drugą trzymała przy uchu słuchawkę telefonu.

- Tak, proszę pana, rozumiem. Jutro. - Odłożyła słuchawkę i gestem

poprosiła Bena i Goldsteina, by zajęli miejsca. - To gubernator. Uważa, że cała komenda policji nie potrafiłaby znaleźć własnego tyłka przy użyciu obu rąk, reflektorów i pięćdziesięcioosobowego zespołu poszukiwawczego, więc wezwie federalnych jutro w południe. A zgodził się czekać tak długo jedynie dlatego, że go o to błagałam. Nie cierpię błagać, więc jestem w kiepskim nastroju. Czyli lepiej dla was będzie, jeśli coś dla mnie macie.

Ben i Goldstein naprzemiennie zrelacjonowali wydarzenia po masakrze w knajpie. Kiedy skończyli, burmistrz pokręciła głową i poprosiła kapitana o papierosa.

- Mam gdzieś, że to budynek dla niepalących. Wyjęła z szuflady popielniczkę i wszyscy troje zapalili. Spojrzała na Bena i spytała:

- Jak długo był pan w kościele?

- Najwyżej siedem czy osiem minut. Nie mam pojęcia, gdzie były schowane krzyże ani jak zdołał tak szybko i niepostrzeżenie je wyciągnąć. Kiedy wyskoczył przez okno, wyprzedził mnie najwyżej o pięć sekund. Ale zniknął, a krzyże tkwiły na zewnątrz. Zastanawiałem się, jak to zrobił, ale to jest po prostu niemożliwe. Granville to najruchliwsza ulica w mieście.

- A może ciała już tam były i pan...

- To absolutnie wykluczone.

- Też tak myślałam. Nie muszę wam mówić, jak wkurzony jest gubernator. Przecież akurat mamy rok wyborów. Nie ma ochoty wołać federalnych, tak jak my wszyscy, ale tę sprawę trzeba załatwić szybko, bo inaczej źle wypadnie. Chyba zlitował się po moich błaganiach - czy wspominałam, że nie cierpię błagać? - i zgodził się oddać do naszej dyspozycji cały sprzęt i wszystkich swoich ludzi, łącznie z wojskiem

stanowym i jednostkami Gwardii Narodowej.

Nachyliła się i bez mrugnięcia wpatrywała się w obu mężczyzn.

- Jedną z osób ukrzyżowanych przed klasztorem była Esther Simms. Ta wspaniała staruszka praktycznie rzecz biorąc wychowywała mnie po śmierci mojej matki. - Przetarła oczy i próbowała się uśmiechnąć. - Mam nadzieję, że jeśli będzie okazja postrzelenia tego psychola, znajdziecie w sobie dosyć przyzwoitości, by w moim imieniu wpakować mu dodatkową kulę.

- Z całym należnym szacunkiem, pani burmistrz - powiedział Ben - mój partner i najlepszy przyjaciel przebywa teraz na oddziale chirurgicznym z kulą u podstawy kręgosłupa. Może już nigdy nie będzie mógł chodzić. Rozumiem pani uczucia. Ale dodatkowa kula jest nie do zaakceptowania.

Burmistrz Moore wpatrywała się w niego przez chwilę, a potem skinęła głową.

- Oczywiście, nie słyszałam tej uwagi. Ben i Goldstein milczeli.

- A co z raportem z laboratorium i od lekarza sądowego? Czy coś tam jest?

Ben odchrząknął.

- Zanim tutaj przyszliśmy, dostaliśmy szczegółowy raport z laboratorium. Monety w oczodołach ofiar... daty emisji każdej z nich pokrywają się z rokiem urodzenia osoby, przy której je znaleziono.

- Jezu - powiedziała Moore. - Skąd, do diabła, zabójca je znał?

- Zastanawialiśmy się również - odezwał się Goldstein - czy nie odpowiadają przypadkiem także datom śmierci na nowych nagrobkach, które pojawiły się na dawnym cmentarzu, ale nie.

- Umieściliśmy tam trzy jednostki, obok dwóch - z wydziału szeryfa
- dodał Ben. - Gruntownie przebadali teren, ale niczego nie znaleźli. Te nagrobki są ciężkie. Musi przechowywać je gdzieś w pobliżu.

- Zidentyfikowaliście już wszystkie ofiary z restauracji? - zapytała Moore.

Ben i Goldstein spojrzeli po sobie.

- W pewnym sensie - odparł Ben.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Wszystkie ciała mogliśmy zidentyfikować na podstawie znalezionych przy nich dokumentów, co zostało potem potwierdzone przez krewnych lub przyjaciół, ale Stan Roth zanalizował odciski palców i...

Ben zrobił wydech i wyłamywał sobie palce.

- Jeśli chciał pan zwrócić moją uwagę, to się panu udało, jednak moja cierpliwość nieco się wyczerpuje - oznajmiła burmistrz.

- Zgodnie z tymi odciskami, pierwsze sześć ofiar to Richard Speck, Theodore Bundy, Edward Gein, Charles Whitman, Herbert Mullen i Juan Corona. Są to jedyne nazwiska, które mogę wymienić bez zaglądania do akt, ale każdy zestaw odcisków identyfikuje ofiarę jako martwego masowego mordercę albo martwego seryjnego zabójcę. To samo dotyczy odcisków pozostawionych na broni i na drzwiach sali jadalnej. W paru wypadkach ten sam zabójca pojawia się kilka razy, w innych jedynie raz. Zabójca musiał się w jakiś sposób dostać do systemu, choć Stan temu zaprzecza. Materiały miał pani wysłać faksem.

Rachel Moore zapaliła następnego papierosa.

- Jeszcze nic od niego nie dostałam, co mnie wcale nie dziwi. Zawsze pracował według własnego dziwaczego rozkładu. Coś jeszcze?

- Tylko to, że monety są całkowicie srebrne, a nie kanapkowe.

- Co takiego?

Ben wyjął z kieszeni ćwierćdolarówkę i pchnął ją ku Moore, wyjaśniając:

- Mennica USA do masowego obiegu bije tak zwane monety kanapkowe. Całkowicie srebrne przestali produkować jeszcze przed drugą wojną światową. Obecnie większość monet jest zrobiona z niklu i miedzi.

- Wskazał pasemko miedzi na obrzeżu ćwierćdolarówki. - Monety przyłączone do ofiar, mimo że wszystkie datowane po drugiej wojnie, były całe ze srebra.

- Jakies pomysły w związku z tym?

- Żadnych.

Zapisał telefon. Rachel Moore wcisnęła guzik interkomu.

- O co chodzi, Steve?

- Kierownik stacji radiowej WLCB dzwoni do kapitana Goldsteina. Mówi, że to nagła sprawa.

Burmistrz wcisnęła odpowiedni przycisk i wręczyła słuchawkę kapitanowi.

Goldstein słuchał przez chwilę.

- Kiedy to było? - spytał. - Czy może nam pan puścić taśmę? - Spojrzał na Moore. - Potrzebny głośnik. Zabójca dzwonił do nich mniej więcej dziesięć minut temu. DJ nagrał rozmowę.

Z głośnika popłynęły trzaski zakłóceń, później syk, a wreszcie głos Jacka Donovana, ulubionego DJ - a w Cedar Hill:

- „Tu WLCB. Mówi Donovan. Co chciałby pan...”

- „Mówi osoba, która odwiedziła dziś rano Knajpę Dawnych Indian,

a potem pozostawiła ofiarę w kościele Świętego Franciszka de Sales”.

- To wszystko było w wiadomościach - stwierdziła burmistrz.

- „Mam pytanie do policji” - ciągnął głos w telefonie. - „Czy trzepot skrzydeł motyla w Brazylii wywołuje tornada w Teksasie?”

- A tego już nie było w wiadomościach - szepnął Ben. - To samo powiedział do mnie w kościele.

Zabójca kontynuował, w jego głosie pobrzmiwało głębokie znużenie, nawet smutek.

- „Na dawnym cmentarzu pochowano sto pięćdziesiąt siedem ciał. Umieściłem tam nowe nagrobki na piętnastu grobach, jeden za każdą osobę, którą zabiłem do tej pory. Jest także dodatkowo siedemdziesiąt osiem nieoznaczonych grobów na działce, na której stoi Tawerna Wisielca. To ciała czarnych powieszonych przez Ku - Klux - Klan. Zanim zabiję kogoś jeszcze, mam zamiar dać wam trochę czasu, żeby kapitan Goldstein i detektyw Littlejohn poskładali wszystko do kupy, ale jeśli ktokolwiek spróbuje odebrać im tę sprawę, nie zawaham się przed zabiciem pozostałych dwustu trzydziestu pięciu ludzi, którzy są potrzebni dla... równowagi. Nawiasem mówiąc, chciałbym, by kapitan Goldstein i detektyw Littlejohn wiedzieli, że Bill Emerson nie umrze ani nie zostanie sparaliżowany. Emerson jest potrzebny do innych śledztw, innych spraw, niektóre z nich jeszcze się nie wydarzyły. Ale nie wolno mi wybiegać naprzód. Detektyw Littlejohn w college'u uczył się przez pewien czas fizyki, tak że może zrozumieć sprawę łopotania motyli skrzydeł w Brazylii; matematyczna teoria chaosu, fraktale i temu podobne rzeczy, z małym dodatkiem łańcuchów Markowa. Wkrótce to wszystko sobie przypomni. Jeśli chodzi o litery w kościele i na krzyżach: postanowiłem

dać wam trochę czasu, żebyście się nad tym pogłowili, po prostu chcę się przekonać, czy jest pan taki zdolny, jak mi się wydaje, Benjaminie. Przykro mi z powodu ludzi, których zabiłem. I przykro mi z powodu ludzi, których będę musiał zabić. Spędziłem wieczność, przeprasząc i żałując, ale dla niektórych zwykle „przepraszam” nie załatwia sprawy. Spróbujcie przeprosić niemowlaka zjadanego przez nowotwór czy staruszkę, którą rodzina wyrzuca do domu opieki, by tam umarła. Spróbujcie powiedzieć „przepraszam” krajowi pełnemu umierających z głodu ludzi lub powiedzieć to bezdomnemu, który zamarza na śmierć na ławce w parku. Możecie ofiarować swe współczucie samotnym ludziom i ludziom zrozpaczonym, którzy wloką się przez ruiny tego świata, ale w końcu odchodzą. Przepraszacie, a potem odchodzą, bez cienia odpowiedzialności.

To część nasienia, z którego zrodził się czarny motyl. I dlatego właśnie musicie mieć do czynienia ze mną.

Nie możecie się chronić.

Nigdy.

Tylko ja mogę to robić”.

Szczęknijcie.

Rachel Moore spojrzała najpierw na Bena, potem na Goldsteina.

- Co, do cholery, mają znaczyć te skrzydła motyla? - spytała.

- Fizykę miałem przed wielu laty - stwierdził Ben. - Wyleciałem z kursu po semestrze.

Goldstein uniósł otwarte dłonie.

- Nie pytajcie mnie o nic żydowskiego. Odszedłem od wiary dawno temu.

Burmistrz rozważała to wszystko przez chwilę.

- W porządku. Potrzebna mi kopia tej taśmy dla gubernatora. Czy ktoś sprawdza akta w nowej siedzibie władz hrabstwa? Jeśli w jakiś sposób możemy zidentyfikować resztę tych ciał...

- ...już to robią - odparł Ben. - Szeryf Jackson koordynuje poszukiwania w bazach danych hrabstwa, w sądach, w urzędzie ziemskim i zatrudniliśmy ochotników sprawdzających rejestr pochówków wszystkich parafii. Gdzieś musi istnieć zapis.

- Pod warunkiem, że ktoś pomyślał o zrobieniu kopii i przeniesieniu ich, zanim stary urząd spłonął - zauważył Goldstein.

- Właśnie - odparł Ben, z roztargnieniem masując szyję.

44

czujesz to, prawda, benjaminie? wspomnienie swego snu? zanim zajmiesz miejsce żony w nocnym sklepie, biegniesz przez wyschnięte pole ze Izami w oczach, bolą cię ramiona, bo niesiesz coś ciężkiego, serce pęka ci z gniewu, smutku, dezorientacji i poczucia winy. chcesz pozbyć się tego wszystkiego.

wtedy widzisz drzewo i staje się ono pierwszym z nastolatków, którzy zabili twą żonę - którzy zabili ciebie - i przebudzony, dusisz się...

...a ja jestem ciekaw, jak byś zareagował, gdybym powiedział, że wiem, jak wygląda twarz twego syna?

45

Ben i Goldstein wracali do swoich samochodów, kiedy komórka Bena znowu się odezwała.

- Halo?

- Ben?

To była Eunice Emerson. Mówiła spokojnie. Ta kobieta była jak skała. Ben przypuszczał, że to jeden z powodów, dla których Bill ją poślubił.

- Co z Billem?

- Nadal go operują, ale jeden z internistów powiedział mi, że rokowania są dobre. Kula w ramieniu nie stanowiła problemu, ale grzebią się przy drugiej. Może to potrwać kilka godzin. Jest w złym miejscu, ale nie trafiła w kręgosłup. Czy to nie wspaniałe?

Ben poczuł w oczach łzy, ale zaraz się opanował.

- To najlepsza wiadomość, jaką dzisiaj słyszałem.

- Będzie żył.

- To... to wspaniała wiadomość, Eunice. Czy chcesz, żebym przyszedł do szpitala i z tobą poczekał?

- Spodziewałam się, że to zaproponujesz. Nie, Ben, w tej chwili masz pełne ręce roboty, wiem o tym. Ale jedną rzecz możesz dla mnie zrobić.

- Powiedz co, Eunice.

- Znajdź sukinsyna, który postrzelił mojego męża i niech pożałuje, że się urodził.

- Masz to jak w banku, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię.

- On naprawdę cię kocha, Ben. Ja też.

- Ja też kocham was oboje.

- Powiedz mi, że pewnego dnia nieźle się z tego uśmiejemy. Wiem, że tak nie będzie, ale chciałabym to teraz usłyszeć.

- Pewnego dnia nieźle się z tego uśmiejemy.

- Okropny z ciebie łgarz, ale dziękuję.

- Wiem, to prawda, i bardzo proszę.
- Zadzwoń do ciebie, gdy tylko skończy się operacja.
- Spróbuj nie zadzwonić...

Zaraz po tej rozmowie komórka znowu zadzwoniła. Spojrzał na Goldsteina, wzruszył ramionami i odebrał.

- Eunice?

- Przykro mi, Ben, ale nie. - To był Wielebny. - A jak się czuje Bill?

- Nadal go operują, ale wygląda na to, że z tego wyjdzie. Co mogę dla Wielebnego zrobić?

- Czy możesz przyjść tu, do schroniska? Dostarczono właśnie coś, co musisz natychmiast zobaczyć.

- Co dokładnie?

- Nie przez telefon. Proszę... wiem, jakie obłąkane rzeczy dzieją się teraz, ale musi pan to zobaczyć.

Ben zamknął oczy, westchnął z frustracją, a potem wypuścił powietrze.

- Niech mi Wielebny da dwadzieścia minut.

- Dziękuję.

Ben wyłączył się i przekazał informację kapitanowi Goldsteinowi.

- Nie chciał panu powiedzieć, o co chodzi?

- Nie - odparł Ben. - Ale był bardzo zaniepokojony.

- Wielebny nie jest osobą, którą łatwo wytrącić z równowagi. To facet ze stali, więc sprawa musi być ważna. Dobrze, niech pan jedzie do schroniska i sprawdzi, co tam się dzieje. Ja wrócę do komendy i zobaczę, czy Stan już skończył. Spotkamy się w rozgłośni za... - spojrzął na zegarek - czterdzieści pięć minut.

- Tak, proszę pana. Goldstein ujął ramię Bena.

- Słyszałem tylko część pierwszej rozmowy, ale zakładam, że to była Eunice?

- Zgadza się. Zabójca powiedział nam prawdę. Bill się wykaraska. Goldstein pokręcił głową.

- Skąd, do cholery, mógł to wiedzieć?

- Całkiem dobrze celuje. W knajpie nie postrzelił nikogo w twarz.

- Więc sądzi pan, że celowo postrzelił Billa?

- Tak, proszę pana.

- Dlaczego Billa, a pana nie? Ben zastanowił się przez chwilę.

- Wie, kim jesteśmy, i z jakichś przyczyn nie chce, żeby Bill brał udział w śledztwie - Niech mnie pan nie pyta, dlaczego tak sądzę, nie jestem pewien, czy potrafię to wyjaśnić.

Goldstein przez chwilę spoglądał na Bena, jakby chciał coś powiedzieć, a potem walnął pięścią w maskę swego samochodu.

- Cholera! - Odwrócił się do Bena. - Wie pan, w każdych innych okolicznościach kwestionowałbym logikę rozumowania, które doprowadziło pana do tego wniosku, ale wie pan co? Sądzę, że ma pan słuszność. Pogrywa z nami.

- Może Wielebny coś ma i ruszemy do przodu.

- Czy w ten sposób sugeruje mi pan, że musimy się pośpieszyć?

- Tak to można ująć.

Goldstein otworzył drzwiczki samochodu.

- Do zobaczenia w rozgłośni za czterdzieści dwie minuty.

- Tak jest.

Ben wsiadł do samochodu i zastanowił się - tylko przez chwilę - skąd

Wielebny znał numer jego telefonu.

46

czy teraz dochodzimy do końcówki, mój oprawco?

.....

.....

rozumiem, czyż nie uczyniłem tak, jak kazałeś?

więc jeszcze to trochę potrwa, tak?

.....

.....

nie chciałem skrzywdzić drugiego detektywa, to przyzwoity człowiek, przypomina trochę kogoś, kogo niegdyś znaleźliśmy i...

.....

.....

bardzo dobrze, nie będą poruszał tego tematu. w każdym razie jeszcze nie teraz.

.....

.....

co jeszcze mógłbyś mi uczynić? czy mogą dostać odpowiedź, mój oprawco?

czy mogą czy mogą czy mogą czy mogą czy mogą czy mogą czy mogą czy mogą czy mogą...?

47

Za każdym razem, gdy Ben oglądał wnętrze schroniska dla bezdomnych, nie mógł się nadziwić żyrandolowi zwisającemu pośrodku sufitu. To była najbardziej bezsensowna rzecz w mieście. Wielebny powitał go przy drzwiach.

- Przepraszam za to całe zamieszanie - powiedział.

Schronisko zapełniali nie tylko bezdomni. Było tu również kilkudziesięciu funkcjonariuszy z biura szeryfa pod wodzą samego szeryfa Jacksona.

- Ted zorganizował tu coś w rodzaju centrum dowodzenia - wyjaśnił Wielebny. Ujął Bena za łokieć i poprowadził go wśród mieszkańców domu i funkcjonariuszy. Ted Jackson podniósł wzrok, zobaczył Bena i odszedł od stołu, przy którym jego ludzie i ochotnicy sprawdzali stopy dokumentów wyglądających na stare mapy i akta hrabstwa.

- Udało się coś znaleźć? - spytał Wielebny.

- Mógłbym panu powiedzieć, dokąd płynie woda, jak się ją tutaj spuści w sedesie, ale jeśli chodzi o nazwiska nieboszczyków na dawnym cmentarzu... niewiele.

- Miło cię widzieć, Ben.

- Dzięki za całą okazaną nam pomoc, Ted. Jackson machnął dłonią.

- Nie musisz dziękować. Prócz moich ludzi mamy około dwudziestu ochotników z Urzędu do Spraw Kombatantów, którzy również nad tym pracują. Słowo daję, Ben, chyba mamy tutaj wszystkie akta z piwnic sądowych.

- A co z zapisami elektronicznymi?

- Posadziłem przy tym trzech ludzi. Mam nadzieję, że któryś z nich na coś się natknie.

- Oby Bóg cię wysłuchał - rzekł Ben.

Wielebny zareagował na tę uwagę dziwnym uśmiechem, ale Ben właściwie tego nie zauważył. Jackson wrócił do stołu ochotników. Ben i Wielebny przeszli przez kuchnię, gdzie Grant McCullers, właściciel

Tawerny Wisielca przygotowywał dla wszystkich suchy prowiant. Grant przywitał ich skinieniem głowy, a potem do nich podszedł.

- Nie wierzę, że ten stuknięty skurczybyk zna dokładną liczbę ciał pochowanych na działce Wisielca - oznajmił Benowi. - Jestem jej właścicielem od lat i nawet ja nie mam pojęcia, ilu tam pochowano. Nie wiem nawet, gdzie ich pochowano.

- I właśnie dlatego Ted wysłał tam swoich ludzi z łopatami - wtrącił Wielebny. - Choć osobiście uważam, że to strata czasu. Nawet jeśli znajdą jakieś ciała, nie będą miały przy sobie dokumentów z nazwiskami.

- I nie wiecie, czy w ogóle istnieją jakieś zapisy tych nazwisk? - zapytał Ben.

- Mówimy tutaj o Ku - Klux - Klanie - odparł Grant. - Nazwiska nich nie obchodziły, zależało im tylko na wieszaniu ludzi.

Wielebny skinął głową.

- To racja.

Grant uściskał Benowi dłoń.

- Przykro mi z powodu tego wszystkiego.

- To jest nas dwóch.

Właściciel Wisielca powrócił do przygotowywania posiłków dla ochotników. Ben wiedział od Wielebnego, że Grant często przynosi jedzenie do schroniska, i że on, Ted Jackson i sam Wielebny są bliskimi przyjaciółmi.

- Moje pielesze w całej krasie. - Wielebny otworzył drzwi małego, ale niezagraconego pokoju. Odbiornik telewizyjny z przyłączonym magnetowidem i odtwarzaczem DVD stał na stoliku na kółkach. Wielebny przyciągnął krzesło w pobliże telewizora i zaprosił Bena, by usiadł.

- Mniej więcej pół godziny temu w naszej skrzynce darów przed schroniskiem zostawiono kasetę wideo - wyjaśnił Wielebny. - Czasami znajduję tam stare taśmy do magnetowidu w głównym pomieszczeniu. Ludzie się nieco odprężają przy filmach, więc ja... nieważne.

Była nieopisana, ale dostaję w darze mnóstwo podobnych. Przyniosłem ją tutaj, żeby sprawdzić, czy będzie grała i wtedy właśnie... sam zobacz... - Wielebny włączył pilotem magnetowid. Był to materiał filmowy, który ktoś tego ranka nagrał przed Knajpą Dawnych Indian, gdy tylko zaczął się zbierać tłum. Obraz był zdumiewająco ostry i czysty - Ben wyraźnie widział każdą twarz w tłumie, a przez chwilę nawet mignął on sam i kapitan Goldstein. Dopiero kiedy kamera odwróciła się z powrotem ku tłumowi, zobaczył ich.

Wielebny zatrzymał taśmę. Obraz zamarł, nadal zaskakująco wyraźny.

- Ben, popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy to nie jest...?

- Cheryl - powiedział Ben głosem niewiele mocniejszym od szeptu. Nie miał żadnych wątpliwości, że patrzy na ducha zmarłej żony, ale tym, co znacznie pogarszało sytuację, co sprawiło, że poczuł ból aż do szpiku kości, a żołądek zawiązał mu się w węzeł, był widok twarzy chłopczyka, może dwuletniego, którego Cheryl trzymała za rękę. Twarz dziecka miała bez wątpienia wyraźne rysy Bena.

Ben kołysał głową w przód i w tył, w przód i w tył, wmawiając sobie, że to podobna do Cheryl kobieta trzyma za rękę jakiegoś chłopca, który wygląda jak...

- To nie może być - powiedział Ben. Wielebny położył mu dłoń na ramieniu.

- Tak właśnie myślałem, i wtedy zobaczyłem to.

Ponownie wcisnął „Play”. Kiedy kamera zatrzymała się na Cheryl i chłopcu, dzieciak wyciągnął zdjęcie. Trzymał je w górze.

Była to mniejsza, lecz doskonale rozpoznawalna odbitka fotografii, która stała na nocnej szafce Bena. On i Cheryl w dniu ślubu.

Ben sięgnął do tylnej kieszeni, wyjął portfel, a z niego to samo zdjęcie.

Nie było żadnych wątpliwości.

To identyczna fotografia.

Wielebny ścisnął ramię Bena.

- To ona, prawda?

- Tak.

- A ten chłopczyk z nią... tak bardzo do ciebie podobny, to...

- Tak.

- Tak mi się wydawało.

- Proszę, niech Wielebny zatrzyma taśmę.

- Nie. Musisz obejrzeć ją do końca.

Kamera ruszyła, dając zbliżenie Cheryl i chłopca: obydwójce machali do niego i choć nie było dźwięku, wiedział, że wołają „cześć tato”. Potem ekran na chwilę zgasł. Moment przerwy i pojawił się inny obraz. Tym razem Cheryl siedziała przy stole kuchennym w ich domu i karmiła syna, który siedział na wysokim krzeselku i tyle samo jedzenia udało mu się umieścić w sobie co na sobie. Cheryl wytarła brodę dziecka, odstawiła jedzenie i odwróciła się do kamery.

- „Cześć, kochanie. Szczęśliwej rocznicy”.

Benowi zakręciło się w głowie: to był jej głos. To był jej głos. To jej

głos. To ona.

- „Wiem, że wcześniej rozmawiałeś z monsiniolem Maddinglym”

- powiedziała. - „Czy nadal jest taki, jakim go pamiętam?

Oczywiście, że tak, zapomnij, że zapytałam. Historia o dereniu, którą ci opowiedział, to tylko jedna z wersji - chyba nazwał ją wersją sentymentalną.

Niektórzy wierzą, że krzyż, na którym zawisł Jezus, zrobiono z dereńia. Jak mówi legenda, w tamtych czasach dereń był większy i mocniejszy niż dzisiaj. Po ukrzyżowaniu Jezus miał zmienić drzewo do obecnego kształtu - skrócił i skręcił gałęzie, by go już nigdy nie wykorzystywano do budowy krzyży. Przekształcił także kwiatostan: cztery białe płatki tworzą krzyż, a rdzawe wcięcie na każdym wygląda jak ślad po gwoździu. Czerwone pręciki kwiatu to cierniowa korona Jezusa, zaś grono szkarłatnych owoców symbolizuje jego krew. Ta druga wersja bardziej mi się podoba, a tobie?” - Odwróciła się z powrotem do dziecka i bawiła się z nim przez chwilę w pocieranie nosami. Mały piszczał z radości, a matka się śmiała.

- „Muszę zająć się łanem. Ian - to byłoby imię naszego dziecka. Ale zanim znowu cię opuszczę, przekażę ci coś na prośbę Pałaczydła... nawiasem mówiąc - szepnęła, jakby dzieląc się jakimś wspaniałym sekretem - to nie jest jego prawdziwe nazwisko, ale on chyba je lubi z powodu miejscowej legendy. Byłbyś zaskoczony brzmieniem jego prawdziwego imienia”.

Jej wzrok przesunął się i przez chwilę Benowi wydawało się, że Cheryl patrzy na Wielebnego, ale potem się uśmiechnęła, spojrzała znowu na niego i poprzednie wrażenie umknęło mu z głowy.

- „W każdym razie... chce, bym ci powiedziała, że litery, które zna-

lazłeś w kościele i na krzyżach, tworzą wyraz *Haceldama*. To znaczy »Pole krwi«. Możesz poprosić Wielebnego, by ci to wytłumaczył.

Nie chcę pogarszać twojego samopoczucia, kochanie, ale to może być ostatni raz, kiedy w ogóle mnie widzisz. A może i nie. Wybór należy do ciebie”.

Kiedy to powiedziała, Ian zaczął podskakiwać na swoim krzeselku, wyciągnął rączki, krzycząc:

- „Tata! Tata! Tata!”

I nagranie na taśmie się skończyło. Wielebny wyłączył magnetowid.

- Chcesz to obejrzyć jeszcze raz?

Ben obydwoma dłońmi zakrył usta, próbując stłumić okropny dźwięk, wyrywający się mu z wnętrza piersi, płuc i gardła. Kręcąc głową odwrócił się od Wielebnego i wytarł oczy i twarz.

Wielebny obszedł go, przyklęknął i ujął za nadgarstki.

- Ben, musisz mnie wysłuchać, dobrze?

- Na Boga, jak to możliwe? Wielebny patrzył na niego przez chwilę.

- Spójrz na mnie... spójrz na mnie, dobrze? Dziękuję. Zanim powiem ci coś więcej, muszę cię o coś spytać: czy wierzysz, że osoba, którą widziałeś, to Cheryl?

- Tak.

- Gdybym ci powiedział, że działają tu jakieś siły nadnaturalne, uwierzyłbyś mi? Pomyśl o wszystkim, co dziś widziałeś, o tych wszystkich niemożliwościach, których byłeś świadkiem. Uwierzyłbyś mi?

Ben był w stanie jedynie skinąć głową.

- Dobrze - powiedział Wielebny. - *Haceldama* - Pole krwi jest nazwą nadaną polu tego biedaka, gdzie pochowano ciało Judasza Iskarioty po

jego samobójstwie. Przez tysiące lat jego dokładna lokalizacja pozostawała tajemnicą. Nawet dziś nikt nie wie, gdzie to jest. A teraz... popatrz na ścianę.

Ben, nadal w szoku, zrobił, co mu polecono. Powierzchnia ściany zafalowała i zaczęła się wybrzuszać, jakby ktoś wypychał cienką płytę z plastiku. Ben mógł wyodrębnić zarys twarzy, ramię, rękę, tors i nogi, cały kształt układający się w coś, co wyglądało na fragment płaskorzeźby, a potem kształt wyszedł ze ściany, cielesny, oddychający... i zdeformowany.

Twarz postaci wyglądała jak z filmu grozy. Na jej górnej części było bardzo niewiele tkanki miękkiej, a znajdujące się tam ciało stwardniało do tego stopnia, że bardziej przypominało łuski na grzbiecie jaszczurki. Miejscami łuskowate ciało było półprzezroczyste i Ben widział czerwone i niebieskie żyły pokrywające pajęczą siecią obszary, gdzie ludzie mają policzki. Postać nie miała nosa, jedynie dwie jamy w kształcie łez, przez które oddychała - wydawało się, że stale z nich cieknie. Lewe oko znajdowało się centymetr niżej od prawego, a tam gdzie człowiek ma uszy dyndały jedynie kawałki mięsa. Choć szczęki pozostały nietknięte, broda nie istniała; ciało pod dolną wargą pokrywało tylko niewielki fragment zaokrąglonej kości, zaś pozostała część po prostu zlewała się z szyją jak stopiony wosk świecy, tworząc grube, niepokojące podgardle, które pulsowało z każdym wyciekaniem z jam nosowych.

Najgorszy był jednak ogólny kształt twarzy i głowy. Wydawało się, że czaszka została rozłupana łomem, a następnie sklecona przez kogoś, kto nie miał najmniejszego pojęcia o ludzkiej anatomii - były na niej wypukłości, gdzie nie powinno ich być, jamy, gdzie powinny być wypukłości, a w jednym miejscu, pod zbyt nisko osadzonym lewym okiem,

gdzie potrzaskaną i pożółkłą kość wystawiono na pastwę żywiołów, Ben dostrzegł coś metalicznego i uświadomił sobie, że to zardzewiała szpila, która trzyma razem te dwie małe sekcje płyty czaszki.

- Jak zwykle - powiedziała postać do Wielebnego - kolejnej osobie odjęło mowę na widok mego fantastycznego piękna.

- Co ci się, do diabła, przytrafiło? - spytał Ben. Zdeformowany człowiek podniósł wzrok na Wielebnego.

- Dlaczego to jest zawsze pierwsze pytanie, jakie każdy zadaje? - Znów spojrzał na Bena. - Próbowałem pocałować się po francusku ze śmigłem samolotu, taki studencki kawał. A jakie to, do cholery, ma znaczenie?

- Daj spokój, Rael - powiedział Wielebny.

- Co takiego? Nie mam prawa do odrobiny zabawy, do szczypty sarkazmu, nie mogę rozświecić otoczenia swoimi słonecznymi promieniami?

Wielebny popatrzył na niego ze złością.

- Doskonale. - Rael wyjął jakiś przedmiot z kieszeni. - I tak mam lepsze rzeczy do roboty. - Rzucił przedmiot Wielebnemu, a potem znowu spojrzał na Bena. - Żadnej recenzji z mojego teatralnego wejścia? Żadnych pytań czy komentarzy? Jestem... jestem przybity. Słowo daję.

Wielebny pokręcił głową.

- Ciągle zapominam, jak szybko potrafisz niekiedy zaleźć za skórę. Rael odpowiedział mu wściekłym spojrzeniem.

- Taa, owszem, kręciłeś się tu prawie równie długo jak ja, więc stałeś się nieco wybredny w doborze przyjaciół.

- To nie czas na dyskusje, Rael.

Rael pstryknął palcami.

- Racja, to ty masz bezpośrednią linię do Wielkiego Facia, więc ty tu dowodzisz. - Wykonał kpiąco teatralny ukłon, a potem dodał: - Pańskie życzenie jest dla mnie rozkazem, panie mój.

- Przestań zachowywać się jak skończony osioł. Rael cofnął się. Wyglądał na szczerze dotkniętego.

- Daj spokój. Nie miałem niczego złego na myśli. Zwłaszcza po tej sprawie z Londriganem.

Na dźwięk tego nazwiska Ben usiadł prosto i nagle skupił uwagę.

- Londriganem? Masz na myśli Roberta Londrigana? Rael rozpostarł ręce.

- Chyba że ty i Bill Emerson znacie jakiegoś innego.

- Skąd wiesz o Londriganie?

- Wiem o nim - odparł Rael - ponieważ on i ja jesteśmy czymś, co nazwalibyście „współlokatorami”.

- Jest żywy? - spytał Ben.

- I zdrów, i w pełni sił. A propos, przesyła pozdrowienia dla ciebie i Billa Emersona.

Przez kilka chwil Ben tylko wpatrywał się w Raela. Robert Londrigan był popularnym prezenterem lokalnych wiadomości, jego żona zmarła przy porodzie, dziecko również, a ich ciała zostały wykradzione z kostnicy. Londrigan opisał Billowi Emersonowi mężczyznę, który - jak to sobie teraz Ben uświadamiał - bardzo przypominał Raela. Potem prezenter zaczął się zachowywać coraz bardziej nieobliczalny, aż w końcu gdzieś przepadł. Sprawa miała pewne niesamowite aspekty, które do tego stopnia zdezorientowały i przstraszyły Bena i Billa Emersona, że nigdy ze sobą

nie rozmawiali na ten temat.

- Nie zamierzasz mnie chyba pytać, gdzie on teraz jest, prawda? - spytał Rael. - To byłaby strata czasu, ponieważ w tamtym miejscu, tam, gdzie on przebywa i skąd właśnie przyszedłem, nie przywitano by cię radośnie. Więc po prostu uśmiechnij się do mnie i traktuj mnie jakbym był *deus ex machina*.

- Zbyt wiele sobie przypisujesz, Raelu - zauważył Wielebny. Rael uśmiechnął się do niego.

- Kto z was jest bez grzechu niech... i całe to radosne gówno.

- Czym jesteś? - spytał Ben.

Rael nie odpowiedział. Spojrzał natomiast na Wielebnego, który westchnął, skinął głową i zwrócił się do Bena:

- Pamiętasz, powiedziałeś mi, że zaakceptujesz i uwierzysz, że działa tu coś nadnaturalnego.

- Rany gościa, Wielebny, właśnie widziałem, jak facet wyszedł z tej cholernej ściany! Oczywiście, że w to wierzę!

- Chłopak łatwo się podnieca, no nie? - zauważył Rael. Wielebny, ignorując go, wyjaśnił:

- Rael jest rodzajem anioła. Żeby bardziej to sprecyzować, jest potomkiem Upadłego Anioła i ludzkiej kobiety. On i ja... cóż, powiedzmy po prostu, że znamy się od dawna.

- Król Niedopowiedzeń, jak zawsze - rzekł Rael, a potem, zwrócił się znowu do Bena. - Musisz, stary, zrozumieć, że są dwa typy czasu. W pierwszym kontynuujesz swoje codzienne życie, starzejesz się, chorujesz, odbijasz kartę zegarową, idziesz na emeryturę, łowisz ryby i w końcu umierasz. W drugim - jesteś wiecznie młody, a przemijanie lat, choroby,

starość nie mają dla ciebie znaczenia. - Wskazał gestem Wielebnego. - Ponieważ ten tutaj pan Pomóż - Bliźniej - Kupie - Węgla w przeszłości wyświadczył wiele przysług mnie i memu rodzajowi, zgodziłem się trochę mu pomagać - co oznacza, że mamy zamiar pomóc tobie, pod warunkiem, że robisz dokładnie to, co on mówi. Muszę spływać. Mam w piecu suflet, a to cholerstwo wymaga dopilnowania.

Spojrzał na Wielebnego, uchylił nieistniejącego kapelusza, powiedział: „To było ekscytujące spotkanie, jak zwykle, szefie” i po prostu zniknął. W jednej chwili był, w następnej już go nie było.

Wielebny spojrzał na Bena.

- W gruncie rzeczy nie jest takim dupkiem, za jakiego chce uchodzić.

- Jeśli Wielebny tak twierdzi. Co panu dał?

Wielebny wręczył Benowi staroświecki zegarek kieszonkowy, z wieczkiem na sprężynie. Ben automatycznie zaczął naciskać mechanizm na zegarku, by go otworzyć.

- Nie! - zawołał Wielebny, chwytając go za rękę. - Jeszcze nie otwieraj.

- Więc... więc co? Kiedy mam...?

- Rozpoznasz chwilę, gdy nadejdzie, zaufaj mi. Ben wpatrywał się w zegarek.

- Do czego służy?

Wielebny utkwiał spojrzenie w swoich stopach.

- Chciałbym ci powiedzieć, ale... ale nie mogę. I przepraszam. Ben wsunął zegarek do kieszeni spodni.

- Byłby... kłopot, gdybyś go zgubił, Ben.

- Zakładam, że to kolejne niedopowiedzenie. Wielebny wzruszył

ramionami.

- Mam tę drobną wadę charakteru. Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie.

- Czy mogę dostać tę taśmę? - spytał Ben.

- Oczywiście. I nie martw się, bez twojej zgody nikomu nie powiem, co na niej jest.

Ben wziął taśmę od Wielebnego, a potem uściśnął mu dłoń.

- Czy mogę Wielebnego o coś spytać?

- O wszystko.

- Zupełnie nie pamiętam, bym opowiadał Wielebnemu o Cheryl albo dawał swój numer telefonu komórkowego. Skąd Wielebny wiedział?

- Może powiedziałeś mi o tym, a potem zapomniałeś. Albo może mówił mi o tym ktoś ci bliski. Bill Emerson często tu wpada. Ten twój partner należy do gadatliwych.

Ben skinął głową.

- Wciąż go operują.

- Słyszałem, co się wydarzyło u św. Franciszka. Czy chcesz o tym pomówić?

Ben spojrział na zegarek.

- Tak, ale akurat teraz nie mam czasu.

- Rozumiem.

- Jeśli zabójca znowu się z Wielebnym skontaktuje...

- Zadzwonię natychmiast na twoją komórkę, nie martw się.

I po tych jego słowach wciąż otępiały, zdezorientowany i ponury Ben Littlejohn wyszedł ze schroniska i zataczając się lekko po drodze, wrócił do samochodu.

Kiedy Goldstein w budynku rozgłośni WLCB odbierał taśmę od menedżera stacji, Ben siedział w samochodzie i próbował nie poddawać się ogarniającej go depresji.

Sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd fotografię zrobioną w dniu ślubu, tę samą, która stała na jego nocnym stoliku i tę samą, którą dziecko z taśmy wideo trzymało w górze.

O Boże, Cheryl była taka piękna. A on teraz się w tym wszystkim pogubił. Nic z tego nie miało sensu, ale jednak na obrzeżach grozy, którą oglądał przez ostatnie czternaście godzin, wyczuwał obietnicę, że w cieniu coś czeka, by to odnalazł - ostatni fragment łamigłówki, który sprawi, że wszystkie zapadki wskoczą na miejsce.

Na sekundę stracił ostrość widzenia i zdał sobie sprawę, że płacze.

- Boże, kochanie - szepnął cicho, niemal jak modlitwę. - Tak bardzo za tobą tęsknię.

Chryste! Muszę z tym skończyć, pomyślał.

Zadzwoń i dowiedz się, czy są jakieś wiadomości o stanie Billa, nakazał sobie.

Odłożył fotografię i sięgnął do radia...

...w którym głos zabójcy przedarł się przez zakłócenia.

- Była bardzo ładna, Ben. Nic dziwnego, że tak za nią tęsknisz.

- Co, do...

- Kiedy obudzisz się z tego snu, co się wydarzy? Poderwał mikrofon.

- Jak się dostałeś na tę częstotliwość?

- Otarcie od liny, które czujesz wokół swej szyi tylko przez sekundę.

Pamiętasz? Musisz znać określenie „stygmaty”.

- Czego chcesz?

- *Oro, fiat illud, auod tam sitio; ut te revelata cernens facie. Visu sim beatus tuae gloriae. Amen.*

Ben poczuł ogromny ucisk wokół szyi. Upadł w przód, dysząc, jego płuca wrzeszczały, domagając się powietrza, kiedy nacisk się wzmaczał, miażdżył mu krtań...

Świat gwałtownie zanurkował w dół, w mrok, gdzie...

...człowiek o nazwisku Herbert Mullin zabił trzynaścioro ludzi na ofiarę Bogu, utrzymując, że ich śmierć zapobiegnie trzęsieniom ziemi w Kalifornii. Podczas śledztwa policji wspomniał, że te śmierci zapobiegły również „innym rzeczom”...

...w mrok, gdzie...

...Juan Corona maczetą zarznął szesnastu robotników sezonowych na swej farmie i utrzymywał, że morderstwa były „aktem świętej ochrony”...

...gdzie...

...William „Theo” Durant w 1895 roku udusił i okaleczył cztery kobiety ze swej parafii. Potem zawłókł ich ciała na wieżę kościoła baptystów pod wezwaniem Emanuela i powiesił je za szyje, twierdząc, że ich trupy posłużą jako „przypomnienie o bożym gniewie na ludzkość za to, że odwróciła się od swych bliźnich”.

Ben stał się Mullinem, Coroną i Durantem, a także Bundym, Geinem, Whitmanem i innymi podobnymi do nich w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Gwałcił i kaleczył, odzierał ze skóry i zjadał żywcem, patrzył na ofiary przez celownik karabinu, kąpał się w ich krwi i odziewał się w ich martwe mięso...

...a każdy brutalny akt dawał uwolnienie i odpuszczenie, gdyż choć

częściowo zdawał sobie sprawę, że czyny te świadczyły o niesłychanej deprawacji, w głębi serca żywił przekonanie, że te morderstwa zapobiegają wydarzeniom związanym z jeszcze większą przemocą i zniszczeniami.

Dum vita est, spes est: gdzie życie, tam nadzieja.

Motto rozmaitych zabójstw.

Ścisnął kierownicę tak mocno, aż pobieleły mu knykcie. Wpatrywał się w dal pełen napięcia, jak człowiek prowadzony do komory gazowej; pamiętał głos zabójcy, który słyszał przez radio, pamiętał, jak patrzył na zdjęcie Cheryl, pamiętał jak zwijał się z bólu, zanim zemdłał, pamiętał brzmienie jej głosu, głosu w niemożliwy sposób nagranych na taśmie, i pamiętał dziecko, ich syna, łana, wołającego „Tato! Tato! Tato!”...

...ale nie pamiętał, jak odzyskał przytomność ani jak odjechał.

Nawet nie wiedział, dokąd jedzie.

Był inaczej ubrany...

...dłonie wyglądały tak staro...

...a głowę miał tak ciężką...

...i nie jechał swym samochodem...

...więc co, do...?

49

Zatrzymał się na parkingu baru samoobsługowego. Stało tam sześć samochodów i trzy ciężarówki z naczepami, jedna z nich transportowała benzynę. Sięgnął do kabury na ramieniu i wyciągnął colta commandera 9 mm z magazynkiem na dziewięć naboji i specjalnym tłumikiem. Otworzył komorę, wsunął dziesiąty nabój, potem wepchnął pistolet z powrotem do kabury i włożył do kieszeni dodatkowy magazynek.

Wyjął spod przedniego siedzenia cztery laski dynamitu, wpakował je

w podszewkę płaszcza. Co, do cholery, robię? - zastanawiał się.

Grasz na zwłokę - nadeszła odpowiedź. Spojrzał w lusterko wsteczne. Nie rozpoznał swej twarzy.

W zbyt jaskrawym górnym oświetleniu pomieszczenie wydawało się przepastne. Wrażenie podkreślał jeszcze daleki brzęk sztućców łomoczących w zmywarce.

Na samym końcu, w strefie oznaczonej napisem „Tylko dla kierowców ciężarówek”, siedziało trzech potężnych mężczyzn.

Zajął miejsce przy kontuarze. Kelnerka - duża, starsza, przyjacielska babka o imieniu Margie - uśmiechała się nieco przebarwionymi zębami i nieustannie mówiła coś do kucharza - niskiego, nerwowego młodzieńca, z kolczykiem w kształcie srebrnej czaszki.

Dwie inne kelnerki siedziały przy oddalonym stoliku. Prawdopodobnie miały przerwę.

Z ubikacji wyszedł elegancko ubrany mężczyzna i usiadł w boksie w pobliżu Bena.

Za biurowym okienkiem, tuż obok kierowców siedziała pochylona nad czymś księgowa.

Ben obrócił się i rzekł (głosem zabójcy) do eleganckiego mężczyzny:

- Myślałem o Edwardzie N. Lorenzu, matematyku i meteorologu, który stworzył matematyczną teorię chaosu. Zastosował pewien układ równań, aby zbadać zjawisko konwekcji termicznej na potrzeby krótkotrwałej prognozy pogody i obserwował, jak te równania degenerują się do jakiegoś wariactwa. Napisał: „Czy łopotanie skrzydeł motyla w Brazylii powoduje tornada w Teksasie?” Tak, ponieważ ten na pozór nieszkodliwy ruch powoduje niewielkie, acz istotne, zmiany ciśnienia

atmosferycznego, które z kolei oddziałują z innymi drobnymi zmianami, a te łączą się z jeszcze bardziej nieprzewidywalnymi czynnikami, które nadchodzą z egzo - jono - i stratosfery i mieszają się ze skumulowanymi „efektami motyla” w troposferze, i zanim pan się połapie - bum! - ma pan trzydzieści trupów na osiedlu przyczep kempingowych w Kansas, a setki innych ludzi łkają w ruinach swoich domów. I to wszystko może się zdarzyć w ciągu kilku sekund. Niech pan się nad tym zastanowi. Paź królowej łopocze skrzydłami i po niecałej minucie chaos spada z łomotem na pański świat i rozbija go w drobny mak.

- Nie wiem, o czym pan mówi - odpowiedział mężczyzna - ale ja nie wtykam nosa w niczyje sprawy, więc może by pan...

Szczękniętą kolt i jego odłupana twarz poleciała w tył, chlapnęła w okno, wisiała tam przez chwilę, a potem ześlizgnęła się w dół.

Potem przyszła kolej na Margie - ledwo zdążyła krzyknąć, nim pocisk przebił jej pierś, podniósł kobietę i cisnął nią na rząd metalowych półek, które jęknęły i zdeformowały się. Ich zawartość wypadła na podłogę, zarzucając osuwającą się Margie krwawym gradem rozbitego szkła.

Kiedy kula skasowała mu ćwierć głowy, kucharz Srebrna Czaszka poleciał w bok i wylądował na grillu. Wił się, jego krew skwierczała, a mięso się paliło. Zanim padł w skurczu, zrobił w spodnie i potoczył się na ziemię, dymiąc i brocząc.

Upłynęło osiem sekund.

Dwie kelnerki wrzasnęły i skoczyły ku drzwiom, ale dwa szybkie pstryknięcia kolta ozdobiły stoliki poskręcanyimi kawałkami ich czaszek i kory mózgowej.

Między piętnastą a szesnastą sekundą kierowcy zerwali się na równe nogi. Jeden z nich wyciągnął dwudziestocentymetrowy kordelas i, ile sił w nogach, ruszył, wrzeszcząc „ty pierdolony świrze, sukin...” Nabój z pluskiem przebił mu gardło, ale on nadal szedł, machając ramionami jak wiatrak, tryskał krwią i próbował trafić nożem, wreszcie zderzył się z Benem i razem upadli. Nóż smyrznął pod krzesło.

Ben wpakował następną kulę w kierowcę, tym razem bezlitośnie: pocisk przebił żołądek i wyleciał tuż nad kością ogonową, wlokąc za sobą lepką białą pętlę dolnego odcinka jelit.

Dwadzieścia dziewięć sekund.

Pozostali dwaj kierowcy złapali noże z zastawy stołowej.

Trach! - jeden stracił jaja i runął na podłogę, wrzeszcząc co sił w płucach i ściskając otoczoną mokrym mięsem dziurę między nogami.

Drugi kierowca zanurkował za ladę, poślizgnął się na mokrej Margie i przeleciał przez drzwi kuchenne. Ben dwoma strzałami rozwalil mu kolana na miazgę. Kierowca, padając, uderzył bokiem twarzy w gałkę piecyka i zerwał sobie kawał ciała od policzka do skroni.

Ben schwycił go za włosy, podniósł na nogi, odrzucił stary magazynek, założył nowy, przeszył pociskiem pierś kierowcy, jego samego pchnął na wanienkę z głębokim tłuszczem i zanurzył mu głowę we wrzącym oleju. Kierowca zdołał na chwilę wynurzyć twarz. Skóra zlazila mu jak wosk topiącej się świecy. Dostał w plecy dwie następne kule. Padł w przód, głowa zanurkowała w parzącej czeluści, a kilkadziesiąt poczerńiałych frytek wiło się wokół czaszki.

Ben z takim impetem naparł na drzwi kuchenne, że wypadły z zawiasów. Rzucił się w stronę małego gabinetu, rozwalając okno, które na

kształt supernowej rzygnęło rozbitym szkłem. Odgarnął na bok odłamki i przelazł do środka. Ktoś wewnątrz próbował stłumić jęk.

Za metalowym biurkiem staruszka o dłoniach pokrytych plamami wątrobowymi leżała twarzą na kalkulatorze. Do piersi przyciskała słuchawkę telefoniczną.

Atak serca.

Ben przyłożył słuchawkę do ucha i usłyszał:

- ...wny Biuro Szeryfa, czy to nagły wypadek? Halo?

Wyrwał przewód telefonu ze ściany, obrócił się, ujął dłońmi głowę kobiety, szarpnął ją na bok i skręcił jej kark.

W sali baru ostatni kierowca ciągle wrzeszczał i ścisnął moką, ciekącą jamę w miejscu po jądrach, ale Ben go minął i poszedł ku wejściu; jedna z kelnerek nadal żyła.

Chwycił kordelas, przewrócił dziewczynę na plecy i wtłoczył nóż w jej czoło. Po rękojeść.

Po zbryzganej posoką podłodze przeszedł do ostatniego kierowcy, siadł na nim okrakiem i wcisnął mu lufę pistoletu w policzek.

Pięćdziesiąt osiem sekund.

Chaos rządzi!

- Wracając do „efektu motyla” - kontynuował Ben - ludzkie zachowanie bardzo go przypomina. Jest zdeterminowane przez wcześniejsze, choć niekontrolowalne zdarzenia, które, rozpatrywane w kontekście nienaruszalnych praw zachowania pędu, całkowicie wyjaśniają wszystkie następujące po nich wypadki. Co więc powoduje, że zachowanie staje się nagle autodestrukcyjne? Efekt motyla.

- P - p - proszę, p - proszę pana - dławił się krwawiący mężczyzna,

na którym siedział Ben. - To... obożejezu... tak boli... tak b - bardzo... nn - niech p - pan... mnie nie zabija..."

Zamknął oczy i zaczął skomleć, potem łkać; histeria walczyła w nim z przerażeniem.

- ...nie chcę... umierać... mam dzieci, one... oboże...

Ben nadal przemawiał głosem zabójcy.

- Wyobraźmy sobie, że motyl jest wcieleniem wszystkiego, co powoduje, że ignorujemy lub zwiększamy cierpienia innych, a łopotanie jego skrzydeł to siła naszej apatii, wylewająca się na zewnątrz. W ułamku sekundy łączy się ona z miriadami uwalnianych przez nas emocji: z gniewem, żądzą, szczęściem, z rozpaczą, ze wszystkim, aż stają się jednością. Przemnóżmy to przez liczbę sytuacji w ciągu dnia, w których każda osoba odwraca się od cierpień innych, potem to przemnóżmy przez liczbę ludzi na świecie, a to z kolei przez liczbę sekund w tygodniu, miesiącu, roku albo dekadzie i zaraz otrzymamy cholernie dużą sumę. Kiedy napięcie osiągnie swój punkt szczytowy, połączone siły wyrrywają się na zewnątrz i biorą na cel kogoś lub coś najbliższego w danym momencie. Nadaje to zupełnie nowe znaczenie wyrażeniu „gówno się przytrafia”.

- obożeproszępana... Trzask!

Zdmuchnął płomyk na piecyku gazowym, umieścił pod nim dwie laski dynamitu i podpalił wysunięte lonty. Trzecią wepchnął do połowy w cysternę z benzyną, a czwartą pod stojącą obok ciężarówkę.

Dwie minuty później, kiedy był prawie dziesięć kilometrów dalej, bar wybuchł ogromnym grzybkształtnym obłokiem, który podniósł się na kilkadziesiąt metrów i wywołał falę wstrząsów w jednej trzeciej hrabstwa.

Gruz pofrunął tak wysoko, że zanim opadł, upłynęło prawie dziewięćdziesiąt sekund.

Patrząc w lusterko wsteczne, Ben skonstatował, że chmura przybiera bardzo odpowiedni kształt.

Mrugnął i westchnął.

- Dalsze dwa tysiące dni - oznajmił. A echo odpowiedziało mu:

„To było w Nebrasce, we wrześniu 1977 roku. możesz sprawdzić, jeśli chcesz, pokazałem ci jedną z fotek z albumu mojej pamięci, mam nadzieję, że ją doceniłeś”.

Z mdlącym uciskiem w żołądku, Ben uświadomił sobie, że nie tylko ją docenił, ale również, że sprawiła mu przyjemność. Boże, wybacz - sprawiła mu przyjemność.

50

Obudził się w bólu, w ostrym świetle, wśród odgłosów ludzi, którzy się obok krzatali.

Leżał na łóżku za zieloną plastikową zasłoną. Szpitalna sala nagłych wypadków.

- Wszystko w porządku? Al powiedział, że miałeś jakiś atak. To pytał monsinior Maddingly.

Ben przełknął raz ślinę - bolało; spróbował drugi raz - trochę mniej; po raz trzeci - nadal dokucza, ale można przeżyć.

- Jak długo byłem...?

- Nieco ponad dwie godziny.

- Gdzie kapitan?

- Wezwany do jakiegoś wypadku. Mówił, że spróbuje wrócić. Ben usiadł. Przycisnął dłoń do czoła, starając się powstrzymać zawroty głowy.

- C - co... co ksiądz tutaj robi?

- Kiedy cię przywieźli, udzielałem właśnie ostatniego namaszczenia jednemu z pacjentów. Al poinformował mnie o telefonie do stacji radiowej i to włączyło synapsy w moim starym mózgu. Pozwól, że cię o coś zapytam: czy wszystkie ciała miały monety w miejsce oczu? Srebrne monety?

- ...taa...?

- Piętnaście ciał?

- Tak.

Maddingly skinął głową.

- Co takiego? - spytał Ben.

- Ochrzczono cię w Kościele katolickim. Pomyśl o tym: piętnaście trupów, po dwie monety na każdego...

- ...trzydzieści srebrników. - Ben dotknął swej nadal obolałej szyi.

- Judasz Iskariota - powiedział Maddingly.

- Więc Wielebny miał rację... Pole Krwi...

- *Haceldama*. Pole garncarza w Izraelu, gdzie Judasza pochowano w nieoznakowanym grobie żebraka. Do dziś nikt nie zna dokładnej lokalizacji tego pola. Pogrzebano tam tysiące ciał, ale nie oznaczono tamtego miejsca.

Zasłona poruszyła się gwałtownie i wszedł Goldstein. Wyglądał, jakby nie spał od tygodnia.

- Zmarli powstali z grobów.

- Gdzie byłeś? Co się stało? - spytał Ben.

- Piętnaście ciał zniknęło z kostnicy. Wszystkie ofiary. W środku autopsji zgasło światło, podobno wybuchł jakiś mały bojler, ewakuowano budynek, a kiedy zespół medyczny wrócił, ciała zniknęły. Kostnica była

pusta niecały kwadrans.

- Co pan zrobił?

- Jezu!... przepraszam, monsiniorze... co mogłem zrobić? Kazałem burmistrz Moore zadzwonić do gubernatora i poprosić o jakąś pomoc. Prawie cała policja na ulicach, a facet bawi się z nami w kółko graniaste. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że jest w stanie zabić tylu ludzi, ilu deklaruje. I to mnie przeraża jak diabli. A więc przyjeżdża tu Gwardia Narodowa i w Cedar Hill wprowadzi się godzinę policyjną. - Kapitan przecesał dłonią włosy i spojrzał na lekarzy, pielęgniarki i cierpiących pacjentów o zranionych duszach.

- Al, o co chodzi? - spytał Maddingly.

- Po prostu jestem zmęczony. Myślałem o... różnych rzeczach.

- Na przykład?

Goldstein spojrzał na przejeżdżające obok nosze na kółkach, na których leżała kobieta, przyciskając ręcznik do zakrwawionej twarzy. Westchnął.

- Słuchałem często, jak mój ojciec opowiadał o obozach koncentracyjnych. Widział śmierć swych rodziców w Gunskirchen Lager. Miałem dość tych ciągłych opisów, powtarzanych bez przerwy tych samych szczegółów, jakby pozwolono mu ocaleć tylko po to, żeby stał się żyjącym, odtwarzanym w kółko nagraniem, upamiętniającym tamte wydarzenia. O mnie przypominał sobie tylko wtedy, gdy potrzebował słuchacza dla tej swojej nieustannej mowy pogrzebowej. Pewnego dnia wrzasnąłem: „Żałuję, że mnie tam nie było. Żałuję, że musiałeś to oglądać. Żałuję, że nie cierpiałem i nie umarłem tak jak oni, żebyś również mnie kochał”. Już nigdy więcej o tym nie opowiadał, ale duchy przy nim pozostały. Dlatego

właśnie odszedłem od wiary i wyniosłem się z domu: nie mogłem znieść tego, co uczyniła z nim jego wiara. Nie był moim ojcem, był składnicą widm. Gdy tylko widziałem te duchy w jego spojrzeniu, czułem się nieważny. Więc odszedłem. Nie wróciłem nawet na jego pogrzeb. Chodzi o to - zwrócił się do Maddingly'ego i Bena - czasami spoglądam w lustro, widzę przeblysk jego ducha w swoich oczach i zastanawiam się, czy wszyscy nie jesteśmy tylko chodzącymi cmentarzami. Czy nasze wspomnienia nie służą jako trumny dla tych, których śmierć oglądaliśmy i tych, których śmierć oglądali oni, i tych, których śmierć oglądali tamci. Po prostu - głos mu się załamał - nie mogę... już więcej na to patrzeć. Czuję, jakby ten facet... ta rzecz, nas pokonała. Jakby on... jakby...

Weszła pielęgniarka. Poinformowała, że w recepcji jest telefon do Bena, a dzwoniący powiedział, że to bardzo pilne.

Ben pokuśtykał tam i podniósł słuchawkę.

- Jak było w Nebrasce? - spytał zabójca. - Doszedłeś już do czegoś? Mam nadzieję, że tak...

- ...poczekaj chwilę, ja...

- ...ponieważ jestem już tym zmęczony. Czas, byś przyszedł i mnie złapał, Benjaminie. Spotkaj się ze mną na cmentarzu za kwadrans. Przyjdź sam.

- Tam są gliny i ludzie z biura szeryfa.

- Wszyscy zostali odwołani do nagłego wypadku.

- Co zro...

Gdy tylko rozmówca odłożył słuchawkę, do Bena podbiegł policjant.

- Właśnie dzwonili ze śródmieścia, proszę pana - mówił, próbując nie krzyczeć. - Mamy snajpera.

a zatem, mój oprawco, znowu mamy ten sam problem, czy bosko zainterweniujesz, czy skończy się to tak samo jak poprzednio?

podobnie jak benjamin i jego kapitan, ja również rozmyślałem o różnych sprawach.

o gąsienicy, która wpelzła w moje usta, gdy tam wisiałem, jak przeslizgnęła się przez moje gardło i wewnątrz mnie uwiła swój kokon.

kajfasz kazał swemu „śludze” pociąć moje ciało i pochować je z monetami za moją tak zwaną zdradę, a potem, kiedy zmieniła się pora roku, wyłonił się ze mnie traditor papilio.

jak inteligentnie z twojej strony, że naznaczyłeś go stygmatem.

krew twego cytując syna koniec cytatu naznaczyła dereń świętością, moja śmierć naznaczyła hańbą czarnego motyla, a jeśli chodzi o resztę... naprawdę przeszedłeś samego siebie.

czy kiedykolwiek zadałeś sobie pytanie, czy naprawdę na to zasługiwali?

nie sądzę.

czasu jest niewiele, dum vita est, spes est.

Kiedy Ben dotarł na dawny cmentarz, chmury burzowe już się zbierały. Niskie pomruki grzmotów podkreślały wyraziste błyski cichych błyskawic, które oślepiały Bena i wydawały się tańczyć po pobliskim stawie, zamieniając go w płachtę ognia. Potem wszystko ogarnął mrok. Mrugnięcie, oddech, a wtedy wzrok, już przyzwyczajony do chwilowych rozbłysków, pozwolił mu dostrzec macki mgły powstające z grobów, skręcające się, zwijające i tworzące na wpół ludzkie kształty. Z

czterdziestkąpiątką mocno zaciśniętą w lewej dłoni, wyszedł z samochodu i wspiął się na wzgórek, na którym leżał właściwy cmentarz. Goldstein był niezbyt zadowolony, że Ben przyjdzie tu sam, ale sytuacja w śródmieściu była poważna. Osiem osób zostało rannych, ale, dzięki Bogu, nikt jeszcze nie zginął.

- Czemu nigdy nie przyszło nam na myśl, że może być ich dwóch? - spytał, kiedy Ben szedł do swego samochodu.

- Niech mnie diabli, jeśli wiem.

- Masz dwadzieścia minut - powiedział Goldstein. - Jeśli do tego czasu nie będzie od ciebie żadnej wiadomości, biorę trzy jednostki i jadę ratować twój tyłek bez względu na to, czy snajper będzie jeszcze atakował.

- Odezwę się.

Wtedy Goldstein chwycił Bena za ramię i powiedział:

- Bądź ostrożny. Nie cackaj się z nim. Nienawidzę bohaterów, rozumiesz? Przeważnie wszyscy giną.

Ben skinął głową i odjechał. Goldstein i monsinior Maddingly (który nalegał, żeby go zabrać, bo miał nadzieję namówić snajpera do zejścia) wsiedli do samochodu patrolowego.

Ben spojrzał na zegarek.

Miał dziewiętnaście minut.

W odległym końcu cmentarza, obok ścieżki, która kiedyś wiodła przez cały teren, włączyła się samotna lampa rtęciowa. W jej przyćmionym, spływającym w dół świetle, nad rozbitym nagrobkiem pochylała się chuda postać.

Ben wprowadził nabój do komory i powoli ruszył. Oddychał ciężko i nierówno i nie mógł pozbyć się wrażenia, że prócz niego i tamtej postaci

ktoś tu jeszcze jest.

Następna błyskawica rozciągnęła na niebie swą pajęczą sieć i Ben musiał zagryźć wargi, by nie wrzasnąć.

Na różnych drzewach wokół cmentarza dyndały ciała skradzione z kostnicy. Niektóre powieszono za szyje, inne za kostki, a jeszcze inne wbite na końce ostro zakończonych gałęzi - blade, gołe, wypatroszone anioły. Ich otwarte, puste klatki piersiowe wyglądały jak ziejące paszcze gigantycznych owadów. Płaty ciała dyndały na wzmagającym się wietrze; twarze niezdolne już do zmiany grymasu, zastygły w makabrycznych uśmieszkach; ramiona pozbawione świadomych impulsów, bezwładnie machały tam i z powrotem, jakby zapraszając Littlejohna, by szedł naprzód.

Ben wziął głęboki oddech i maszerował dalej.

Postać wyprostowała się.

Ben zastygł w półmroku, niemal się dławiąc.

- ...ojezu...

- Cześć, kochanie - powiedziała Cheryl.

Tysiąc dni nagromadzonego żalu, samotności, gniewu i bezradności wezbrało w piersi Bena. Opuścił pistolet i próbował się ruszyć, ale nie mógł; część jego umysłu wyła, że to się nie dzieje, że to nie może być prawda, a kiedy jego usta i szczęki usiłowały sformować słowa, które nie dawały się wypowiedzieć, jego żona ruszyła ku niemu z uśmiechem pełnym wiosny, ramiona rozwarła, by go objąć, i nagle Bena Littlejohna przestał interesować zabójca, liczyła się tylko Cheryl. Była rzeczywista, dawała mu życie i sens istnienia i, ojezu, była tak blisko, że czuł zapach jej skóry, łagodny i zmysłowy, a groza ostatnich piętnastu godzin wyblakła,

wysechł smak tysiąca dni gorzkiej tęsknoty, a chaos, który tak długo stanowił istotę egzystencji Bena, nałożył się sam na siebie i stał źródłem porządku.

Rzucił się ku niej, potknął o nagrobek, upadł na kolana, a potem niemal oślepiony potokiem łez, objął ją w talii, ukrył twarz na jej piersi i szlochał.

- Ojezu, kochanie, tak za tobą tęskniłem, oboże kocham cię, tęskniłem za tobą, kocham cię tak bardzo...

- Sza, sza, już dobrze. - Głaskała go po głowie. - Już niemal koniec.

- ...kocham cię tak bardzo...

Wstał i mruganiem odpędzał łzy z powiek... Znikła. A u jego stóp, w rogu nagrobka, siedział czarny motyl, ten sam, którego Ben widział rano. Rozległ się głos zabójcy:

- Kiedy Hannibal przybył pod bramy Rzymu, zobaczył siedzącego tam czarnego motyla i wiedział, że jego zwycięstwo będzie daremne. Bo po co zdobywać miasto, które i tak spłonie?

Ben wziął głęboki oddech, wciągając smarki, posmak stali i wściekłości. Uniósł pistolet i zacisnął zęby.

- Gdzie jesteś? - szepnął.

- Odwróć się - odparł zabójca.

Był znacznie niższy, niż to sobie Ben wyobrażał, ale bez trudu dostrzegł, że zabójca pod nędznym ubraniem ma ciało muskularne i silne; żyłaste mięśnie falowały przy każdym ruchu.

Jego oczy były bardzo jasne i zaskakująco niebieskie. Ben nigdy wcześniej nie widział bardziej udreńczonych oczu. Wypełnione były po brzegi duchami. Tak, wieloma duchami.

- Cześć, Ben.

- Co zrobiłeś z Cheryl? Gdzie moja żona, do cholery?

- Niedaleko. Nie martw się, znowu ją zobaczysz. To możliwe. Zależy od tego, w jakim stopniu będziesz współpracował.

Ben uniósł pistolet i wycelował dokładnie między oczy zabójcy.

- Strzelaj, jeśli chcesz, ale to nic nie pomoże. Próbowałem tego tyle razy, że stało się to niemal zabawne.

- Kim jesteś?

- Myślałem, że to już jasne. - Uśmiechnął się smętnym, zmęczonym uśmiechem, który przeobraził jego ogorzałą twarz w siatkę zmarszczek. - Więc masz zamiar wykorzystać ten przedmiot czy nie? Nawiasem mówiąc, ładny pistolet.

Ben zerknął i zobaczył, jak czterdziestkapiątka migocze w jego dłoni i zmienia się w colta 9 mm parabellum, którego miał podczas snu o masakrze w Nebrasce.

Nie odrzucił go tylko dzięki profesjonalnemu opanowaniu.

Zabójca pokręcił głową przeszedł obok Bena, uklęknął przy nagrobku i wyciągnął rękę. Motyl ruszył ku niej na dziesiątkach owadzych nówek i usadowił się bezpiecznie na dłoni zabójcy.

- Jeśli chcesz powrotu Cheryl i lana, nie pociągniesz za ten spust.

- Kim jest twój partner?

- Mój kto?

- Twój partner. Kim jest snajper?

- Ach, prawda. Nazywa się Randy Perry. Jest mechanikiem z Heath, leczy się na depresję. Zastrzeli jeszcze siedmioro ludzi, zanim zabije go jednostka SWAT. Sprawdzą jego środowisko i znajdą wystarczające do-

wody, by powiązać go z tym, co się stało w knajpie. Sprawa zamknięta. Następny rozdział do ksiązek o seryjnych mordercach.

- Skąd o tym wiesz?

Zabójca wstał, trzymając ostrożnie motyla w dłoniach.

- Czy kiedykolwiek powiedziałeś lub zrobiłeś coś, czego byś później żałował? Oczywiście, że tak, kto tego nie ma na swoim koncie? Chciałbyś to cofnąć, ale nie możesz. Tracisz panowanie nad sobą w chwili dezorientacji, słabości czy gniewu i nagle wyrządzasz światu krzywdę. To już się stało, już się dokonało i nie możesz tego zmienić. Kiedy uczęszczałeś do szkoły katolickiej, czy ktoś zadał twoim nauczycielom religii klasyczne, mędrkowane pytanie: „Czy Bóg może stworzyć kamień tak wielki, że nawet On go nie udźwignie?” Cóż, może. W dniu śmierci Chrystusa gniew boży był tak przytłaczający, że Bóg stracił na chwilę panowanie nad sobą i w tamtej chwili stworzył dzień, w którym świat ma się skończyć. Wypluł go i wyrzucił do wieloświata, gdzie ten dzień ciągle czeka. I On nie może tego cofnąć. Próbował. Więc oto kamień tak wielki, że nawet Bóg go nie udźwignie.

Czy wiedziałeś, że technicznie biorąc, piekło i niebo nie są rozdzielone? Piekło mieści się w północnej stronie trzeciego nieba. To zabawne, ponieważ... cóż, przynajmniej mnie się to wydaje zabawne, ponieważ kiedy przybyłem tym razem do tej odnogi wieloświata, innymi słowy, kiedy przybyłem do Cedar Hill, zrobiłem to w miejscu, które kiedyś nazywano Starówka Wschód. Piekło to zasadniczo niebiańskie Hrabstwo Trumien.

Po moim samobójstwie, z mego zakątka piekła, wrzeszczałem do Boga, by nie karał świata za zło, które wyrzodziłem.

To mój grzech - wołałem. - Niech cierpienie będzie również moje.
Torturuj mnie, nie ich.

Tak więc wysłał mnie z powrotem. Zabrało to wiele czasu, ale w końcu uświadomiłem sobie naturę swej kary. Pamiętasz, jak po morderstwach w Nebrasce pomyślałeś „dalsze dwa tysiące dni”? Tyle właśnie czasu zyskano dzięki tym śmierciom. Uśmiercając tych dziewięciu ludzi odsunąłem od ludzkości koniec świata o dwa tysiące dni.

Ben z odrazą, a jednak zafascynowany, zapytał:

- Czy w pobliżu tamtego miejsca znajduje się cmentarz?

- Niecały kilometr stamtąd, na polu farmera, gdzie w 1931 roku kolejarze pobili na śmierć dziewięciu włóczęgów. Pochowano ich bez identyfikacji. Nic nie znaczyło ich grobów. Nikt nie wiedział, że tam są. Prawdę mówiąc, nadal nikt tego nie wie.

Tak więc za każdą osobę, która umrze i jest pochowana bez nazwiska lub bez jakichkolwiek oznak, że tam jest jej grób...

...muszę zabić osobę, której śmierć zostanie zauważona, której nazwisko będzie wyryte na nagrobku, którą przyjaciele będą opłakiwać i którą rodzina będzie wspominać. Pomaga to odzyskać równowagę bólu i w ten sposób odsunąć... koniec wszystkiego.

Burzowe chmury opadły niżej. Kotłowały się, grzmiały i błyskały ostro załamanyymi błyskawicami, kiedy Judasz Iskariota rozwarł ramiona ku cmentarzowi.

- Na całym świecie istnieją setki tysięcy miejsc takich jak *Hacel - dama*, choćby ten mały, smutny cmentarz. W każdej godzinie wykopuje się podobne nowe groby. Dość szybko zrozumiałem, że sam w żaden sposób nie zdołam utrzymać równowagi bólu. Spłodziłem więc takich jak

Bundy, Whitman, Corona i Gein; Cowan, Gacy, Berkowitz i Haarman; Gilles de Rais, Strakweather, Rojas, Dahmer, Speck i niezliczonych innych, a niektórzy z nich nie urodzą się jeszcze przez pięćdziesiąt lat. Uzyskane przez nich wyniki wydłużą czas, jaki pozostał jeszcze światu.

- Skąd to wiesz? - krzyknął Ben. - Jakie masz dowody?

Judasz zacisnął szczęki, zmrużył oczy, jego głos stał się głębokim, zabójczym szeptem.

- Widzisz to? - Wyciągnął dłoń i pokazał czarnego motyla. - Gatunek łuskoskrzydłych tak rzadki, że od ponad stu lat uznawano go za wymarły. Jego nazwa łacińska brzmi *traditor papilio* - motyl zdrajca. Nazywany również „ćmą Judasza” z powodu białego paska symbolizującego odcisnięty wokół mojej szyi sznur - postronek dla bydła, którego użyłem, by zakończyć swe nędzne życie. Istnieje ich zaledwie trzydzieści, jeden za każdą przyjętą przeze mnie sztukę srebra. Można je tylko znaleźć na nieoznakowanych grobach - zrodziły się w jednym z nich, więc takie groby je przyciągają. Poruszają się, pełzając. Nigdy nie łopoczą skrzydłami - och, mogą nimi czasami nieco trzepotać, ale nigdy nie latają. Są niezniszczalne, ale zdolne do wyrządzania nieograniczonych zniszczeń.

- Efekt motyla? - spytał Ben.

- W swej ohydnej, krańcowej formie. W końcu nadejdzie dzień, kiedy cała ich trzydziestka powróci do miejsca swych narodzin. Kiedy wszystkie zgromadzą się na mym grobie, jednocześnie załopoczą skrzydłami, po czym nastąpi Nicość. Niewyobrażalna Nicość. Zemsta, jak mówi przysłowie, będzie należała do Boga.

- Dlaczego ja? - wyszeptał Ben. Pistolet zwisał w jego opuszczonej bezwładnie ręce.

Judasz pokręcił głową.

- Nie mogę na to odpowiedzieć. To nie ja wybieram. To motyle. Ja po prostu... płodzę.

- Więc po co ten cały teatralny sztafaż?

- W ciągu wieków odkryłem, że chaos pomaga przyspieszyć tę... chyba nazwałbyś to procedurą rekrutacyjną. I, choć brzmi to okropnie, bawi mnie obserwacja, jak ludzie reagują. Wiem, że to słowa bezwzględne, nie będę się usprawiedliwiał. Po dziesięciu tysiącach lat czerpię radość, gdzie tylko i kiedy tylko mogę. Po prostu nie myślisz, że to człowiek, tylko środek prowadzący do celu.

Ben spoglądał na miejsce, gdzie zaledwie przed kilkoma minutami stała jego żona, i próbował wszystkiemu zaprzeczyć. Po chwili podniósł głowę i spytał:

- Dlaczego jesteś biały? Judasz uśmiechnął się szeroko.

- Ponieważ to ciało nie jest tym, w którym się urodziłem. Mój duch może wedle woli wprowadzać się do każdego ciała, a potem je opuszczać. To ciało akurat należało do jednego z założycieli Cedar Hill. Uważam, że jest dość wygodne. Tak samo uważa twój przyjaciel, Wielebny.

- Wielebny jest taki jak ty?

Judasz wzruszył ramionami.

- Zależy od tego, którym tekstom wierzysz: Biblii, tekstom kano-
nicznym, *Summa Theologicae* Tomasza z Akwinu czy kilkunastu innym -
człowiek, którego znasz jako Wielebny, jest w rzeczywistości moim
przyrodnim bratem. Ale lubię nazywać go bratem, ponieważ to go irytuje.
Od tego wyskakuje mu żyłka pośrodku czoła, a mnie to bawi.

- Kim on naprawdę jest?

- Nie do mnie należy odpowiedź na to pytanie. I naprawdę nie musisz tego wiedzieć. Dość powiedzieć, że to człowiek odpowiedzialny zarówno za odcięcie i pochowanie mego ciała, jak i za pomoc w zdjęciu z krzyża ciała Chrystusa. Na dłoniach miał wtedy otwarte rany, tak że krew zarówno Zdradzonego, jak i Zdrajcy zmieszały się z jego własną. Ma wymierzoną karę za grzech zaniechania. Ale pewnego dnia zrozumiesz to lepiej. Być może.

Wiesz, masz bardziej wrażliwe sumienie niż inni potencjalni rekruci - stwierdził Judasz. - Ale jako policjant będziesz miał więcej okazji i większą swobodę. - Stał obok Bena, wiatr odgarniał mu z twarzy długie, białe włosy, gdy położył mu dłoń na ramieniu. - Mam więc dla ciebie propozycję: pracuj dalej razem ze mną, pomagaj utrzymywać równowagę bólu, a ja pozwolę ci użyć tego.

Podniósł w górę zegarek, który Wielebny wręczył Benowi w schronisku.

Ben sprawdził kieszeń i odkrył, że jest pusta.

- Tak, do moich rozlicznych nabytych talentów należy talent kieszonkowca - powiedział Judasz. Nacisnął zameczek, otworzył wieczko i oddał zegarek Benowi. - Zwróć uwagę na czas.

Ben spojrział i zobaczył, że wskazówki zegarka wskazywały dokładnie za kwadrans jedenastą.

- O tej porze zeszłej nocy wszedłem do Knajpy Dawnych Indian - powiedział Judasz. - Jeśli zgadzasz się do mnie dołączyć, musisz tylko nacisnąć guziczek na tym zegarku, a on cofnie się o jedną minutę, do dziesiątej czterdzieści cztery wieczorem, zanim wszedłem do restauracji.

Chwytasz, Benjaminie? Uruchom ten zegarek i kiedy wskazówka

sekundowa zrobi jeden obieg wstecz... nic z tamtych wydarzeń nie będzie miało miejsca i tylko ty, ja i Wielebny będziemy pamiętać o tych zdarzeniach. Pomyśl o tym. O wszystkich niewinnych ludziach: znowu są pośród żywych, zajmują się swym małym nieważnym życiem, jakby nic się nie wydarzyło, ponieważ nic się nie wydarzy.

Ben spojrzał na zegarek.

- Czemu Wielebny i... i Rael mi to dali? Judasz się uśmiechnął.

- Rael jest z kilku powodów dłużnikiem Wielebnego, więc nie może odmówić prośbie. Wielebny - jakże żałuję, że nie mogę wyjawić ci jego prawdziwego imienia, po to tylko, żeby zobaczyć twoją minę - Wielebny i ja jesteśmy jakby... parą zapaśników z jednej drużyny, by użyć terminologii sportowej.

- Czy wiedział, że złożysz mi taką ofertę?

- Czy wiedział? Mój drogi Benie, to był jego pomysł.

Ben pokręcił głową i zaczął się cofać. Wszędzie wokół niego półczłowiecze obłoki mgły nabierały cielesnych kształtów - pozbawione nazwisk trupy powstające z zapomnianych grobów. Nawet ciała zwisające z drzew zdawały się drgać, powracając do życia.

- Nie wierzę ci - powiedział Judaszowi.

- Nie spodziewałem się, że uwierzysz, więc pozwól, że osłodzę naszą umowę. Moja propozycja jest następująca: za każdą śmierć z twoich rąk dostaniesz godzinę ze swoją żoną i synem łanem - takim, jakim by był, gdyby żył.

Pierwsze krople deszczu spadły na ich głowy. Niebo pękało.

- Dalej, Ben. - Judasz spojrzał w niebo. - Czas się już kończy. Możesz teraz pomóc Alowi, Maddingly'emu czy jeszcze innym. Co się

stało, to się stało. Właśnie dlatego się urodziłeś.

Twoja żona i syn. Wymazanie wszystkiego, co wydarzyło się od dziesiątej czterdzieści pięć ubiegłego wieczoru. I dalszy bezruch skrzydeł motyla.

53

A teraz, drodzy przyjaciele, doszliśmy niemal do końca opowieści, której w Cedar Hill nikt prócz mnie nie pamięta. Ben Littlejohn uruchomił zegarek i wymazał wszystkie wydarzenia aż do poprzedniej nocy. Przyjął ofertę Judasza. Nie mógł się oprzeć obietnicy spędzania czasu ze swoją żoną i synem.

Jeśli chodzi o mnie, postanowiłem pozostać w Cedar Hill jako strażnik tego miasta, jako jego wartownik. Nie zdarza się tutaj nic, czego nie byłbym świadom; każde wydarzenie, każda usychająca trawka, każda zła myśl, każde ukłucie głodu, każda chwila rozpaczy - wszystko przechodzi przez mój mózg. Każde wspomnienie widzę równie wyraźnie jak ten, kto wywołał je z cieni.

I tutaj pozostanę, w tym pożyczonym ciele, aż nadejdzie czas, kiedy wezwą mnie do odejścia.

Gdybym powiedział, kim naprawdę jestem, pokręcilibyście głową z niedowierzaniem. Pozwólcie więc opowiedzieć sobie starą historię, która pomoże wam się zorientować, jak brzmi moje prawdziwe imię.

Pewien kupiec w Bagdadzie posłał swego sługę na bazar z jakimś poleceniem. Sługa wrócił blady ze strachu i drżący.

- Panie - wykrztusił - kiedy byłem na targu, wpadłem na nieznaną. Spojrzałem jej w twarz i przekonałem się, że to Śmierć. Pogroziła mi gestem i odeszła. Proszę cię, daj mi konia, bym natychmiast mógł ruszyć

do Samary, jak najdalej od Śmierci.

Kupiec - niepokojąc się o sługę - dał mu najszybszego wierzchowca. Sługa wskoczył na niego i w okamgnieniu odjechał.

Tego samego dnia, nieco później, również sam kupiec wybrał się na bazar i zobaczył, że Śmierć włóczy się w tłumie. Podszedł więc do niej i powiedział:

- Rano groziłaś mojemu słudze. Co to miało znaczyć?

- Nie groziłam mu, szanowny panie - odparła Śmierć. - Drgnąłam z zaskoczenia, że spotykam go tu, w Bagdadzie; widzi pan, mam z nim dziś wieczór wyznaczone spotkanie... w Samarze.

Kiedyś miałem takie wyznaczone spotkanie, ale moi przyjaciele - tacy lojalni przyjaciele - nie chcieli, bym się na nie stawił. Wykradli mnie, wywieźli siłą i znaleźli innego człowieka, by zajął moje miejsce.

Ale to nie jest opowieść o mnie. I widzę po waszych minach, że może już zorientowaliście się, kim jestem.

Więc posłuchajcie: musimy przez krótką chwilę śledzić Bena Littlejohna, a potem odejdziemy - i ja, i ta opowieść.

Trzy dni po tym jak Cedar Hill zostało przywrócone do stanu, w jakim było, zanim mężczyzna w kurtce wszedł do Knajpy Dawnych Indian, Phil Dardis z Cedar Rapids w Iowa razem z żoną i trojgiem dzieci ruszył sprzed schludnego podmiejskiego domu. Wybierali się na piknik - wielkie rodzinne spotkanie. Mieli do przejechania prawie czterdzieści kilometrów.

Piętnaście minut później w samiusieńkim środku wiejskiej drogi, porośniętej z obu stron gęstymi drzewami, natknęli się na młodego, przystojnego księdza, któremu właśnie się zepsuł samochód. Mimo protestów żony, Phil, przez całe życie dobry katolik, zatrzymał się, by udzielić

duchownemu pomocy.

- Czy coś mogę dla ciebie zrobić, ojcze?

- Obawiam się, że to pasek klinowy. Czy wyświadczysz mi grzeczność i podwiesz do najbliższego telefonu?

- Oczywiście. Powinien być na parkingu. Właśnie tam jedziemy.

- Piękna rodzina.

- Dziękuję. Ksiądz pozwoli, że mu z tym pomogę. Lepiej, żeby ksiądz nie zostawiał tutaj swej torby, bo ktoś mógłby ją ukraść. Ma ksiądz szczęście, że wtedy przejeżdżaliśmy. Niewielu ludzi jeździ tą drogą, leży za bardzo na uboczu. Uf, ta torba jest dość ciężka, ojcze.

- Dekoracje kościelne. Wezmę ją, jeśli pan nie może...

- Cholera! Ach, przepraszam. Niech to szlag! otworzyła się i... co to, do diabła?

- Ja ją wezmę.

- Jezu, niech pan chwileczkę poczeka! Pan nie ma zamiaru... stop! Rany boskie Lucy ucie...!

Dopiero kilka godzin później Ben zobaczył ich stojących na poboczu. Podjechał i otworzył na oścież drzwiczki. Cheryl wsiadła pierwsza, potem Ian. Musieli się mościć między pistoletami, strzelbami i inną bronią, ale im to nie przeszkadzało, wreszcie znów byli razem. Płakali, całowali się, ściskali z radości.

Cheryl powiedziała Benowi, że jeśli mają się kochać, muszą szybko znaleźć miejsce, mają tylko pięć godzin i och, nawiasem mówiąc, rodzina Dardisów kupiła następne dziewięćdziesiąt osiem dni, i skąd wzięles tego wielkiego czarnego psa na tylnym siedzeniu, Ian po prostu go uwielbia.

Ben skinął głową i powiedział, że pies nazywa się Kajfasz i jest

podarunkiem od przyjaciela. Patrzył na szosę i myślał, że pięć godzin z rodziną to za mało.

Czterdzieści minut później, przed wjazdem na autostradę, zabrali parę autostopowiczów - wyznawców New Age z kryształowymi wisiorami i pseudoindiańskim nosidełkiem, w którym spało niemowlę.

Ben uśmiechnął się później, wrzucając ich głowy do parkingowego kontenera na śmieci.

Było warto. To było dobre.

Przebywać tu z rodziną; mieć czas.

- Spójrz. - Cheryl wskazała klomb z kwiatami. - Jaki piękny motyl.

A TERAZ BONUS:

Dwie opowieści z Cedar Hill,
w których występują Grant McCullers
i szeryf Ted Jackson

ZAGRAM CI BLUESA

Poszedłem na rozstaje, upadłem na kolana,

Na skrzyżowaniu dróg upadłem na kolana,

By litość miał, ocalił Boba,

Prosiłem w niebie Pana.

Robert Johnson

Musisz zrozumieć, że ludzie umierali dla tej muzyki.

John Lee Hooker, wywiad radiowy dla BBC, 1973

1

PAYING THE COST TO BE WE BOSS* (BYĆ SZEFEM TO KOSZTUJE)

Legenda głosi, że jeśli początkujący bluesman stanie na opustoszałym wiejskim skrzyżowaniu w mroku bezksiężycowej nocy, wtedy sam szatan przyjdzie, nastroi mu gitarę i zawrze pakt o jego duszę, gwarantując mu w zamian życie pełne łatwych pieniędzy, kobiet i sławy. Mówi się, że po ziemi chodzi kilku takich, którzy musieli czekać na rozstajach i zawarli z diabłem umowę, bo ich gitary mają niezwykle brzmienie.

Tak jak we wszystkich legendach, synu, rzecz nieco poplątano przez lata ustnych przekazów.

Niedługo nadejdzie twój czas i przejmiesz interes; to odpowiedzialność i są rzeczy, które musisz wiedzieć.

Usiądź sobie i posłuchaj.

Zawierano umowy na skrzyżowaniach, ale stary bies - i nie daj sobie wmówić, że było inaczej - nie miał z tym prawie nic wspólnego...

2

BOOGIE CHIELUN (DZIECI BOOGIE)

Wiedziałem, że to będzie ta noc, bo stojąca w rogu stara szafa grająca włączyła się zupełnie sama. Cholerny grat ma prawie pięćdziesiąt lat i niemal równie długo nikt go już nie używa, więc stoi sobie za skrzynkami przykryty brezentem. Przy parkiecie mamy szafy grające skomputeryzowane - klienci je wolą.

Skąd wiedziałem, że to znak?

Tej starej szafy nigdy nie włączano do kontaktu; w każdym razie nigdy, odkąd tu pracuję. Tata pokazał mi ją tego wieczoru, gdy postanowił się wycofać.

Stałem za barem, masowałem chorą rękę i wpatrywałem się w niesamowite światło, które próbowało się przebić przez tkaninę, a cudowne chrapliwości otwierające piosenkę Johna Lee Hookera *One Bourbon, One Scotch, One Beer* (Jeden bourbon, jedna szkocka, jedno piwo) wypełzły jak waż królewski, kręcąc ostrym ogonem w trzeszcząco - grzechoczącym tańcu i plując ci w oczy, jeśli ci się to nie spodobało.

Spojrzałem na zegarek.

Jedenasta wieczór.

Jeszcze ponad godzinę.

To dziwne, jak na człowieka działa to, że ma jakiś cel: spędzasz całe życie przygotowując się do czegoś, a jednak kiedy to nadchodzi, masz stracha.

Strzeliłem sobie szybkiego jima beama, by uspokoić nerwy i znieczulić ból w swojej artretycznej dłoni (która na tym etapie mojego życia bardziej przypomina szpon), a potem uniosłem ruchomą część lady i wyszedłem przed bar, by rozpocząć przygotowania.

Przede wszystkim wyjąłem siatkową torbę i czaszki.

Nazywam się Grant McCullers, a mój lokai - Tawerna Wisielca. Znajduje się w pół drogi między Cedar Hill a Buckeye Lake, ale nie rozglądajcie się za przydrożnym znakiem, który do niej kieruje; nie znajdziecie go.

Szukajcie skrzyżowania trzy kilometry po zjeździe z autostrady. Nie

sposób go przeoczyć. A podczas złej pogody i kiepskiej widoczności wypatrujcie po lewej stronie trzymetrowego słupa w kształcie litery T, z którego będzie zwisała pętla. Chłopaki z Ku - Klux - Klanu przywozili tu czarnych i wieszali ich, a potem szli trochę dalej, na drinka. W ten sposób gospoda mojej rodziny zyskała swą nazwę. Mój pradziadek należał do Klanu i zbudował tę tawernę. Potomkowie linii męskiej postanowili nie kontynuować członkostwa W tym akurat klubie dla chłopców. Nie żeby to pomogło wymazać hańbę z historii naszej rodziny.

Czaszki - razem sześć sztuk - należały do czarnych, których ciała odcięto ze słupa i pochowano na polu, ciągnącym się przez trzy kilometry za działką tawerny. Mój dziadek znalazł ciała i, wiedząc, co trzeba zrobić, zabrał czaszki, a resztę szczątków pozostawił, by spoczywały w spokoju.

Bardzo się starałem nie patrzeć na nie, kiedy chwytalem je i po kolei kładłem do siatki. Sama myśl, że mógłbym spojrzeć w te starodawne, puste oczodoły przyprawiała mnie o dreszcze: ktoś to wie, co za widma czają się w tym kościano - grobowym mroku?

Zawiązałem wierzch torby kawałkiem drutu i zarzuciłem sobie torbę na ramię - rozległ się taki grzechot, że kolana niemal ugięły się pode mną - i wyszedłem przez boczne drzwi.

Noc była chłodna, rześka i jasna. Gwiazdy pobłyskujące w górze przemieniły ciemność w dywan wysadzany drogimi kamieniami, a każda z nich mrugała do mnie, jakby wiedząc, że potrzebuję wszelkiego moralnego wsparcia, jakie mogę dostać. Uśmiechnąłem się do nich, jak zwykle zdumiony myślą, że im dalej gwiazda znajduje się od Ziemi, tym bliżej ma do chwili, w której zaczął się wszechświat; tym bliżej do tajemnicy tego, skąd wzięła się Muzyka i czego dokładnie chcą Pieśniarze.

Nigdy nie zastanawiałem się nad tym zbyt długo. Ta sprawa nie tylko mnie przerażała, ale również przygnębiała.

Powlokłem się drogą, aż dotarłem do słupa wisielców. Przywiązałem siatkę z czaszkami do pętli i - tak jak mnie uczono - zakręciłem nimi mocno, aż lina zawęzła się przy wierzchołku i sama zaczęła się kręcić, wracając do poprzedniego położenia.

Czaszki przesuwały się i dzwoniły.

Moje zęby też.

Podmuch ostrego wiatru z południa przyniósł nieznaczny zapach ozonu.

Nadchodziła wielka burza.

Chmury ruszyły niemal natychmiast, zakrywając kawał nieba o obwodzie mniej więcej ośmiu kilometrów: to zarys działki, na której stoi tawerna.

Niewielka przerwa pośrodku chmur przepuściła pojedynczy, silny promień księżycowego światła - oświetlił środek skrzyżowania, niczym reflektor pustą scenę.

Zamknąłem oczy, zacisnąłem w kieszeni dłoń na woreczku z talizmanami i wstrzymałem oddech.

Nadpłynął ku mnie słaby, chropawy dźwięk gwizdka pociągu, któremu towarzyszył melodyjny stukot żelaznych kół („Łap ten wór, bo nie wrócisz tu ptaszyno”), a kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem Dymiarza oświetlonego plamą księżycowego światła.

Odziany w postrzępiony płaszcz, w jeszcze bardziej postrzępionej fedorze na głowie, patrzył nie na mnie, lecz w górę, w światło. Odjął organki od ust i zerwał z głowy kapelusz, jakby przygotowywał się do

ukłonu. Promienny uśmiech jak błyskawica rozjaśnił jego hebanową twarz. Wyrzucił kapelusz w powietrze i akompaniował jego lotowi radosnymi okrzykami, a potem złapał swoją fedorę, przyklepał ją na głowie i przyłożył znowu organki do warg. Trzymał je mocno jedną dłonią, podczas gdy druga wykonywała gesty pozdrowienia dla wszystkich duchów, które mogły sobie spacerować tej nocy.

Kiedy tańczył na plamie księżycowego światła, jego stopy wybijały rytm: kop - tu - tap - tap, szur - tap - kop. Przez najbliższe dwie godziny nikt - ani istota ludzka, ani duch, ani nic innego - nie mógł przejść tą drogą bez jego pozwolenia.

Kop - tu - tap - tap, szur - tap - kop...

...a jego organki śpiewały:

Rock Island Linę strasznie dobra jest, Rock Island Linę to kolej, że hej! Rock Island Line strasznie dobra jest, Chcesz się zabrać, jest okej, Kup sobie bilet i się śmieję!

- „Czasem się myślę, taką mam wadę” - zaśpiewałem.

- „Wiem, że zatęsknisz, kiedy odjadę” - odpowiedział pieśnią. Jego głos, bluesowy baryton, roztopiał chłód mroku.

A potem znowu odezwały się organki: Rock Island Line to kolej że hej!

Odwróciłem się i ruszyłem na powrót ku tawernie.

Kop - tu - tap - tap, szur - tap - kop.

Oznaczyłem dobrze to miejsce. Dymiarz udzielił mi błogosławieństwa, tak jak i te duchy, których widmowe głosy dołączyły się do jego pieśni.

Niektórzy powiadają, że wszystko zaczęło się od Wojny w Niebie. Wiecie, jak to było - Lucyfer nie wygrał i został wygnany, a niektóre anioły, walczące wcześniej u jego boku, poszły do Boga i powiedziały, że przepraszają, ale Bóg nie chciał tego słuchać. Wyznał, że powinny być ukarane i odesłał je, póki nie wymyśli dla nich kary. I Dobry Pan skoncentrował się całkowicie na tworzeniu ludzkości. Upadłym Aniołom nie bardzo się podobało, że Bóg poświęca ludziom tyle uwagi, więc skradły Księgę Wiedzy Zakazanej z biblioteki Dobrego Pana, zeszły na Ziemię i rozproszyły się. Każdy zabrał ze sobą fragment Zakazanej Wiedzy.

Niektóre z nich dotarły tutaj i zasmakowały w ludzkich przyjemnościach - jedzeniu, picciu... w kobietach. I położyły swego anielskiego kutasika na wybranych kobietach, a dzieci, które rodziły się z tych związków... były Utalentowane w sposób niedostępny zwykłemu człowiekowi.

Istnieją pewne sprawy, które nie są przeznaczone ludzkiemu poznaniu, rozumiecie. Poezja, Sztuka, Nauka i tym podobne... i Muzyka, która miała należeć jedynie do aniołów; bez względu na to, jakiemu Panu służyły, Muzyka miała być ich i tylko ich. Ale dla Upadłych Aniołów nie było miejsca ani w Niebie, ani w Piekło ze względu na to, co uczyniły: ukradły przecież Księgę, niebiańsko chędożyły i tak dalej. Więc Muzyka była pierwszą rzeczą, którą dały ludzkości i niech mnie diabli, ludzkość wiedziała, co z nią zrobić.

Upłynęło wiele czasu, zanim Upadłe Anioły się w tym zorientowały, ale wtedy... Muzyka była już wszędzie. Niektórzy - prawdę mówiąc,

cholernie niewielu - wiedzieli, jak ją wykorzystać, ci, którzy urodzili się z Talentem Zrozumienia, gdyż mieli anioła jako jednego z rodziców - Bach, Mozart i jeszcze kilku facetów - ale reszta mogła się tylko otrzeć o to, co oferowała muzyka.

Tak więc nieliczni Utalentowani - Pieśniarze - wymyślili plan.

Zebrali się o północy.

Na rozdrożu.

Ciągnęli losy i niektórzy z nich zakradali się do Nieba, a inni... chyba możecie się domyślić, dokąd poszli.

I te grupy Utalentowanych złodziei zdołały uzyskać to, o co im chodziło.

4

(THE GALL IT) STORMY MONDAY (BURZLIWY PONIEDZIAŁEK)

Kiedy wróciłem, nie zdziwiło mnie ani trochę, że muzycy wspierający byli już na scenie i stroili swe instrumenty. Skinąłem głową jednemu z nich - perkusiście, którego twarz rozpoznałem z zeszłorocznego artykułu w „Rolling Stone”, jaki ukazał się dwa tygodnie po jego śmierci - i ruszyłem prosto do baru.

Obszar wewnątrz właściwego baru jest bezpieczny, ponieważ jest błogosławiony. Błat pięciometrowego, kwadratowego kontuaru, otaczającego stanowisko barmana, pokryty jest marmurem pochodzącym z ołtarza starego kościoła, który przeznaczony był do rozbiórki. Kupił go mój dziadek. Jedynym słabym punktem jest podnoszona kłapa, więc kiedy znalazłem się z powrotem za barem, natychmiast zsunąłem następny woreczek z talizmanami z rogu stelaża na kieliszki i powiesiłem go

dokładnie nad nią. Może nie była to najpotężniejsza forma magii do osobistej ochrony, ale w tej chwili powinna wystarczyć.

Na zewnątrz przetoczył się grzmot, a pioruny błyskały jeszcze silniej. Muzycy skończyli ustawiać instrumenty i podeszli do baru.

Dałem każdemu porcję whisky i piwa. Starłem się nie patrzeć żadnemu prosto w oczy - choć wiedziałem, że ich spojrzenia skupiają się na mnie. Władałem tylko jedną ręką i przez to stałem się tutaj lokalną atrakcją, więc jestem przyzwyczajony do gapiących się na mnie klientów. Myślę, że to swego rodzaju osiągnięcie: potrafię podrzucić szklanke, nalać drinka i otworzyć butelkę szybciej, płynniej i zgrabniej niż niejeden barman używający wszystkich dziesięciu palców.

- W ich oczach zobaczysz różne rzeczy, i chłopcze, spędzisz resztę życia, próbując zapomnieć - powiedział mi tata. - Po prostu rozlewaj wodę, jak się tego od ciebie oczekuje, nie stawaj się zbyt przyjacielski, a wszystko będzie dobrze.

Zastanawiałem się, czy tata zaaprobowałby mój sposób zachowania. Umarł dwa lata temu. Nadal bardzo za nim tęskniłem i gdybym zbyt długo o tym myślał, rozplakałbym się jak dziecko.

Ale dzisiaj nie było na to czasu.

Błyskawica znów przypiekła niebo, a następny grzmot groził, że zdmuchnie dach tawerny.

Stara szafa skończyła grać płyty Hookera i zabrała się do kolekcji B.B. Kinga.

Kolejny błysk światła, bardziej skoncentrowany od błyskawicy - ale nie słabszy - przewiercił się przez okno frontowe, poprzedzony rykiem brzęącym tak, jakby wyszedł z trzewi budzącego się starodawnego di-

nozaura. Godzilla przybywa do tawerny trala lala la.

- Rydwan Ankou - mruknął jeden z muzyków wspierających.

Zmrużyłem oczy i zobaczyłem, że „rydwan” bretońskiego uosobienia śmierci to ociekający chromem krążownik szos. Silniki mu dymiły i iskrzyły, gdy jego północny jeździec zahamował z piskiem opon.

Muzycy pośpiesznie dopili swe drinki i wrócili na scenę.

Światło zgasło, ryk został zdławiony do ciszy, a kilka chwil później drzwi otworzył kopniak o takiej sile, że walnęły o ścianę, aż trochę tynku odpadło z sufitu.

W drzwiach stał Ankou i za szyjkę trzymał swoje ulubione „wiosło” - poobijaną gitarę stratocaster Fendera. Jej korpus balansował mu na ramieniu.

Mierzył przynajmniej dwa metry dziesięć centymetrów. Miał na sobie czarny płaszcz, który bardzo mi przypominał pelerynę Drakuli, a długie, białe włosy zwisały mu na ramiona. Wrażenie wzmacniał tkwiący na jego głowie kapelusz z szerokim rondem, które wywinięto tak, by zasłaniało oczy.

Jak burza pomknął w moją stronę. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem, choć nawet ich nie dotknął. Zajął miejsce przy barze, delikatnie położył gitarę na drewnianej klapie kontuaru i pstryknął palcami.

Wyjąłem z kieszeni paczkę papierosów i wystukałem jednego. Wziął go, włożył do ust, po czym potarł palcem wskazującym o paznokiec kciuka, z którego wytrysnął niewielki płomień. Ankou zapalił papierosa i zdmuchnął ogień.

Jego ciało nie osmalilo się ani odrobinę.

Dłonią zepchnął kapelusz do tyłu.

Choć tata przez lata przygotowywał mnie na to, widok twarzy przybysza wstrząsnął mną.

Miał skórę bladoszarą jak trup, tak silnie obciągniętą na czaszce, że przez chwilę wydawał się jedynie szkieletem. Patrzył na mnie dwoma pustymi, mrocznymi jak grób oczodołami, a w miejscu, gdzie powinien być nos, widniały dwie dziury o kształcie łez.

- Kiedy zaczął się dzień, wyglądałem znacznie ładniej - powiedział. Głos brzmiał jak skrobanie szczurzych pazurów po cemencie w jamie krypty.

Z wieszaka na kieliszki nad głową zdjąłem szklaneczkę do whisky, ale dłoń drżała mi tak bardzo, że ją upuściłem.

Nie doleciała do podłogi.

W tej samej sekundzie, gdy wypadła mi z ręki, Ankou otworzył usta, z których wystrzelił długi, rozwidlony ropuszy język, który jak bicz owinał się wokół szklanki i przyciągnął ją na powrót ku barowi.

- Nalej - syknął Ankou.

Napełniłem szklaneczkę czarnym Jackiem danielsem. Ankou wychylił ją i zażądał następnej.

- Robisz się kapkę chciwy na stare lata, co nie? - ozwał się głos gdzieś spoza kontuaru.

Obróciłem się jak fryga i zdążyłem przez chwilę zobaczyć ogniste kółeczko, które ożywiło się pulsowaniem, a potem znikło. Owionął mnie mdląco słodkawy zapach dymu cygara.

- Tylko na niego popatrz, Ankou, co? Ledwo przyszedłeś, a jakbyś mu podłożył bombę pod tyłek.

- Serce mi krwawi, TB.

Mężczyzna w ciemności zachichotał, a potem powoli wyszedł z cienia.

Zrozumcie coś: nie jestem rasistą, ale jedynym sposobem, by opisać tego człowieka, jest stwierdzenie, że był zdumiewająco czarny. Nigdy nie widziałem czarnego mężczyzny o tak nieprzeniknionym odcieniu skóry. Była to tak intensywna czerń, że w ogóle nie odbijała światła, wręcz zamazywała rysy twarzy i przyjmowała zagadkowy odcień niebieskiej szarości popiołów. Obdarzył mnie błogim uśmiechem, odsłaniającym trupio fioletowe dziąsła, pożółkłe pieńki kilku zębów i dziwnie pozbawione koloru wargi.

- Nie wydaje mi się, żebyś był gotów dziś do walki, TB - powiedział Ankou.

- Słyszysz to? - TB zwrócił się w moją stronę. - On się o mnie martwi. - Zajął miejsce na drugim końcu baru. - Jestem wzruszony. Worku Kości, serio.

- Nie nazywaj mnie tak.

- Więc nie nazywaj mnie „TB”, jakbyśmy byli kumplami od urodzenia, dupku.

- Czy syn anioła powinien używać takich słów, Tancbudo?

- Tu mam anioła. - Wskazał obydwoma kciukami krocze.

Po chwili ciszy tak napiętej, że podobnej jeszcze nie przeżyłem, Tancbuda spojrzał na mnie i powiedział:

- Gapisz się czy nalewasz? Pokonałem czas, przestrzeń i szosę 61, przywlokłem tu swój żaloszny tyłek i trochę mnie suszy.

Sięgnąłem po następną szklankę i natychmiast cofnąłem się ze wstrętem.

Dręczy mnie powracający koszmar, w którym moja prawa dłoń - ta zdrowa - puchnie jak jakaś martwa, rozdęta rzecz i zaczyna pękać, a ścięgna zamieniają się w bawełnę. Siedzę tam w tym koszmarze, pochylam głowę i zaczynam wyciągać bawełnę zębami, aż w końcu zamiast przegubu mam bezużyteczną, kościstą, przypominającą rozgwiadę rzecz i zwykle budzę się we łzach, że teraz w ogóle nie mam już rąk.

I nagle, gdy miałem sięgnąć po szklaneczkę dla nowego gościa, bawełniane ścięgna mojej prawej dłoni wypychają się na zewnątrz. Cofam się ze zgrozą, wydając cichy okrzyk. Ankou zaśmiał się.

- Jak ci się ostatnio sypia, kumpel?

- Przestań, do cholery - warknął Tancbuda.

Mrugam kilka razy, biorę głęboki oddech i patrzę na dłoń. Nietknięta, nie pękają żadne bawełniane ścięgna. Przełknąłem z trudem ślinę, próbując zatrzymać łzę, która postanowiła wydostać się na zewnątrz, ale nic to nie pomaga.

- Wszystko w porządku, chłopcze - powiedział Tancbuda. - A co z moim drinkiem?

Podąłem mu whisky i piwo.

Miałem nadzieję, że żaden z nich nie wyczuł, jak bardzo drżałem w środku.

W końcu Worek Kości Ankou obrzucił mnie grobowym spojrzeniem i zapytał.

- Masz dla nas struny?

- Już - odpowiedziałem, zawstydzony chłopięcym przestraczem, pobrzmiewającym w moim głosie. Wyciągnąłem spod baru stare drewniane pudełko i wsunąłem klucz do jego zamka.

5

I'M ON MY LAST GO - ROUND (TO MÓJ OSTATNI ETAP)

Każdy z tych złodziei ukradł po włosie: jeden włos z brody Boga, drugi z rozszczepionego kopyta Diabła. A kiedy wrócili tutaj, na ten świat, skręcili razem oba włosy, by zrobić strunę, bardzo szczególną strunę gitarową, sporządzoną z Nikczemności, Świętości i Stali.

Potem przecięli tę strunę na pół, tak żeby każdy z przeciwników miał w starciu tę samą siłę.

Powiadają, że te struny potrafią wydać dźwięki niedościgłe, jakich żaden gitarzysta nie osiągnie, bez względu na umiejętności.

Zawsze marzyłem, by usłyszeć te dźwięki, ale ty i ja, obaj wiemy, że już tu długo nie zabawię. Przez całe życie czekałem, aż usłyszę tę muzykę. Wiesz, od śmierci twojej matki to była jedna z niewielu rzeczy, które mnie napędzały, nadzieja, że usłyszę te dźwięki. To oraz świadomość, jakim byłeś dla mnie dobrym synem.

Jeśli zostaniesz wybrany, synu, jeśli nadal będziesz prowadził ten lokal w wieczór ostatecznego starcia i jeśli będziesz miał zaszczyt słuchania tych dźwięków, proszę, słuchaj ich należycie. Dla mnie. Pamiętaj tę muzykę i być może tam, gdzie będę, zdołam uszczknąć co nieco z tego słuchania.

6

PEOPLE GET READY (LÓDZIE SIĘ GOTOWIĄ)

Chciałbym powiedzieć, że te dwie struny gitarowe wyglądały tak, jakby usnuto je ze złota albo ozdobiono błyskawicami, albo że były

etryczne w dotyku, ale prawda jest taka, że wyglądały jak zwykła para strun E, jakie możecie nabyć we wszystkich sklepach muzycznych. Każdą bardzo starannie zwinięto i zamknięto w hermetycznej plastikowej torebce. Wręczyłem jedną Workowi Kości, drugą Tancbudzie i stałem w pełnym szacunku milczeniu, kiedy obydwaj zakładali je w swoich gitarach.

Worek Kości miał strata, ale Tancbuda - to zaskakujące - miał nowego les paula z błyszczącym motywem słońca. Oczekiwałem czegoś więcej, choćby tego, że jego ulubione wiosło będzie zużyte, że będzie to instrument w wieku równie niezgłębionym jak wiek samego TB.

Kiedy skończyli zakładać struny, wziąłem kieliszek do brandy i postawiłem na barze, a potem wyciągnąłem swój nóż sprężynowy i wysunąłem ostrze.

Obydwaj spojrzeli na mnie i zaśmiali się.

- Nazywasz nożem takie coś? - spytał Tancbuda. Worek Kości pokręcił głową.

- Większymi rzeczami dłubię w zębach.

Sięgnęli do kieszeni swych płaszczy i wyjęli noże, którym do miana maczet brakował niecały centymetr. Spojrzeli po sobie, skinęli głowami na zgodę, zeszli ze stołków i spotkali się pośrodku baru, gdzie czekał kieliszek. Błysnęły ostrza i zrobili sobie wzajemnie na kciukach niewielkie nacięcia.

Krew spływała do kieliszka, aż wypełnił się do połowy, a wtedy każdy z nich włożył krwawiący kciuk do ust, raz possał i zaleczył ranę.

Nie traciłem czasu: wziąłem kieliszek i wylałem ich zmieszaną krew w prostej linii na podłodze przed barem. Byłem teraz całkowicie

zabezpieczony przed wszystkimi nieprzyjawnymi duchami i szkodliwą magią, która mogłaby przedostać się za bar.

- W porządku, chłopcze - powiedział Tancbuda. - Ty nalewasz wodę, ty masz władzę, ty mówisz tak czy nie: robimy rozgrzewkę, czy jak?

Spojrzałem na zegarek. Dwadzieścia minut do północy.

- Pięć minut strojenia, pięć minut rozgrzewki. Worek Kości wskazał ma moją lewą dłoń.

- Artretyzm to cholerstwo, prawda?

- Nie miałem jeszcze dwunastu lat, gdy zostałem kaleką.

- Wygląda jak cholerny szpon.

- Dziękuję. A kremy na noc robią cuda z pańską cerą.

- Hu - ha! - krzyknął Tancbuda, klepiąc dłonią bar. - Tu ci dogryzł, Ankou.

- Celny strzał.

Coś w jego głosie mówiło mi, że jeśli dzisiaj zwycięży, to tkwię po uszy w szambie.

Zamocowali paski do swoich gitar, potem przełożyli je przez ramiona.

Tancbuda pochylił ku mnie głowę.

- Czekamy na Północną Godzinę?

- Uważam, że byłaby to miła okoliczność.

- Zawsze mnie to wkurza, że wy, ludzie, wszystko musicie robić tak teatralnie - syknął Ankou. - Tak jakby dzięki rytuałom dana rzecz stawała się ważna. Słuchaj, te rzeczy guzik nas obchodzą. Tylko muzyka, jedynie to - uniósł swą gitarę - ma jakieś znaczenie i tylko dzięki temu, jaką muzykę potrafi przywołać, a nie jako rzecz sama w sobie.

- Wiedziałem, że trafimy na jeden z jego humorków - szepnął do mnie Tancbuda. - A propos, mówiąc, pozwalam ci mówić do mnie TB.

Ankou popatrzył wściekle.

- Nie zachęcaj go.

TB wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nigdy nie umiałeś się zabawić.

- Smaż się w piekle!

- Staramy się dostać w inną okolicę, dupku. Przynajmniej nie pomył kodu pocztowego.

Znowu spojrzałem na zegarek. Prawie jedenasta pięćdziesiąt.

- Lepiej idźcie na scenę.

- Jeszcze chwilka - powiedział TB. - Ponieważ ty nalewasz wodę i zapewniasz scenę, możesz zadać jedno pytanie, a my musimy na nie odpowiedzieć. Chcesz pytać teraz czy po wszystkim?

Pomyślałem o ukrytej groźbie, którą usłyszałem wcześniej w głosie Ankou i doszedłem do wniosku, że może to być jedyna szansa, jaką mam.

- Posłuchajcie, wiem kim jesteście i wiem, po co tu przybyliście... ale jednak nie rozumiem, dlaczego.

Ankou parsknął szyderczym śmiechem.

- To nie jest pytanie.

- Ma rację - oznajmił TB. - Tak jak w tym teleturnieju, musisz zadać pytanie.

- Dlaczego musicie to robić? TB spojrzał na Ankou.

- Chcesz na nie odpowiedzieć?

- Nie, najpierw muszę sobie strzelić następną lufę. Nappełniłem mu kieliszek i patrzyłem, jak wlewa w siebie jego zawartość.

- Znasz to stare powiedzonko o małpach i maszynach do pisania?

- zapytał.

- Nie.

- Ktoś kiedyś powiedział, że jeżeli przy wystarczająco wielu maszynach do pisania posadzisz wystarczająco wiele małp, jedna z nich w końcu napisze *Hamleta*. Tak samo jest z Muzyką, kutafonku. Wasza rasa jest prymitywna, ale coś się popieprzyło. Nie powinniście odziedziczyć daru Muzyki, ale nasi tatusiowie i tak go wam dali. Przygłupy. - Wzruszył masywnymi ramionami. - Przez długi czas nikt się tym naprawdę nie przejmował, bo jakaż, do diabła, była szansa, że któryś z was w ogóle zdoła choćby na pewną odległość, dotrzeć w pobliże serca pieśni? Jedyne my umieliśmy to robić - i to tylko mając za sobą całe życie treningów.

Ale coś poszło źle. Zbyt wiele małp położyło swe brudne łapy na zbyt wielu maszynach do pisania i... twoja rasa zaczęła czerpać z Tajemnicy Muzyki. Nieczęsto i czasami niezbyt dobrze, ale niektórzy z was mieli potencjał. I dlatego uznano, że być może, podkreślam, jedynie być może, wasza rasa jest rzeczywiście godna Muzyki. Być może pewnego dnia zrobicie to tak, jak należy i dopóki taka szansa istnieje, nie może wam być odebrana.

Tak więc od czasu do czasu, kiedy Muzyka zaczyna się zmieniać - jak na przykład wtedy, gdy zaczął się rock'n'roll albo kiedy te wszystkie elektroniczne śmieci zainfekowały muzykę lat siedemdziesiątych - musimy przybywać do nor, takich jak ta, i odwojować to na naszych gitarach. Musimy po swojemu przebrnąć się przez tortury wariacji na temat każdej cholernej formy muzyki, jaką wasza rasa zdołała przypadkowo wykrztusić i musimy się przekonać, czy to wszystko trzyma się

kupy. - Strzelił kostkami palców. - Ja osobiście najchętniej bym sprawił, żebyście byli głusi i załatwił to raz na zawsze, ale nikt mnie o zdanie nie pytał.

- Ale który z was walczy o to, byśmy zachowali Muzykę, a który...?

- Jedno pytanie, chłopcze - przypomniał TB. Skinąłem głową, nagle bardzo przestraszony.

Całkiem możliwe, że nim wybije następna godzina, ludzkość zostanie pozbawiona Muzyki.

- Czy wszyscy już przyszli? - szepnął Ankou, dość dobrze naśladowując Jima Morrisona. - Ceremonia zaraz się zacznie.

I szafa grająca zamilkła.

7

GOING DOWN SLOW (POWOLI SIĘ WYKAŃCZAM)

Jeszcze jedna sprawa, synu, a potem muszę na chwilę dać odpocząć oczom.

Rytuał jest ważny, kiedy nadchodzi ten czas. Wiem, że zabrzmiał głupio, ale musisz pamiętać, że nawet wtedy gdy Muzyka nie łączy się z aktem rytualnym, ludzie mimo wszystko twierdzą, że coś od niej dostają, nieważne jaki to gatunek Muzyki. Wiesz, dlaczego tak jest? Bo Muzyka jest uczuciowym substytutem rytuału i, do diabła, czemuż by nie? Chrześcijańskie anioły są jakoby idealnymi muzykami, a wykonywanie Muzyki uważa się za odpowiednie zajęcie w ciągu bezczasowego życia w Niebie. Mam diabelną nadzieję, że pobrzdkam sobie na fortepianie tam w górze, gdzieś tam gdzie będę.

Słowa Pisma ludzie i śpiewają i recytują; muzycy w świątyni, koś-

ciele i synagodze, chóry i kantorzy, pieśni i hymny, rytmy i indyjskie... jak im tam... ragi... wszystkie te rzeczy uważa się za ważne składowe tamtych religii, prawda?

Muzyka reprezentuje walkę o dotarcie do całej... całej „ inności”, której większość grających nie jest w stanie nawet wyrazić. Ale żeby była ona prawdziwa, żywa i miała jakieś znaczenie, musi pochodzić nie tylko z serca, ale z brzucha, kiszek i wszystkich żywych organów. Dlatego właśnie ci zazdroszczę i, prawdę mówiąc, płaczę za ciebie: gdyby twoja dłoń nie była tak zdeformowana, mógłbyś być jednym z tych prawdziwych. A ja? Posadź mnie przy fortepianie, znam nuty i potrafię grać tak przyjemnie, jak tylko chcesz, ale to... wszystko dodatkowe, co istnieje między nutami i poza samą melodią... Nigdy nie będę wiedział, jak to osiągnąć.

Po prostu pamiętaj, synu, że choć też tego nigdy nie osiągniesz, to mógłbyś to osiągnąć.

I to powinno dać ci pociechę. Może niewielką ale jednak.

Musimy to robić, ponieważ nie możemy pozwolić, by nam Muzykę odebrano, rozumiesz? Możesz sobie wyobrazić świat bez Muzyki? Choćby bez odgłosów porannych ptaków? Ciarki mnie przechodzą jak o tym pomyśle.

Dobra... Powiedziałem ci wszystko, co o tym wiem. Teraz zajmij się swoimi sprawami i pozwól mi... pozwól, że dam trochę odpocząć oczom.

8

THE MIDNIGHT SPECIAL (PÓLNOCNY EKSPRES)

Myślałem, że tam wejdą i spuszczana świat ogień piekielny.

Nawet w przybliżeniu nic takiego się nie stało.

Przynajmniej z początku.

Ankou stanął po jednej stronie sceny - TB po drugiej. Jeden z nich - do dziś nie wiem który - zaczął grać Bacha *Owieczki mogą się paść spokojnie*, palcami lekkimi i delikatnymi wydobywał ze strun szept, promień ciepłego, słonecznego światła na twarzy po przejściu burzowych chmur; drugi zagrał *Jezus moją jest radością*, westchnienie podzięką, bo dożyłeś następnego ranka, a naprawdę nie spodziewałeś się tego, cichy śmiech twoich marzeń, gdyż wiedzą one o czymś, czego ty nie wiesz, o czymś wspaniałym. I choć oba te utwory ten sam kompozytor napisał w odstępie kilkuletnim, Ankou i TB grali je w idealnej harmonii, jak gdyby od początku zamierzano je połączyć. *Owieczki* wypełniały wolne miejsce po refrenie *Radości* i mimowolnie się zastanawiałem, czy Bach od początku planował, by obie kompozycje stanowiły element znacznie większej muzycznej układanki, ponieważ ci dwaj zręczni gitarzyści na scenie złączyli dwa oddzielne tematy i stworzyli trzeci - wiercie czy nie - jeszcze bardziej poruszający.

Spojrzałem na swoją okaleczoną rękę i poczułem ukłucie żalu, ale szybki kieliszek jima beama zepchnął ten żal z powrotem w głąb pamięci.

Ich rozgrzewka najwidoczniej się skończyła. TB zajął miejsce z boku sceny, a Ankou podszedł do swego wzmacniacza i wykorzystał nóż, by przeciąć membrany głośników dokładnie pośrodku.

Zespół wspierający był wyraźnie gotowy do bitwy.

Ankou skinął głową w stronę TB i uderzył struny plektronem, jego strat wydał cichy pisk, ale na tym się nie skończyło, gdyż Ankou od razu przygiął struny, pokręcił potencjometrami i skierował ten cichy pisk w sprzężenie zwrotne, a gdy ściągnął ramię tremolo, wyraźnie słyszałem, że

zaczął atonalnie. Jednak kiedy te tony i sprzężenie zwrotne przepuścił przez przetworniki, struny oraz zaskakująco zręczne palce, zanim zdążyłeś się zorientować, śpiewały fragment *Fugi g - moll* Bacha, narastając w finalnej nucie, wyżej, głośniej, szerzej, aż w końcu Ankou uderzył i podtrzymał dźwięk, który musiał wyciągnąć z trzewi wszystkich Upadłych Aniołów, a potem odrzucił głowę do tyłu i zaatakował śmiechem, który w równych częściach był chwałą i groteską. Gdy wreszcie tupnął cztery razy, dosyć wolno, ale nie zbyt wolno, przy czwartym tupnięciu włączył się cały zespół wspierający - basy i fortepian, perkusja i gitary.

Dźwięk, który we mnie uderzył był niczym płonący boeing 747 z wyciem spadający z nieba. Wykonali tradycyjny riff bluesowy, klasyczną, dwunastotaktową progresję harmoniczną jeden - cztery - pięć i, Boże, tego się dopiero słuchało! Zespół tak zsynchronizowany, tak zgodny, wybijał cztery takty toniki, potem dwa subdominanty, dwa kolejne toniki, dwa dominanty i końcowe dwa toniki, kładąc fundamenty, na których Ankou budował, i chciałbym móc wam powiedzieć, że w grze Ankou było coś diabelskiego, ale nie było. Brzmienie było czyste, stary, tak czyste, by można było słuchać bez obawy, że serce pęknie wam od tego piękna. Zespół podtrzymywał melodię, a palec Ankou szarpał i rwał struny, przywołując widmowe głosy niewolników, którzy pracowali na polach i w kopalniach - *Born a day when the sun didn shine* (Zrodzony w dniu bez słońca) - przyginał struny, aż piszczały z bólu i rozpacz - *Picked up my shovel and I went to the mine* (Wziąłem szpadel i poszedłem do kopalni) - gitara pluła nutami jak karabin maszynowy, a on je wybębniał z podwójną, potem poczwórną szybkością, nigdy jednak nie zatracił poczucia porządku - *Loaded sixteen tons o' number nine coal* (Załadowałem szesnaście ton

węgla dziewiątki) - dotykiem izolował dźwięki, grając na jednej strunie plektronem i jednocześnie głaszcząc drugą paznokciem - *And the straw boss he said well bless my soul* (I brygadzysta powiedział, dobrze, niech Bóg błogosławi moją duszę) - a teraz był gdzieś w Górze, tam, gdzie żyła Muzyka, jego gitara wypuszczała zwokalizowane pienia chóru kościoła zielonoświątkowców, który próbuje zagłuszyć trele prostackiej gitary hawajskiej...

I wtedy nadeszła kolej TB - podjął melodię w środku nuty, jakby to on grał od początku, ale tam gdzie Ankou zakończył ogniem i siarką, TB zaczął na spokojnych falach: bystrych, ciepłych, a przy tym buntowniczych i kapryśnych; subtelnych i czułych, a jednak równie często brutalnych i zimnych. Wiedział, jakie to cenne, gdy zagra się kilka nut z przerażającą precyzją, gdy się udowodni, co człowiek może osiągnąć, jeśli nie godzi się na łatwe rozwiązania, i akurat gdy się wydawało, że jego gitara nie może już brzmieć bardziej czule, końce jego palców wywołały erupcję ostrego jak naga brzytwa skowytu gniewu i mocy - *Take this ol' hammer, take it to the captain* (Weź ten stary kilof, zanieś do szefa) - i Ankou odpowiedział mu, równie zadziorny i szalony - *Take this ol' hammer, take it to the captain* - a potem już grali razem przeciwstawne harmonie w idealnej zgodności - *Tell him Im goin', I'm goin' HOME!* (Powiedz mu, że idę, idę do DOMU!).

Nagle wznieśli się jeszcze wyżej, dźwięki wirowały wokół mnie niczym mityczne skrzydlate stworzenia, tańczyły na surowej metalowej prawdzie gitar, a basy - grzmot, a talerze - łoskot, a fortepian - płacz, gdy palce pianisty wykonują na klawiszach glissanda, i jestem tu z nimi, chwytam każdą nutę i każdy odcień, nagle atakują mnie stare spirituals,

pieśni robotników, stare nagrania bluesa... przysięgłbym, że słyszałem czarowników ze wszystkich starych plemion, jak gdyby ciała niewolników pogrzebane na polach powstały, podniosły się w górę wysoko, o Panie! i śpiewały głośno, prawdziwie i pięknie, gdy bluesowe tonacje gitar zwracają tym duchom ich chóralny głos...

...i równie szybko jak do nich dołączyłem, nagle oddzieliłem się od nich. Ponieważ gdzieś tam, między Ankou wyslizgującym się ze swej drugiej solówki a TB, który wchodził z trzecią zobaczyłem tatę w ostatnich tygodniach życia: złamany i chory, spędzał wiele czasu w niemal pustym pokoju, gdzie panowały samotność i poczucie klęski, smutek i bierność; żałowałem, że nie dożył i teraz tego nie widział, nie słyszał, nie doznał tych dźwięków osobiście, ale nie dożył, umarł we śnie - bo nie wziął odpowiedniej dawki insuliny - i w tym momencie zatęskniłem za nim, jak nigdy przedtem, i zapłakałem, Jezu! płakałem jak dziecko i nic mnie nie obchodziło, że coś lub ktoś mnie widzi, po prostu stałem i płakałem pośród Muzyki, jakiej nie słyszało wcześniej żadne ludzkie ucho i prawdopodobnie już nigdy nie usłyszy...

Moja dłoń. Moja paskudna dłoń. Boże, tak bardzo chciałbym grać tak jak oni, i wiedziałem, że to się nigdy nie stanie, ponieważ chłopcom o okaleczonych rękach, o Boże, im nie dane jest sięgnąć po dźwięk, nie mają wstępu do tego szczególnego świata, nie, oni stoją za barem, nalewają wodę i tylko słuchają Pieśniarzy, nawet tych, którzy nie przebyli czasu, przestrzeni i szosy 61, by się tu dostać; stoją, nalewają, słuchają i pragną w jakiś sposób zrealizować choćby część tego marzenia...

Ale czy nie o to w tym chodzi? - zadałem sobie pytanie, słysząc w głowie mocny głos taty. Przecież chyba właśnie taka jest rola Muzyki: dać

marzenia, dać pieśni, byś mógł je śpiewać, gdy czujesz się fatalnie, a one przegonią ból z twojej duszy, a przynajmniej go złagodzą?

To cholernie proste, pomyślałem.

I przyłączyłem się znowu do ich walki. Słuchałem, słuchałem uważnie dla taty z nadzieją, że choć trochę sobie z tego uszczknie, tam gdzie obecnie przebywa.

Wtedy Ogień Piekielny i Anielska Pieśń wyleciały w świat. Nie potrafiłem stwierdzić, który z nich co gra, ponieważ ich dłonie poruszały się tak płynnie, tak szybko i wściekle, że przez kilka chwil nie mogłem nawet dostrzec ich palców.

Przysięgam na Boga i na Biblię, a przysięgać będę do dnia swojej śmierci, że dokładnie w finale, kiedy wszystko się kończyło i rozpadało na kawałki, a gitary wyglądały tak, jakby chciały jedynie pokuśtykać ze sceny i kwilić w ciemnym kącie, dokładnie na końcu, przysięgam: że struny wyskoczyły płomienie.

I było po wszystkim.

Cisza.

Żadnego buczenia, żadnych sprzężeń z dymiących wzmacniaczy.

Ankou i TB odłożyli gitary, uścisnęli sobie dłonie i zaprosili zespół do baru na drinka.

Wszyscy usiedli, a ja ciągle płakałem - tak mocno, jawnie i bezwstydnie, że nie mogłem zdrową ręką spokojnie utrzymać butelki, więc po prostu ustawiłem gorzałę na barze i powiedziałem, żeby sobie od serca nalewali.

I wyobraźcie sobie - tak właśnie zrobili.

Nie mogę mieć do nich o to pretensji.

Tworzenie takiej Muzyki musi wywołać pragnienie, ogromne pragnienie.

Nie mam pojęcia, jak długo ryczałem za barem, ale w końcu uświadomiłem sobie, że nie słyszę rozmów i kiedy wytarłem oczy i rozejrzałem się, nie było nikogo prócz TB.

- Czujesz się już lepiej, co?

- Nie wiem. - Przedmuchałem nos i nalałem sobie drinka. - Który z was wygrał?

TB się roześmiał.

- Żaden z nas nie wygrał. A to oznacza, że możecie sobie zachować Muzykę jeszcze na trochę.

- Ale nie rozumiem... Uniósł dłoń, uciszając mnie.

- Cały sens tego co robimy, polega na tym, synu, że ma nie być zwycięzcy. Tak długo, jak wasza rasa przyczynia się do ewolucji Muzyki, zachowacie ją u siebie. Nie usłyszałeś naszych błędów pod koniec gry... do diabła, może nawet nie potrafiłeś stwierdzić, że w ogóle były jakieś błędy, ale popełniliśmy je, to pewne. I wiesz co? Wygląda na to, że wy, skubańcy, powoli kojarzycie, o co w tym chodzi. Jesteście coraz bliżej osiągnięcia całości. To ci powinno poprawić samopoczucie.

- Powinno... ale nie poprawia.

- Chodzi o dłoń?

- Tak.

- Czy słyszałeś kiedyś tę historyjkę o Paganinim? Chciał być pianistą, nastawił się na to całym sercem, ale miał cholernie długie palce, zbyt długie, by poradzić sobie z klawiszami. Więc zajął się skrzypcami i został wirtuozem.

- Co z tego wynika?

- Ano to, że tyle czasu uważałeś się nad tym, czego ta twoja uszkodzona dłoń nie potrafi, że ani razu nie pomyślałeś, co może zrobić.

Wstał zza baru, oddał mi dwie struny E i powiedział:

- Chodź ze mną na krótki spacer.

Poszliśmy na skrzyżowanie, gdzie Dymiarz grał nadal.

- Pamiętasz Paula Butterfielda? - spytał TB.

- Pamiętam. Płakałem, kiedy umarł.

- Czy wiedziałeś, że w jednej dłoni miał artretyzm?

- Kpisz sobie?

- Jasne, prawdziwy ze mnie zgrywus! Nie, nie kłamałbym. Pstryknął palcami i Dymiarz przestał grać. Rzucił TB swoją harmonijkę, po czym zniknął. Tak po prostu.

TB wręczył mi instrument.

- Byłbyś zaskoczony, jak taka szponiasta dłoń może wspaniale trzymać harmonijkę, przesuwać ją w lewo, w prawo, kiedy druga ręka wykonuje łatwiejszą część pracy. - Wsunął mi organki do kieszeni. - Jesteś dobrym chłopakiem i obiecuję zawiadomić twojego tatę, że jesteś w porządku wobec niego i wobec Muzyki.

Zanim zdołałem coś wykrztusić, wziął swój poobijany futerał z gitarą i wszedł do cienia, owinał się nim niczym kocem i zniknął w czasie, w przestrzeni, na dojeździe do szosy 61.

Spojrzałem w górę na gwiazdy i usłyszałem muzykę nocnych ptaków, przejeżdżających samochodów i cichnącej burzy.

I nie czułem się już tak pozbawiony marzeń.

Wstąp kiedyś.

Mój lokal nazywa się Tawerna Wisielca. Przy drinku opowiem ci jego historię.

Nie wiem, czy kiedyś się ożenię, czy będę miał syna, by przekazać mu swoje dziedzictwo, ale jest dziewczyna, która w weekendy obsługuje u mnie stoliki, i nie robi z tego tajemnicy, że na mnie popatruje. Ja też często na nią patrzę.

I być może...

Więc wpadnij tutaj kiedyś wieczorem. Posłuchaj kapeli albo starej szafy grającej (w końcu pozbyłem się tej nowoczesnej). Potem posiedź chwilę, a kiedy lokal zostanie zamknięty, usiądziemy przy barze i opowiem ci historię wielkiej bitwy, którą tu kiedyś przed laty toczono - bitwy o duszę Muzyki.

Może w to uwierzysz, a może nie.

Ale to opowieść, której dobrze się słucha przy szklaneczce whisky.

A po opowieści, jeśli zechcesz, wyjmę organki i zdradzę ci, jak stałem się ich właścicielem, a jeśli będziesz miał na to ochotę, spróbuję dosięgnąć tego, co ukryte w Muzyce i sprawię, byś wysłuchał dźwięków, za które Aniołowie walczyli i umierali.

Ludzie również.

I może, wychodząc stąd, poczujesz, że już nie jesteś tak bardzo pozabawiony marzeń.

Zajdź tu kiedyś wieczorem. Wypij drinka. Wysłuchaj kilku opowie-

ści. Wysłuchaj kilku melodii.

A potem... rzuć kamyk do oceanu... jeśli masz taką fantazję...

...zagram dla ciebie bluesa.

Pamięci Paula Butterfielda, Roya Buchanana i Rory 'ego Galaghery

SKŁADKA ZWIĄZKOWA

*To jedna z wielkich tragedii obecnej epoki,
że gdy tylko człowiek wynalazł maszyną, zaczął głodować.*

*Oscar Wilde *Soul of Man Under Socialism**

(oto mój syn

czy ma zadatki na człowieka fabryki?

czy ma cechy robotnika?

czy będę z niego dumny?)

Człowiek pracuje całe życie i jakie to ma znaczenie?

„Tato, nie pytaj mnie o to, proszę”.

Od pracy przy linii produkcyjnej twoje ręce są obolałe i pokryte odciskami, ciało garbi się i choruje, a duch blednie jak iskry między trybami. Ryk maszynierii ryje dłutem ścieżkę do twego mózgu i tak długo tam się rozpycha, aż staje się jedyną realną rzeczą. Praca trwa, z każdym gwizdkiem umierasz trochę bardziej, a kolejną wypłatę wpychasz w zardzewiałe metalowe pudełko na lunch, które dawno powinieneś już wymienić, ale teraz cię na to nie stać.

Człowiek pracuje całe życie. Przez dwadzieścia trzy lata melduje się punktualnie w pracy, odbija kartę i zajmuje miejsce przy taśmie. Jego ciało staje się drugą połową narzędzia. Pracuje bez skarg i nigdy nie idzie na chorobowe, bez względu na to jak podle się czuje, a w zamian udaje mu się raz w tygodniu przynieść do domu zarobek: sto osiemdziesiąt siedem dolarów i szesnaście centów. Psi pieniądz. Podłe drobniaki. Pieniądze, których już nie ma, zanim się je dostanie. A potem pewnego dnia zauważa, w jaki sposób patrzy na niego własne dziecko, widzi rozczarowanie i chciałby wrzeszczeć, ale zadawała się kilkoma zimnymi piwami.

I o czym to wszystko świadczy? O tym, że człowiek wstydzi się siebie, wstydzi się tego, czym jest, upokorzony brakiem wykształcenia, upokorzony, że swoim bliskim może dać tylko rzeczy niezbędne, których potrzebują, a nie te, których pragną.

Więc człowiek się wścieka...

...ponieważ nawet w swoich snach...

(...drzwi otwierają się i Stary Robotnik zostaje wyrzucony...)

...praca toczy się dalej...

...a maszyny czekają, by wrócił i znowu je sobą dopełnił...

„Nie mów tak, tato”.

Nic na to nie poradzę, chłopcze.

Czasami jest tego za dużo.

2

Szeryf Ted Jackson dokonywał inspekcji pobojuwiska po zamieszkach. Nos i usta zasłaniał chusteczką.

(...i linia produkcyjna znowu rusza...)

Chmura gazu łzawiącego na parkingu fabryki rozpraszała się na poziomie szyi, odbijając światła dwudziestu kilku samochodów policyjnych otaczających teren. Za policyjną zaporą zebrali się reporterzy z gazet i telewizji, ludzie z sąsiedztwa oraz krewni robotników zaangażowanych w sprawę. Tłum, rysujący się na tle szybko zachodzącego, zimnego, listopadowego słońca przypominał wielką zbitkę komórek; cień na zdjęciu rentgenowskim płuc - przykro nam, chłopie, źle to wygląda.

Wszędzie leżeli ludzie, niektórzy na boku, inni na plecach. Najwięcej jednak osób siedziało w kucki - wymiotowali lub ocierali krew z twarzy i dłoni.

Grunt pokrywała piętnastocentymetrowa warstwa starego, chrupkiego śniegu, zalegającego od początku miesiąca. Po opadach nastąpiły suche, zimne dni, więc śnieg tylko starzał się i przybierał barwę wilgotnego popiołu, popstrzonego papierkami od cukierków, pudełkami po papierosach, pustymi losami na loterię, puszkami po piwie, a teraz także ciałami. Śnieg z szelestem opadający z nieba był jak nowa warstwa farby; bielidło, które skrywa brzydotę i rozpacz zbrukanego świata.

Skądś dobiegł głos pełen bólu.

Ogień wytrysnął z przedniego okna przewróconej ciężarówki; zarzuciła na boki, walnęła w barierkę i rzygnęła szkłem.

Tłum zaczął napierać, przewracając kilka barierek. Funkcjonariusze w pełnym rynsztunku bojowym zmusili wszystkich do cofnięcia się.

Zbliżał się odgłos syren kolejnych samochodów patrolowych, a śnieg gęstniał.

Reflektor helikoptera policyjnego omiół teren.

Kobieta w tłumie zaczęła głośno łkać.

Trudno sobie wyobrazić paskudniejszy bałagan.

Jackson odjął chusteczkę od twarzy i zaczerpnął lodowatego powietrza; wiatr próbował wymieść gaz, ale śnieg trzymał go przy ziemi. Podniósł kołnierz bluzy i z uchwyty w wozie policyjnym wyciągnął samopowtarzalną strzelbę dwudziestkę.

- Szeryfie?

Dan Robinson, jeden z jego ludzi, oferował mu maskę gazową.

- Trochę już na to za późno.

- Wiem, ale straż pożarna przywiozła dodatkowe i pomyślałem...

- Pieprzyć to.

Jackson patrzył przez śnieg na tłum cieni. Pulsujące światła radiowozów wciąż zmieniały obraz zgromadzonej grupy; czerwony błysk - tłum dymny; niebieski błysk - tłum śniegowo - popielaty; biały błysk - tłum cieni.

- Dobrze się pan czuje, szeryfie?

- Chodźmy sprawdzić, czy usunęli wszystkich ze wschodniej strony.

Mężczyźni powlekli się przez zaspy, mozolnie obchodząc rozbite

szkło, powyginane kawałki metalu, plamy smaru i krwi. Wszędzie uwijali się sanitariusze; nosze na kółkach obniżano, ładowano ciała, podnoszono i wieziono do oczekujących karet. Ochotnicy z Czerwonego Krzyża udzielali pomocy lżej rannym.

- Czy wiadomo, jak się to zaczęło, proszę pana?

- Łamistrajki wyszły po żywność. Strajkujący odcięli wszelkie dostawy trzy dni temu.

- Okropna sprawa.

- Dobrze pan to ujął.

Przeszli za róg i wzięli kilka głębokich oddechów, by oczyścić płuca.

(...gwizdek zmianowy brzmi jak krzyk noworodka i człowiek fabryki o wyrobionych przy pracy na tokarce potężnych ramionach i dłoniach, przystępuje do maszyny...)

Jackson wspomniał popołudnie, kiedy musiał tu przybyć i pomagać przy wwożeniu łamistrajków - strajkujący stali za barykadami z jednej strony parking, a łamistrajki jechały na platformach ciężarówek niczym bydło na aukcję. Aż do dziś nie przypuszczał, że wściekłość może żyć poza fizycznym obrębem własnego serca człowieka, ale kiedy te łamistrajki wysiadały i rozpoczęły marsz ku wejściu do głównej hali produkcyjnej, czuł, że nagromadzony gniew staje się czymś gwałtowniejszym, większym, bardziej wynaturzonym i ohydny. Tego dnia, choć nie wiedział, w jaki sposób to się stało i z jakiego powodu, ale mógłby przysiąc, że sama atmosfera między strajkującymi a łamistrajkami pofałdowała się, a miejscami porozrywała. Nawet teraz nadal przyprawiało go to o dreszcze.

Zamrugał, odganiając płatki śniegu, i poczuł, że serce stanęło mu na

chwilę.

Dwadzieścia metrów dalej, obok dymiącej, przewróconej ciężarówki na skraju wschodniego parkingu, na ziemi leżał mężczyzna z przedziwnie powyginanymi członkami. Długa, gruba plama gorącego oleju maszynowego utworzyła za nim kałużę, sycząc na śniegu.

Omijając zasy, podbiegł, zatrzymał się z poślizgiem, wprowadził nabój do komory i opadł na kolano, nakazawszy gestem Robinsonowi, by zrobił to samo.

Jackson spojrział na ciało i poczuł, że coś utkwilo mu w gardle.

- Cholera. Herb Kaylor.

- Zna go pan?

Jackson bezskutecznie usiłował przełknąć ślinę. Obraz twarzy mężczyzny zamglil się; szeryf przetarł oczy i uświadomił sobie, że to łyzy.

- Taa. Służyliśmy razem w Wietnamie. Za ledwie kilka dni temu grałem w karty z nim i z jego żoną. Niech to diabli! - Zacisnął zęby. - On nie był na dziś wyznaczony do pikiety. Jezu! Biedny Herb...

Odwrócił się, otrząsnął i znowu spojrział na człowieka, którego towarzystwo znał i cenił, i przeklinał się w myślach, że nigdy nie okazał Herbowi Kaylorowi, jak wiele znaczyła dla niego ta przyjaźń.

Kaylor miał tak mocno skręcony kark, że jego głowa obróciła się niemal dookoła. Jackson sięgnął ręką, by zamknąć oczy zmarłemu przyjacielowi...

...jego palce dotknęły skóry...

...ledwo go dotknąłem...

...i oczy wpadły przez oczodoły do czaszki. Krwi nie było.

- Jezu! - krzyknął Robinson.

- Ja go ledwo...!

Jackson nie skończył zdania.

Z serią cichych, suchych dźwięków, czaszka Herba Kaylora zapadła się do wewnątrz; ciało pokruszyło się i odpadło płatami, a twarz rozpekła na pół i rozpuściła.

Robinson był tak wstrząśnięty, że stracił równowagę i oparł się dłonią o pierś Kaylora. Próbował wyciągnąć rękę ze skorupy wysuszonej skóry i kruchych kości, ale ta zapadła się w trupa aż po łokieć. Jackson wyciągnął go: ramię Robinsona pokrywały wielkie grudy zgniętego i wysuszonego mięsa. Szczątki i drobiny Herba Kaylora rozwiały się, jakby to była sadza.

Jackson wpatrywał się w pustą jamę piersiową.

Robinson cofnął się, wstrząsany odruchem wymiotnym.

Zerwał się wiatr, ze świstem przechodząc w stały podmuch.

(...robotnik kieruje spojrzenie na strop hali...)

Szeryf, niezdolny dłużej przyglądać się ciału Herba, wstał i odwrócił się w stronę rozsuwanych żelaznych drzwi, które prowadziły do gniazd produkcyjnych w piwnicy.

Czuł moc maszyn. Początkowo było to zaledwie ciche, jednostajne dudnienie pod stopami, ale kiedy rozpoczął marsz ku drzwiom, wibracje stały się silniejsze, głośniejsze, wypełzały jak węże spod asfaltu, owijały się wokół jego nóg, przesączały przez skórę i przyczepiały do kości niczym dolne palce podawcze metalowej prasy, drgając, brzęcząc, sycząc, z piskiem przedzierając się do jego wnętrza, łącząc się z krwioobiegami, jak węgiel łączy się z krzemem, a ołów z bizmutem, płynęły z prądem w górę do mózgu, ogarniając cały umysł, gdzie ta moc przeradzała się w głębokie

dudnienie w uszach, potem napierała ze wszystkich stron, w końcu stawała się szeptem.

Witaj, synu...

...potężny poryw wiatru wrzeszczał wokół niego, kopał go w nogi...

...witaj w Maszynie.

Nadeszło to ze szczeliny między drzwiami - kiedy Jackson do nich podchodził, coś długiego i metalicznego wyslizgnęło się na zewnątrz, wygięło, a potem na powrót znikło w mrokach fabryki, zanim mógł do tego dotrzeć. Szeryf zamrugał, strząsając płatki śniegu z powiek i pokręcił głową. Coś podobnego widywał niekiedy w snach - protezę ręki, zaciskającą mu metalowe palce wokół szyi... a rzecz, którą przelotnie zobaczył, przypominała dłoń z jego snów, tylko była znacznie, znacznie większa.

Jeżu, muszę lepiej się wysypiać, pomyślał. Nie mogę dopuścić do tego, żeby zacząć widywać to gówno na jawie, bo...

- Boże wszechmogący! - krzyknął Robinson.

Jackson okręcił się wokół i instynktownie podniósł strzelbę, ale z powodu silnego wiatru stracił uchwyt i broń wyfrunęła mu z dłoni, łupnęła w ścianę i wypaliła w ponad metrową zaspę.

Wpatrywał się w ciało Herba Kaylora.

To wykluczone, cholernie wykluczone, żeby nadal był żywy...

...i ruszał się, nie było wątpliwości, Herb się ruszał; jedna ręka, potem druga, potem obie nogi...

...Jackson schwycił się żelaznej poręczy przy schodach na dół; tylko w ten sposób mógł utrzymać równowagę na wietrze...

...który skoncentrował się na tym, co zostało z ciała Herba, unosząc

je z ziemi niczym marionetkę na końcu splątanych sznurków; członki mężczyzny skręcały się, trzęsły się i biły w gwałtownych spazmach jak w ataku padaczki, a w końcu odpadły od ciała i rozproszyły się na wietrze, kotłując się i rozpadając w pył, zanieczyszczając leje wirującego śniegu. Nawet ubranie zostało porozrywane na strzępy i rozrzucone.

Po minucie wszystko się skończyło.

Jackson powoli wszedł po schodach i dołączył do Robinsona. Stali i w milczeniu patrzyli na miejsce, gdzie wcześniej leżało ciało Kaylora...

...schody do piwnicy...

(Pewne jak diabli, że wyglądało to na jakąś dłoń).

...ale nacisk w uszach powrócił, trzy razy bardziej bolesny...

„Co to za znaki, tatusiu? Dokładnie takie same jak na twoich plecach, tylko moje nie krwawią...”.

...pokręcił głową i przycisnął ręce do uszu, gdy jego myśl błyskawicznie mknęła do tamtego ranka, wiele lat temu, podczas strajku, który był dość podobny do obecnego, jego własny ojciec, zdesperowany, ponieważ fundusz strajkowy wysechł, a odmówiono mu i zasiłku, i świadczeń dla bezrobotnych, zdecydował się przekroczyć linię pikiet. Pamiętał, jak matka płakała, trzymając dłoń taty, i błagała go, by nie szedł, mówiła, że może ona dostanie gdzieś pracę, może zarobi praniem u ludzi czy w podobny sposób...

...i wyraz jej twarzy później, kiedy przyszła policja zawiadomić o wypadku; tata w jakiś sposób („Nie jesteśmy pewni, jak to się stało, proszę pani, nikt nie chce o tym mówić”) został zmiażdżony przez swoją prasę, i Jackson teraz przypominał sobie, co na odchodnym powiedział mu ojciec tamtego ranka, coś o miłym przyjęciu, jakie go czeka, gdy przyjdzie do

swojej maszyny.

Zaczerpnął głęboko powietrza i wyprostował się, usuwając z głowy ból i ucisk.

- Do diabła, o co tu chodzi, szeryfie - spytał Robinson, wręczając na powrót Jacksonowi jego strzelbę.

- Nigdy nie widziałem czegoś podobnego - szepnął Jackson. - Jak się panu wydaje, czy człowiek może zostać zmiażdżony prasą i nikt nie widzi, że to się dzieje?

- O czym pan mówi, szeryfie?

Jackson mrugnął, odchrząknął i spojrzał w twarz swemu zastępcy.

- Chciałem powiedzieć Dan... Jezu... jak ciało mogło po prostu w ten sposób... wyschnąć? Wkładał pan rękę do środka. Człowiek nie miał żadnych organów wewnętrznych. Kiedy głowa się zapadła, w czaszce nie było mózgu.

Szukał w kieszeniach papierosów, znalazł i zapalił jednego sobie i jednego dla Robinsona.

Przez chwilę palili w milczeniu.

Za rogiem odgłosy tłumu stawały się coraz bardziej donośne, coraz bardziej gniewne. Helikopter jeszcze raz obleciał teren. Karetki z wyciem syren opuszczały scenę wydarzeń, zabierając połamanych i pokrwawionych.

Jackson zgniótł papierosa, odwrócił się do Robinsona i powiedział:

- Proszę posłuchać. Nie chcę, żeby pan komukolwiek wspominał o tym, co się tu wydarzyło, rozumie pan? Ani innym chłopakom, ani swojej dziewczynie, ani rodzicom, nikomu. Niech to zostanie między nami, dobrze?

- Ma pan moje słowo, szeryfie.

W mroku rozległ się strzał z pistoletu i w tłumie wybuchła panika. Jackson i Robinson złapali swą broń i pobiegli pomagać w miarę swoich możliwości.

(...żelazne belki podporowe w stropie fabryki falują i owijają się wokół siebie, stają się muskulaturą, która spływa w dół i łączy się z dźwigniami...

.. .które przekształcają się w płuca...

...które mocują się do podstawy prasy...

...która ewoluuje w kręgosłup...

...który podpira panel sterowania, gdy drga...

...i rozpościera się...

...i staje się substancją szarą mózgu, która wszystko synchronizuje...

...pulsując stalowym rytmem, szybciej i szybciej...

...wilgotna różowa tkanka mięśniowa, ścięgna, kości, iskry, rury, metalowe wióry, ciało, żelazo, organy i stopy zespalaają się...

...i istota, która jest Machiną stoi przed człowiekiem z fabryki, jej połyskujące elektryczne spojrzenie wwierca się w niego, kiedy sięga w dół i podnosi go do swego łona, karmiąc się nim i wysysając z niego całą esencję, aż człowiek staje się zaledwie nakręcaną lalką, której wszystkie części zostały usunięte...

...drzwi otwierają się i Stary Robotnik zostaje wyrzucony... syk... szczękniecie...

...przybywa następna zmiana...

...gdy linia produkcyjna znowu rusza...)

Wschodni parking był teraz pusty. Nie było nikogo, kto słyszałby

dźwięki za żelaznymi drzwiami.

Pisk, skrobanie, głośny chrzęst, odgłosy ciężkiego sprzętu wleczonego po cementowej podłodze.

Coś długiego, metalicznego, o trzech stawach przepchnęło się przez drzwi, zaginając się wokół ich krawędzi. Kolejny błysk i więcej metalu wysuwa się na zewnątrz i wygina się w tył.

Sypiąc iskrami, mechaniczna dłoń jak grabiami sięga w dół, chwytając za klamkę, ciągnie ją i zamyka drzwi.

Gmach fabryki drży.

Wietrzyk się wzmacnia. Z cichym szumem pcha wirujący śnieg w dół po schodach i bije nim o drzwi - jęk z głębi gardła umęczonego człowieka.

„Człowiek pracuje całe życie i jakie to ma znaczenie?”

Wiatr cichnie.

„Ano takie, że ma zadatki na człowieka fabryki”.

Cienie przelewają się przez ściany.

„Ma cechy robotnika”.

Strzępek koszuli Herba Kaylora dryfuje ku ziemi, z lekkością piórka unosi się to tu, to tam. Uderza w brudny śnieg i pogrąża się w wędrującej zaspie chłodnej, martwej bieli.

3

Hałas, który słyszysz, to czasami drobnostka. Nie, najgorsze jest to, że po pewnym czasie zaczynasz hałas przywdziewać. Masz go na twarzy, w oczach, na ubraniu.

„Przestań, tato, po prostu daj spokój!”

Ten dźwięk to znak, który ludzie widzą i rozpoznają. Możesz być w sklepie spożywczym albo po prostu wychodzisz przed dom do skrzynki

pocztowej po listy, a ludzie spojrzą na ciebie i od razu orientują się czym jesteś, czym jedynie możesz być - robotnikiem fabrycznym - i oni to rozpoznają, gdy na ciebie patrzą, ponieważ nosisz na sobie ten hałas.

„Nigdy cię nie prosiłem, żebyś poszedł tam pracować, żebyś porzucił swoje marzenia czy nadzieje; porzuciłeś je z własnej woli!”

Człowiek pracuje całe życie i wzbiera w nim złość, ponieważ nikt nie rozumie, jak to jest, gdy po dniu pracy musi szorować ręce tak mocno, że dłonie zaczynają krwawić.

„Do cholery, tato, zamknij się! Wiem, że to parszywe, ale to nie moja wina!”

Pamiętam ręce taty i przyklejony do nich smród maszyny. Tego dnia, gdy kazał uspić mojego psa i próbował się przede mną usprawiedliwić, mówił mi, jak chory był stary Ralph, ale czułem się zbyt zraniony, by go słuchać. Po prostu stał i dotykał mego policzka. Otworzyłem oczy, spojrzałem na jego dłoń i zobaczyłem, że jest poplamiona smarem maszynowym. Ta dłoń mnie żywiła ale ta dłoń również zabiła mojego psa. Zrobił to. Ponieważ musiał. Musiał to zrobić, choć nie chciał tego. Wiedział, że przeprosiny nie będą potrzebne, ponieważ wszystko mówiła jego dłoń przy mojej twarzy, gdy próbował otrzeć mi łzy. Okrutna dłoń mordercy psów, dłoń ze smarem i smrodem maszyny - a tak delikatna przy mojej twarzy.

Dobrze się przyjrzyj moim rękóm, chłopcze. Ciało człowieka nigdy nie powinno tak wyglądać, nie to jest jego przeznaczeniem, te linie, ciemne od plam oleju, wyglądają jak pęknięcia tynku. Czasem nienawidzę myśli, że tymi dłońmi mam dotknąć twojej matki, że poczuje te wszystkie odciski i blizny, i szorstkość na swoim policzku. Ona zasługuje na czułość,

chłopcze, na łagodną pieśczętę kochanka, a te dłonie nigdy jej tego nie dadzą.

„Ale ona cię kocha, wszyscy cię kochamy, powinieneś o tym wiedzieć”.

Wiem, że mnie kochasz, synu. I chciałbym, żeby to jakoś bardziej pomagało, ale nie zawsze pomaga i to mnie właśnie najbardziej przytłacza.

4

Jackson wszedł na schody frontowe domu Jacka Kaylora i zapukał do drzwi. Darlene otworzyła, skinęła głową i zaprosiła go do środka. Dom pachniał kawą, niezjedzonym obiadem i żalem.

- Zrobiłam dzisiaj pieczeń rzymską - szepnęła wdowa po Herbie Kaylorze. - To zawsze było jego ulubione danie. Nie wiem, co teraz z nią zrobię... - Przygryzła dolną wargę i zamknęła oczy, sztywniejąc w uścisku Jacksona. Gdy się odsunęła się. przeczesała dłonią swe siwe, rzednące włosy i kaszlnęła. - Przepraszam za to, jak wygląda dom. Ja, hm... ja...

- Dom wygląda doskonale - szepnął Jackson, gdy prowadziła go do kuchni.

- Miło, że tak mówisz.

Oczy miała zapuchnięte i zaczerwienione, co pogłębiało zmarszczki na jej twarzy.

Will, jej syn, robił kawę. Nastolatek przywitał się lakonicznie z seryfem i wyniósł do innego pokoju.

- Masz ochotę? - spytała Darlene. - Sama mełłam. Herb mówi... mówił, że to niebo a ziemia w porównaniu z gotową kawą ze sklepu.

- Owszem, poproszę.

Kiedy wręczała mu filiżankę i talerzyk, ręce zaczęły jej się trząść i

omal nie wylała mu kawy na kolana. Przeprosiła, próbowała się uśmiechnąć, a potem siadła przy stole i cicho płakała. Po chwili wyciągnęła dłoń i Jackson ją ujął.

- Darlene - powiedział łagodnie. - Przykro mi, że zadaję to pytanie, ale muszę wiedzieć. Dlaczego Herb był dzisiaj na pikiecie? Miało go tam nie być aż do piątku.

- Przysięgam ci, że nie mam pojęcia. Pytałam go rano, tuż zanim wyszedł. Tylko się zaśmiał - wiesz, jaki był, kiedy nie chciał cię martwić jakimś problemem? Potem pocałował mnie i powiedział, że jest mu przykro, że wciągnął w to Willa i ma zamiar to naprawić.

- Co miał na myśli?

- Załatwił Willowi miejsce w fabryce. Miał go nawet szkolić. - Pokręciła głową i upiła łyk kawy. - Wiesz, że ojciec Herba zrobił to samo dla niego? Will miał pracować na tej samej zmianie, w tym samym gnieździe. Chyba mnóstwo robotników zatrudnia się w ten sposób. Czy twój ojciec też tam pracował?

Jackson odwrócił twarz.

- Tak - szepnął.

- To miejsce jest jak pieprzona rodzinna nieruchomość - powiedział Will, stanąwszy w drzwiach. Jackson odwrócił się i spojrzał na niego, a Darlene powiedziała:

- Co ci mówiłam, o używaniu takiego języka? Twój tata...

- ...był głupi! Przyznaj to. To głupota z jego strony, że tam poszedł. Darlene wpatrywała się w niego z ledwo powstrzymaną wściekłością, wyostrzoną przez znużenie i rozpacz.

- Nie pozwolę ci mówić źle o ojcu, Will. Jego nie ma - głos jej się

załamał - tutaj, nie może się bronić. Pracował ciężko dla rodziny i zasługiwał na znacznie więcej szacunku i wdzięczności, niż otrzymywał.

- Wdzięczności? - krzyknął Will. - Za co? Za wypominanie mi, że przedkłada obowiązki nad własne szczęście czy za to, że zabrał mnie do zakładu, bym stał się drugim takim cholernym fabrycznym sługusem jak on? Za jakież to cudowny dar miałbym mu dziękować?

- Sam nie potrafiłeś znaleźć przyzwoitej pracy. Ktoś musiał coś zrobić.

- Posłuchajcie - powiedział Jackson. - Może wrócę innym...

- Kiedy miałem szukać innej pracy? Między załatwianiem dla ciebie sprawunków a pomaganiem ci w domu i sprzątaniami po tacie, kiedy się upił?

- Chyba lepiej będzie, jak wrócisz do swojego pokoju.

- Nie. - Will wpadł do kuchni i z hałasem postawił kubek z kawą. - Mam osiemnaście lat i nigdy nie pozwalano mi w niczym się wam sprzeciwić. To nie ty musiałaś tutaj siedzieć i go słuchać, jak się nad czymś rozwodził o trzeciej nad ranem, kiedy się zalał. Słuchać, jak mówi, że praca w fabryce niewiele się różni od piekła, a jednak był więcej niż szczęśliwy, że pakuje tam moją dupę.

- On tylko próbował ci pomóc zdobyć trochę pieniędzy, żebyś w końcu mógł mieć własny dom, stanąć na własnych nogach. Był bardzo szczodrym, wielkim człowiekiem.

- Wielkim człowiekiem? Jak, do diabła, możesz mówić takie rzeczy? Masz na sobie dziesięcioletnie ubranie i siedzisz przy stole, który kupił za dziewięć dolarów na wyprzedaży! Może tata miał jakieś horyzonty, ale sam wielki nie był. Był zgorzkniałym, zużyтым kawałkiem człowieka,

który po pracy potrafił zasnąć tylko wtedy, kiedy wlał w siebie dość gorzały i niech mnie diabli, jeśli skończę jak...

Darlene wyskoczyła z krzesła i uderzyła Willa w twarz z taką siłą, że upadł na bufet. Kiedy odzyskał równowagę i odwrócił się ku niej, z rogu ust ściekała mu wolno strużka krwi. Oczy miał rozszerzone ze strachu, trwogi, dezorientacji i bólu.

- Słuchaj - powiedziała Darlene. - Byłam żoną twego ojca przez dwadzieścia pięć lat i przez ten czas widziałam, jak robił rzeczy, których nie zrobiłoby nawet dwóch takich mężczyzn jak ty. Widziałam, jak z samego środka zamieszek gorszych nawet niż dzisiejsze wyciągał starców, którzy znaleźli się w opałach. Widziałam, jak oddaje ostatnią dziesięciocentówkę przyjaciołom, których nie było stać na jedzenie, a potem pożycza pieniądze od twego wuja, by zapłacić nasze własne rachunki. Widziałam, jaki potrafił być delikatny, nawet sobie tego nie wyobrażasz, i byłam przy tym, gdy czuł się podle, bo myślał, że się go wstydzisz. Może był tylko robotnikiem, ale był cholernie przyzwoitym człowiekiem, który dał mi miłość i dobry dom. Nigdy tego nie dostrzegałeś, może nie chciałeś, ale twój ojciec był wielkim człowiekiem, i robił wielkie rzeczy. Może nie były to sprawy ogromne, takie, o których piszą gazety, ale to nie powinno mieć znaczenia. To nie jego wina, że nigdy nie dostrzegłeś jego wielkości, że widziałeś go tylko wtedy, gdy był znużony i wykończony. I może pił, ale cholera, przez prawie dwadzieścia pięć lat ani razu nie pomyślał, żeby się poddać. Kochałam tego... „fabrycznego sługusa” bardziej niż jakiegokolwiek mężczyznę w swym życiu... a mogłam ich mieć wielu. Był najlepszy ze wszystkich.

- Mamo, proszę, ja...

- Nigdy niczego nie zrobiłeś, zachowywałeś się tak, że czułem się nieudacznikiem, bo nie mógł ci kupić rzeczy, które mają twoi koledzy. Mnie nie było tutaj, by wysłuchiwać go o trzeciej nad ranem? Ciebie nie było jeszcze na świecie, gdy szeptał po nocach, jaki jest przestraszony, że nie będzie w stanie zapewnić nam godziwego życia. Ty tego nie słyszałeś. To ja go obejmowałam i całowałam, i było tak wiele czułości między naszymi ciałami, że wydawaliście się jedną osobą. I te dwadzieścia pięć lat miłości do człowieka takiego jak twój ojciec, tego nie można zburzyć ani odebrać i nie chcę słuchać, jak mówisz coś przeciw niemu! Był moim mężem i twoim ojcem. Nie żyje i to boli tak bardzo, że chce mi się wyć. Oczy Willa napelniły się łzami.

- O Boże, mam, tęsknię za nim. Tak mi... przykro, wybac, że mówiłem te wszystkie rzeczy. Byłem po prostu wściekły. - Wstrząsała nim rozpacz. - Wiem, że ja... że go raniłem, że przeze mnie czułem, jakby wszystko, co robi, szło na mamę. Mam chyba prawo się wściekać, że nigdy nie będę miał szansy mu tego wynagrodzić? - Pochylił się w ramiona matki i płakał. - Zawsze mówił, że trzeba... trzeba wypełniać obowiązki, zanim się zacznie myśleć o własnym szczęściu. Teraz to wiem. I spróbuję... o Chryste, mam. Chcę mieć szansę, by mu to wynagrodzić...

Darlene uściskała go i głaskała po głowie.

- Wszystko w porządku, nie płacz już. On teraz wie, zawsze wiedział, musisz w to wierzyć - szeptała.

Ted Jackson odwrócił wzrok. Wypił kawę trzema wielkimi haustami i skrzywił się, kiedy dotarła do żołądka. Przytłoczyło go poczucie żalu, panujące w tym domu. Nigdy w życiu nie czuł się równie wyobcowany i bezużyteczny.

Ktoś głośno zapukał do drzwi frontowych. Darlene zwróciła się do Jacksona:

- Czy mógłbyś... czy mógłbyś otworzyć drzwi, Ted? Ja raczej... nie jestem w tej chwili do tego zdolna.

Jackson odparł, że oczywiście zrobi to. Poszedł do frontowego pokoju, szybko wytarł oczy, przedmuchał nos, po czym włączył światło na ganku i otworzył drzwi.

5

Nawet jeśli zdołasz zeskrobać brud, smar i metalowe wióry, cały czas masz na sobie ten zapach. Tani płyn po goleniu, olej maszynowy, pot, woń gorącego metalu. Bez względu na to, ile razy weźmiesz prysznic, zapach pozostaje. To odór, który robotnik zabiera ze sobą do grobu, smród, który jest na nim przez wszystkie dni jego życia, a kiedy to życie się kończy, waruje przy nim jak lojalny pies przewodnik, który trwa przy grobie pana, aż zdechnie z głodu. To zapach, który cały czas ci przypomina, że pozostawiasz po sobie dług hipoteczny, stos niezapłaconych rachunków, dzieci, które się ciebie wstydzą, i żonę, która się zestarzeje, zgorzknieje, będzie się czuła nieszczęśliwa, pusta i nigdy nie zdoła usunąć z domu tej woni.

„Przestań”.

Ten zapach to twoje dziedzictwo, chłopcze, nie zaprzeczaj temu. Urodziłeś się, by stać się częścią linii, częścią Maszyny, i ona cię naznaczy, tak jak naznaczyła mnie.

„Nie będę tego słuchał”.

Odetchnij nim głęboko.

„Zamknij się, kurwa!”

Dobry chłopak.

6

Na ganku stało siedmiu mężczyzn, każdy z nich miał jakieś zabandażowane rany. Choć Jackson rozpoznał w nich uczestników strajku, znał z nazwisk jedynie kilku.

Mężczyzna z wydatnym torsem w starych dżinsach i pobrudzonej smarem bluzie wystąpił naprzód i mocno uściśnął mu dłoń.

- Dobwieczór, szeryfie. Przyszłem z kolegami... złożyć wyrazy szacunku rodzinie. Herb to był dobry facet i cholernie nam przykro, że w taki sposób umarł.

- Darlene nie czuje się w nastroju do przyjmowania towarzystwa - oznajmił Jackson. - Nawet ja nie powinienem tu przychodzić, ale...

- Nonsens - powiedziała Darlene zza jego pleców - Herb nigdy by nie odprawił kumpla związkowca, ja też tego nie zrobię.

Jackson cofnął się, a oni weszli i stanęli półkolem - smutni, skrepowani, zagubieni i gniewni.

Mężczyzna z wydatnym torsem (Darlene zwracała się do niego „Rusty”) złożył wyrazy współczucia w imieniu grupy - wszyscy inni cicho je potwierdzali, kiwając głowami - i powiedział, że jeśli tylko mogliby coś zrobić, wystarczy jedno słowo i zaraz się za to wezmą.

Darlene podziękowała i zaproponowała kawę. Mężczyźni usiedli i chyba już nie byli tacy spięci.

A potem do pokoju wszedł Will.

Kiedyś, gdy Jackson był jeszcze funkcjonariuszem w Biurze Szeryfa, aresztował człowieka podejrzanego o molestowanie dzieci. Kiedy otworzył drzwi do celi zatrzymań, wszyscy zgromadzeni tam więźniowie

patrzyli na mężczyznę z takim zimnym wstrętem, że Jacksonowi niemal zastygła krew w żyłach. Facet nie przetrwał nocy - Jackson znalazł go następnego ranka zbitego na miazgę - mężczyzna zadławił się własnymi wymiocinami, kiedy w usta wepchnięto mu trzy skarpety.

Robotnicy w pokoju patrzyli na Willa Kaylora dokładnie w ten sam sposób. Jackson poczuł mrowienie na karku. Cicho i powoli wypuścił z płuc powietrze i ukradkiem odpiął pasek kabury rewolweru.

- Cześć - powiedział Will bezbarwnie.

Mężczyźni nie odpowiedzieli. Oczami wodzili od Willa do Jacksona i z powrotem.

- Czy któryś z was mógłby mi pomóc w kuchni? - rzuciła Darlene ze sztucznym ożywieniem.

Rusty i jeszcze jeden z gości odparli, że z przyjemnością, i poszli za nią, ale wcześniej zdążyli rzucić Willowi gniewne spojrzenia.

Kiedy pozostali robotnicy zaczęli szeptać między sobą, Will chwycił Jacksona za łokieć i poprosił go, by poszedł z nim na górę.

Szeryf przeprosił obecnych i ruszył za chłopcem. Pomaszerowali szybko na górę do pokoju Willa, który znajdował się na końcu holu i zamknęli drzwi.

Will włączył małą nocną lampkę.

- Pan wie, że tak naprawdę przyszli zobaczyć się ze mną?

- Domyśliłem się, że może chodzić o coś takiego.

- Byłem dziś wyznaczony do pikiety. Mój pierwszy dzień w pracy wypadł tego ranka, gdy zaczął się strajk. Tata ledwie miał okazję pokazać mi prasę, a już wszyscy opuścili fabrykę. Proszę, niech pan uwierzy, że kochałem tatę i doceniałem to, co próbował dla mnie zrobić, ale... nie

chciałem skończyć jak on. Cały czas był taki cholernie zmęczony i nieszczęśliwy. Ja po prostu... po prostu nie chciałem, żeby ze mną było tak samo.

Jackson położył Willowi dłoń na ramieniu.

- Twój tata miał nadzieję, że tobie powiedzie się lepiej niż jemu. Powiedział mi to kiedyś. Naprawdę nie sędzę, by cię winił, więc sam się nie obwiniaj.

- Ale z tymi na dole nie pójdzie mi tak łatwo. Według nich to ja powinienem być tym, który dzisiaj tam zginął.

Podszedł do okna i odciągnął zasłonę. Fabryka w oddali migotała upiorną poświatą, która, jak się wydawało, wyrażała zarówno spokój, jak i szyderstwo.

- Czy był pan kiedyś w holu banku w śródmieściu? - spytał Will. - Mają tam okna wychodzące na wszystkie strony. Czy zauważył pan, że nie widać stamtąd żadnej części fabryki, nawet kominów? Ostatniego lata pracowałem przez pewien czas jako chłopiec od kijów golfowych w Moundbuilders Country Club. Często dawali nam darmowy lunch. Do fabryki jest stamtąd tylko osiem kilometrów, ale z terenów klubowych w ogóle jej nie widać, nawet przez lornetkę.

- To nie ma zupełnie sensu.

- To prawie tak, jak gdyby ludzie, którzy nie chcą o niej wiedzieć, nie mogli jej widzieć. - Odwrócił się i odciągnął dalej zasłonę w oknie. - Czy widzi pan fabrykę, szeryfie?

- Taa.

- Okna mojego pokoju wychodzą na północ, prawda?

- Owszem i co...?

Will opuścił zasłonę, przeszedł przez pomieszczenie i otworzył drzwi, zapraszając gestem Jacksona, by poszedł z nim na drugi koniec holu. Weszli do sypialni Herba i Darlene. Will wskazał zasłony.

- Ich okna wychodzą dokładnie w przeciwnym kierunku niż moje. Niech pan odciągnie zasłonę.

Jackson, zdezorientowany, spełnił jego prośbę. ...i przekonał się, że ma przed sobą widok na fabrykę. Patrzył na nią pod nieco innym kątem, ale bez wątpienia była to fabryka.

- To niemożliwe - szepnął. - Ta cholerna rzecz jest na północy, a to okno...

- Tato pokazał mi to wieczorem, w przeddzień mojego startu w zakładzie. Jeśli pan zejdzie na parter i otworzy tylne drzwi, nadal będzie pan widział fabrykę. Proszę wyjrzeć przez dowolne drzwi czy okna tego domu, a zawsze zobaczy pan fabrykę.

Jackson puścił zasłonę.

Will z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Nie wiem, dlaczego to panu pokazuję, dlaczego to opowiadam. Wątpię nawet, czy pan to zrozumie.

Jackson spojrział mu w oczy.

- Wiem dokładnie, jak się czujesz. Will. Mój tata zginął w fabryce, kiedy miałem siedemnaście lat. Cały czas, aż do ostatniego dnia życia, przygotowywał mnie do pracy na linii produkcyjnej. Nie chciałem. Bóg mi świadkiem, widziałem, co ta praca z nim robi, jak wysysa z niego życie. Był martwy na długo przed... wypadkiem. Patrzyłem, jak to się dzieje, dzień po dniu, jak jego duch wlecze się, charcząc w drobnych katuszach, aż wreszcie się zatrzymuje. Nienawidziłem tego miejsca, miewałem nawet

sny, w których maszyny ożywały i goniły mnie. Rankiem, kiedy został zabity, mama zaczęła mnie naciskać, żebym poszedł i podjął tam pracę. Nie wiedziałem, co robić. Ale miałem szczęście, dostałem powołanie do wojska. Nawet Wietnam był lepszy niż tamto miejsce. Mama umarła, kiedy byłem tysiące kilometrów od domu. Może zabrzmiało to okropnie, ale choć bardzo ją kochałem, odczułem niemal ulgę, gdyż znaczyło to, że nie będzie mnie nękała, bym zajął miejsce ojca w zakładzie.

- Dlaczego pan tu pozostał?

- Sam chciałem wiedzieć. - Jackson z roztargnieniem podrapał się w pobliżu środka pleców, myśląc o znakach, które tam znalazł, kiedy był dzieckiem, a potem cofnął rękę. - Może to był sposób na przeciwstawienie się temu miejscu. Stale mi się przypomina fragment Apokalipsy świętego Jana, który kapłan czytał na pogrzebie ojca: „Zaiste, mówi Duch, niech odpoczną od swoich mozołów, bo idą wraz z nimi ich czyny”. Cóż, nie zamierzałem iść w jego ślady i niech mnie diabli, jeśli miałbym pozwolić, by to miejsce zawładnęło moją świadomością. Przez tyle lat słuchałem ojca, który mówił o fabryce, jakby to była żyjąca istota, że też zacząłem myśleć o niej w ten sposób, więc zdecydowałem się tu pozostać częściowo chyba na przekór, żeby przejeżdżać obok zakładu każdego dnia i myśleć „Nie dopadłeś mnie, gnoju!” Przynajmniej w ten sposób mogę... nie wiem, sprawić, że śmierć mego ojca jest ważna. - Zrobił wydech, uśmiechnął się i położył dłoń na ramieniu Willa. - Ci ludzie nie mogą cię do niczego zmusić, jeśli sam tego nie chcesz, przynajmniej dopóki ja noszę tę odznakę.

- Dzięki, szeryfie. Tato zawsze mówił, że porządny z pana gość.

- Tak jak on. Tak jak wszyscy robotnicy. Will wpatrywał się w swoje

drżące dłonie.

- Wie pan, co jest dziwne? Ciągle myślę o tym, że jestem prawiczką. Nigdy nawet nie pocałowałem dziewczyny. Tkwiałem tu zamknięty przez całe życie, czekając, aż pójdę w ślady ojca, obserwując, jak on i mama się marnują. Nie byłem zdolny kiwnąć palcem w całej tej sprawie. Przez połowę czasu czułem się jak gówno, a przez drugą złościło mnie, że czuję się w ten sposób. Patrzę w lustro i wydaje mi się, że widzę tam tatę. Myślę o wszystkim, co jego i mamę ominęło, i po prostu... poddaję się, wie pan? Ponieważ ich kocham. I nie wiem, czy jestem człowiekiem niezależnym czy tylko zlepkiem kawałków mojej rodziny. Jackson skierował się do wyjścia.

- Zostań tutaj. Odeślę tych ludzi, niech idą własną drogą. Will podniósł się z łóżka.

- Szeryfie?

- Tak?

- Dziękuję, że opowiedział mi pan o swoim tacie. To pomogło mi zdecydować. Mam zamiar pójść z nimi.

- Jezu, Will, dopiero co powiedziałeś, że...

- Powiedziałem, że nie chcę iść. Ale pomyślałem o tym, co mówił tata, o wypełnianiu obowiązków, zanim się pomyśli o własnym szczęściu, i on miał rację. I tak jak pan, muszę coś uczynić, by śmierć ojca miała jakieś znaczenie.

Jackson gapił się na niego.

- Na pewno tego chcesz?

- Tak, to pierwsza rzecz, której jestem pewien. Już nadszedł czas. Chłopiec był teraz zrezygnowany.

Syn stanie się ojcem.

- W porządku - powiedział Jackson, przełykając własną wściekłość i odrazę.

- Byłbym... Byłbym naprawdę wdzięczny, gdyby poszedł pan ze mną, szeryfie.

- A to dlaczego?

- Myślę, że pan i ja mamy ze sobą coś wspólnego. Myślę, że obaj nie rozumieliśmy, przez co przeszli nasi ojcowie, i sędzę, że obydwaj zawsze chcieliśmy to wiedzieć.

Jackson wyjrzał przez okno, na fabrykę.

- Nie mogłem sobie nigdy wyobrazić, co on musiał... jak się musiał czuć, dzień po dniu. Nigdy nie mogłem... - Zamrugał, odwrócił wzrok. - Tak. Chciałbym ci towarzyszyć.

Zeszli na dół. Will poprosił matkę, by pomogła mu zapakować pudełko z lunchem.

Pozostali mężczyźni wyglądali na zadowolonych.

Jackson pokręcił głową, jeszcze raz złożył Darlene wyrazy współczucia i wyszedł z Willem i pozostałymi.

7

...pewnego dnia zrozumiesz, chłopcze, że człowiek staje się czymś więcej niż częścią swojej maszyny, a jego maszyna czymś więcej niż narzędziem. Tworzą związek, jakiego żadna para ludzi nie jest zdolna pojąć. Każde z nich staje się Bogiem dla drugiego. Stają się większą Maszyną. A Maszyna sprawia, że wszystko jest możliwe. Żywi cię, ubiera, daje ci dach nad głową i okazuje wszelką łaskę, jakiej nie zaznasz od świata.

Maszyna jest rodziną.

Jest celem.

Jest miłością.

Więc ujmij jej dźwignie i poczuj własne oddanie.

Właśnie tak, bardzo dobrze.

8

Na parkingu stały tylko samochody robotników z nocnej zmiany.

Tłoczyli się przy drzwiach do gniazda produkcyjnego w piwnicy i czekali na Jacksona i Willa, którzy się do nich zbliżali.

Will delikatnie ujął Jacksona za ramię.

- Bardzo bym się cieszył, gdyby pan nadal w soboty przychodził do nas na karty - powiedział.

- Za skarby świata bym z tego nie zrezygnował.

Stali wśród innych robotników. Potężny Rusty uśmiechnął się do Willa, skinął Jacksonowi głową.

- Musieliśmy się upewnić - powiedział.

- Tak właśnie myślałem - odparł Jackson.

- Upewnić się? - spytał Will.

- Właściwie ty chyba jeszcze nie zacząłeś pracować na prasie, prawda? - zauważył Rusty.

Will westchnął i pokręcił głową.

- Nie. Odbiłem kartę zegarową i zaraz potem ogłoszono strajk.

Nie mówiąc nic więcej, rozpiął i zdjął kurtkę, a potem to samo zrobił z koszulą, po czym obrócił się do nich plecami.

Rusty wyjął z tylnej kieszeni latarkę i poświecił na plecy Willa.

Kilka okrągłych, bliznowatych znaków pstrzyło plecy młodego

człowieka - zaczynały się między łopatkami i biegły aż do podstawy kręgosłupa. Niektóre miały ze trzy milimetry średnicy, inne - blisko centymetr. Zagłębione w ciele przypominały różowe jamki, jakie pozostają na skórze po oderwaniu strupa.

- Cholera - powiedział Rusty. - Zmiana musi zacząć się o czasie.

- Myślisz, że tego nie wiem? - warknął Will. - Tata często opowiadał jak... och, do diabła. - Wziął głęboki oddech. - Lepiej zaczynajmy.

Rusty wyciągnął z kieszeni mały, czarny podręcznik i zwrócił się do pozostałych mężczyzn.

- Zebraliśmy się dzisiaj, by w naszym związku powitać nowego brata - Willa Kaylora, syna Herba. Herb był przyzwoitym człowiekiem, dobrym kolegą i jednym z najlepszych operatorów maszyn, u boku których miałem zaszczyt pracować. Mam nadzieję, że wszyscy będziemy traktować jego syna z tym samym szacunkiem, jakim obdarzaliśmy ojca.

Robotnicy potaknęli.

Rusty przerzucał strony obszarpanego związkowego podręcznika, aż znalazł to, czego szukał.

- Szeryfie - powiedział, wręczając książkę Jacksonowi - czy uczyni nam pan zaszczyt i odczyta modlitwę związkową, tu, gdzie zaznaczyłem.

- To dla mnie... honor. - Jackson wziął książkę.

Willa poprowadzono do ściany i przyciśnięto go do niej twarzą i plecami, wystawiając obnażone plecy na widok nocy.

- Po prostu zaciśnij zęby - szepnął do niego Rusty. - Zamknij oczy i wstrzymaj oddech. To nie boli tak bardzo, jak myślisz.

Inni robotnicy otwierali swoje pudełka z lunchem i skrzynki z narzędziami. Wyjmowali śrubokręty krzyżowe.

Jackson nawet nie myślał, by odwrócić wzrok. Jego ojciec przez to przeszedł, tak jak wcześniej jego dziadek. Jacksona oszczędzono, ale nie było mu przez to lżej na duszy. Chciał wiedzieć.

Musiał wiedzieć.

Rusty spojrział na szeryfa, energicznie skinął głową i Jackson zaczął czytać:

- Boże Wszechmogący, my, twoi robotnicy, błagamy Cię, byś nas prowadził, abyśmy mogli wykonywać pracę, którą nam powierzasz, w prawdzie, pięknie, sprawiedliwości i szczerości serca jako Twoi słudzy i dla korzyści naszych bliźnich.

Robotnicy zebrali się wokół Willa, każdy wybrał bliźnę, a potem, jeden po drugim, wtlaczali w nie śrubokręty.

- Choć nie jesteśmy poetami, Panie, ani wizjonerami czy prorokami, ani wielkimi przywódcami, prosimy, byś przyjął tę skromną pracę naszych rąk, jako dowód naszej miłości do Ciebie i do naszych rodzin.

Krew ciekła z każdej rany i spływała strumykami po plecach Willa, pryskając na asfalt.

Wrzask Willa zrodził się gdzieś w środku Ziemi, przedzierał się przez warstwy stopionych skał i stulecia bólu, z drzeniem przechodził przez nogi i lędźwie chłopaka, utkwiał w krtani, ale tylko na chwilę, po czym wybuchł z gardła tak donośnie, że mógłby ogłuszyć samego Boga.

Jackson musiał krzyczeć, by go słyszano przez ten hałas.

- Dziękujemy Ci za Twoje błogosławieństwo, kiedy jako pokorni robotnicy witamy nowego brata w naszych szeregach. Obyś czuwał nad nim i chronił go, tak jak zawsze czuwałeś nad nami i chroniłeś nas. Któż ośmielił się zostać naszym przeciwnikiem, jeśli Ty będziesz stał po naszej

stronie? Ty nawet nie oszczędziłeś własnego Syna, ale poświęciłeś go dla dobra nas wszystkich.

- I czyż takiemu darowi nie powinny towarzyszyć inne dary? - odpowiedzieli jednym głosem robotnicy.

- Więc oferujemy ci nasz dar ze wszystkiego innego, Panie, oferujemy ci pracę dla chwały Twego imienia, Amen.

- Amen - powtórzyli jak echo robotnicy, cofając się.

- Amen - powiedział Will. Opadł na kolana, a potem zwymiotował, jęcząc.

Jackson zamknął książkę i postąpił do przodu. Miał łzy w oczach i zaczął tulić Willa w ramionach; chłopiec pokręcił głową i wstał niepewnie, a potem, zataczając się, ruszył ku otwierającym się z wolna drzwiom piwnicy.

(oto mój syn

czy ma zadatki na człowieka fabryki?)

...pisk, skrobanie, głośny chrzęst, odgłosy ciężkiego sprzętu wleczonego po cementowej podłodze...

...drzwi otworzyły się szerzej...

...coś długiego, metalicznego, o trzech stawach przepchnęło się przez drzwi, zaginając się wokół ich krawędzi. Kolejny błysk i więcej metalu wysuwa się na zewnątrz i wygina w tył, chwytając drzwi...

...sypiąc iskrami, mechaniczna dłoń jak grabiami sięga w dół, chwytając za klamkę i rozwiera drzwi na oścież.

...drzwi otwierają się i Stary Robotnik zostaje wyrzucony...

Jakiś kształt przypominający zmiażdżonego człowieka przelatuje nad ich głowami i z cichym łupnięciem ląduje w śniegu.

Will odwraca się do Jacksona.

Człowiek pracuje całe życie i jakie to ma znaczenie?

Jackson i robotnicy patrzą w migoczącą, elektryczną mgiełkę za żelaznymi drzwiami.

- Witaj, synu - szepcze Jackson...

...głosem bardzo przypominającym głos jego własnego ojca...

- Witaj w Maszynie.

...i linia produkcyjna znowu rusza...

9

Będziesz robotnikiem tak jak ja, tak to się dzieje. Pracuj na linii produkcyjnej, noś zapach; syn wstępuje w ślady ojca. Dzięki temu życie człowieka staje się coś warte. Zawsze wiedziałem, że będę z ciebie dumny. „Kocham cię, tato. Mam nadzieję, że to ci wiele wynagrodzi”. Też cię kocham, synu. Trzeba się wziąć do roboty. Dobry chłopiec...